

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Cała ludzkość na chwilówce?
- Kowalski, czyli bulterier Ziobry
- Gdy pisarz ucieka przed sąsiadami
- Na Kremlu wiedzą, że Putin musi odejść
- Orwell po białorusku



**WYSOKIE
OBCASY**
**Kobiety
w spektrum**
wywiad Krystyny
Romanowskiej



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Granica
człowieczeństwa

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Kraj niegdyś
rozwinięty**
100 lat temu Argentyna była
bogata jak USA. Co się stało?



**Rewolucja bez
pomnika**
Dlaczego reforma rolna
zmieniła Polskę?

Marcin Matczak:
Czy Lewandowski
ma prawo do placu?
► 7

Mundial w Katarze

Straszne skutki sukcesu Polaków

Stec



Po 36 latach beznadziei polscy piłkarze znów wyszli z grupy na mundialu, ale prawdziwa sensacja wybuchła dopiero potem. Okazało się, że ludzie chcą więcej.

Zaatakowali ich wszyscy. Za-graniczni eksperci wyzłościwiali się w mediach społecznościowych nad tchórzliwością drużyny, która przy 0:2 nawet nie symulowała walki o poprawienie wyniku, lecz modliła się o wyrozumiałość rywali. Analityczne serwisy wypływały statystyki świadczące o beznadziei gry Polaków – z temperaturą ofensywnego zapalu zmierzającą do zera absolutnego, ze skłonnością do zabawiania publiczności piłką posiadaną w ilościach homeopatycznych.

Bodaj najbardziej surrealistyczna z liczb to jeden udany drybling – wykonał go bramkarz Wojciech Szczęsny.

Obcojęzycznym jazgotem nie warto się przejmować, zagranica nasta-

je na nas od zawsze, już odruchowo – zwłaszcza po białoczerwonych triumfach, gdy zazdrości. Ale zatrącenia się w ekstazie odmówiło także mnóstwo rodzinnych kibiców, którzy po każdym meczu katarskich mistrzostw biadają, że reprezentacja zmusza ich do patrzenia na wyrób futbolopodobny, z epoki kamienia łupanego, że nie wypada takiej gry wystawić na widok publiczny. Klasyczne wykwyty pedagogiki wstydu.

Reakcje ludu wypadają obwołane jeszcze bardziej sensacyjnymi niż awans piłkarzy, ponieważ o satysfakcjonujący styl awanturują się zazwyczaj nacje zdeprawowane nieustającym wygrywaniem. Korzystny rezultat przyjmują jak słońce w środku lata, pożądają jeszcze spektaklu. Narody piłkarsko upośledzone biorą każdy ochlap bez obwąchiwania go z każdej strony.

Czyżby biało-czerwony kibic był nie-wdzięcznikiem, któremu nigdy nie dogodzisz? Czy raczej – świadomym koneserem, dla którego sport nie kończy się na wynikowej buchalterii? A może wręcz – piszę to z duszą na ramieniu – buntującym się przeciw proponowanej przez reprezentację wersji polskości?

Jedna z teorii piłki nożnej głosi, że sposób gry odzwierciedla narodowy charakter, mentalność, kulturę. Bra-

zyliczycy tańczą sambę nawet na boisku, Urugwajczycy wnoszą do gry wojowniczy duch garra charrúa, Niemcy stawiają na organizację i wydajność, Włosi są wyrafinowanymi cwaniakami, Holendrzy – ekstrawaganckimi neurotykami itd. Gdybyśmy chcieli przez wyczyny ekipy Michniewicza zaglądać w polską duszę, ujrzelibyśmy smętną listopadową szarugę, komplek-

Strategia Michniewicza to kompleksy i odwoływanie się do guseł

sy, duszenie niebanalnych indywidualności. I odwoływanie się do guseł. „Bozia czuwała” – rzucił po meczu selekcjoner, nieświadomie ujawniając istotny element strategii. Kilka dni wcześniej zdradził też, co sądzi o swoich zawodnikach, wdychając przy dziennikarzach, iż „nie zamieni wody w wino”.

Niestety, zamienia wino w wodę. On znaczy w poważnym futbolu niewiele, nikt nigdy nie zatrudnił go w zachodnim klubie – tymczasem jego ludzie grywają tam z wdziękiem, nie wyglądają na sportowych analfabetów. A polscy

kibice nie dają sobie wmówić, że białe jest czarne. Śledzą transmisje, emocjonują się i rozkoszują nowoczesnym futbolem, nie życzą sobie reprezentacji kraju zacofanej i wycofanej, lękliwej.

Niewykluczone, że wpatrujący się w Szczęsnego dziewczynki i chłopcy zapragną założyć w przyszłości rękawice, stanąć między słupkami. Ale nie znajdą w polskiej drużynie niczego ani nikogo innego, w czym/kim mogłyby się zakochać, nie zostaną im żadne przyjemne wspomnienia. Nasza reprezentacja uprawia futbol dla pogodzonych z losem dorosłych, oferując wyłącznie zimny konkret z tablicy wyników. Części kibiców to wystarczy, inni ośmielają się żądać więcej.

Trenerowi się to nie podoba. „Dajcie nam się pocieszyć” – apeluje. Zapomina, że z publicznych pieniędzy fundujemy ludziom piłki piękne stadiony w każdym mieście i tłuste ligowe kontrakty, od dekad ponosząc koszty skrajnie nieadekwatne do osiągniętych przez nasz futbol efektów. Polak ma prawo wymagać więcej niż cztery celne strzały w trzech meczach. Więcej niż gra archaicznie pokraczna, której przebieg powinno się śledzić w telegazecie. Powtórki mundialowego sukcesu A.D. 2022 nikt nigdy nie włączy, to byłby seans nie do zniesienia. ●

Rafał Stec



Co mnie obchodzi sędzia Tuleya?

JACEK SASIN

minister aktywów państwowych z PiS

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez
cały weekend ***

PKTW22S

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Rakiety na granicy

Polski rząd odrzuca pomoc wojskową Niemiec i wymyśla kolejne powody. Czy zachowanie PiS w sprawie wyrzutni Patriot jest patriotyczne?

Czytaj ► Wyborcza.pl

Jarosław Mikołajewski Włoski łącznik

Za popularyzację języka i kultury włoskiej – ze szczególnym uwzględnieniem przekładu „Boskiej komedii” – złoty medal przyznawany przez Società Dante Alighieri odbierze poeta, tłumacz i nasz redakcyjny kolega Jarosław Mikołajewski.

We Włoszech, ich kulturze i języku Mikołajewski zakochał się jako nastolatek. Dziś o Italii mówi, że to jego druga ojczyzna. Píše o niej eseje, felietony, rozmawiał z najwybitniejszymi przedstawicielami tamtejszej literatury. Jest prawdopodobnie jedną z niewielu osób na świecie, która wie, kim naprawdę jest Elena Ferrante (ale nie zdradza tego nawet bliskim kolegom z redakcji „Wyborczej”). Kocha twórczość Pasoliniego, jak mało kto rozumie słowa Eco. Włochy obecne są też w jego poezji, przełożył na polski utwory najwybitniejszych twórców Półwyspu Apenińskiego. Mieszkańcom Italii prezentował wier-



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

sze najważniejszych polskich poetów – również jako dyrektor Instytutu Polskiego w Rzymie (2006-12), był przewodnikiem Wisławy Szymborskiej po Sycylii.

Jarek jest też autorem książek i wierszy dla dzieci, ma na swoim koncie – przywiezione naturalnie z Włoch – reportaże nazywane przez krytyków „poetyckimi”. Od lat pisze o losie współczesnych uchodźców, a bohaterem „Wielkiego przypływu” uczynił swojego przyjaciela, lekarza z Lampedusy Pietra Bartola. ●

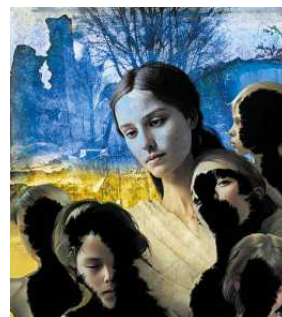
Michał Nogaś

W poniedziałek „Duży Format”

Czy Szwedzi oddadzą mi dzieci

Gluchoniema Anastazja uciekła przed wojną w Ukrainie do Szwecji. Tam opieka społeczna odebrała jej wszystkie dzieci. Sprawa Anastazji zaczęła się, kiedy jej dziećmi zainteresował się jakiś szwedzki pedofil.

Reportaż z Goteborga w poniedziałek



RYŚ. IGOR MORSE

Jezioro Garda i Północne Włochy

Cudowna wycieczka nad stynne jezioro Garda potoczona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i pięknego Tyrolu Południowego.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno i degustacja lokalnych przysmaków. **Dz. 2** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 3** Całodzienne wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tyrol. **Dz. 6** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 04/05, 20/09 2023 | od **4.998,-**



WYKŁAD
ONLINE



Rejs Alaska
15/12/2022 godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



Izrael wczoraj i dziś

Podróż śladami starożytnej i nowożytnej historii Izraela od ziem biblijnych wzdłuż rzeki Jordan po nowoczesny Tel Awiw nad Morzem Śródziemnym.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Tel Awiwu. Przejazd do hotelu. **Dz. 2** Jezioro Galilejskie. Starożytna synagoga w Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Bazylika Zwiastowania Pańskiego w Nazaret. **Dz. 3** Akko, Hajfa - centrum wyznawców bahaizmu. Kościół św. Piotra i Białe Miasto w Tel Awiwie. Przyjazd do Betlejem. **Dz. 4** Jerozolima. Góra Oliwna. Ściana Płaczu. Wzgórze Świątynne. Via Dolorosa. Bazylika Grobu Świętego. Wieczernik. **Dz. 5** Jerozolima. Muzeum Holocaustu Yad Vashem. Izraelski parlament Kneset. Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem. **Dz. 6** Jerozolima. Targ Machene Yehuda. Winiarnia Mony. **Dz. 7** Góra Kuszenia w Jerycho. Morze Martwe. Twierdza Masada. Kolacja w palestyńskim domu. **Dz. 8** Wylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 16/04 2023

6.498,-



Gejsze, szoguni i samuraje

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tokio - stolicy Japonii. Po obiedzie zwiedzanie świątyni Shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Tokio. Smak świeżego sushi, ogród Hamarikyu i wyspa Odaiba, dzielnica sklepów Ginza, Tokyo International Forum i Pałac Cesarski. **Dz. 4** Czas do własnej dyspozycji lub zwiedzanie Tokio z polskim pilotem. **Dz. 5** Przejazd pociągiem Shinkansen do Sendai. Zatoka Matsushima. **Dz. 6-7** Sendai. Wizyta w miastach Ishinomaki i Minami Sanriku, nawiedzonych przez tsunami i historia ich odbudowy, wizyta u lokalnych rolników i warsztaty rzeźbiarskie. **Dz. 8** Przejazd pociągiem Shinkansen do Kioto. Świątynia Shinto Fushimi Inari-taisha, targ Nishiki i Gion - urokliwa dzielnica gejsz. **Dz. 9** Kioto. Ogród Ryoan-ji, Złoty Pawilon, zamek Nijo, wizyta w ogrodzie zen i spacer po bambusowym lesie w Arashiyama. Kolacja z wolowiną wagyu w menu. **Dz. 10** Wazuka - herbaciana wioska oraz stynne Muzeum Miho z cennymi eksponatami sztuki. **Dz. 11** Przejazd pociągiem Shinkansen do Hiroshimy. Całodniowa wycieczka do Hiroshimy oraz na wyspę - świątynię Miyajima ze stynną czerwoną bramą torii. **Dz. 12** Przejazd autokarem z Hiroshimy do Shimane, przepiękne górskie krajobrazy, świątynie Shinto, zamek Matsue, kolacja kaiseki i kąpiel w gorących źródłach onsen. **Dz. 13** Muzeum Sztuki Adachi ze wspinałkami i ogrodami nadmorskim Muzeum Sztuki Adachi. **Dz. 14** Przejazd autokarem do Osaki i zwiedzanie Tower of the Sun - galerii noży. Pożegnalna kolacja. **Dz. 15** Przelot na trasie Osaka - Warszawa.

15 dni | Wyloty z Warszawy 11/03, 25/10 2023

od **16.998,-**



USA - Wschodnie Wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara - potęga natury.

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa - Nowy Jork - Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia - Baltimore - Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. - Gettysburg - Lancaster - Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport - Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls - stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham - Boston - Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis - Newport - Yale - Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 21/04, 08/09 2023

13.498,-

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW48

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Janusz Kowalski ma 18 lat, gdy wstępuje do młodzieżówki Unii Wolności w rodzinnym Opolu.

– Natychmiast zaczął ryc, intrygować – wspomina współzałożycielka opolskiej Unii.

– Zaczął pisać do nas, czyli do wojewódzkich władz partii, donosy na kolegów. Że nie pracują, że on by lepiej to zorganizował. Zignorowaliśmy donosy, odszedł obrażony.

Na studiach prawniczych w Łodzi (zaczął prawo, po oblanym egzaminie przeniesie się na administrację) przystąpił do młodzieżówki Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. Znow konflikty ambiciozne, ale konserwatywni ludowcy znaleźli sposób: niech założy młodzieżówkę w swoim Opolu i tam przewodniczy.

W Opolu walczy z eseldowskim układem wspólnie z Arkadiuszem Karbowiakiem, publicystą nacjonalistycznego „Szczerbca”, późniejszym wiceprezydentem Opola, jeszcze później – prezesem spółki budującej w Warszawie Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Mocnym wejściem obu w opolską politykę było palenie zniczy 13 grudnia 1998 r., które ustawili w kształcie krzyża pod siedzibą SLD.

– A eseldowcy i ich poplecznicy stanowili tam elitę polityczną, biznesową, medialną, więc to był spory szok – wspomina Tomasz Kwiatek, w tamtym czasie lider NZS na Uniwersytecie Opolskim.

– Jak się pan poznał z Kowalskim?

– Zaproponował miejsce w Młodych Konserwatystach, bo byłem aktywny na uczelni, protestowałem przeciwko wykładom profesora Stanisława Dolaty, przewodniczącego rady miejskiej z SLD, głęboko umoczonego w aferę Dobrych Domów...

Opolski przekręt deweloperski znany pod tą nazwą zakończył się serią skazań, profesor Dolata (już nieżyjący) dostał trzy lata więzienia, lecz dla Tomasza Kwiatka była to marna pociecha: za protest wyleciał z uczelni.

– W ten sposób razem z Januszem zostaliśmy politykami – mówi mi dalej. – On zrobił bardzo udaną kampanię samorządową AWS – osobiście rozlepił plakaty i nosił ulotki – a ja w niej wystartowałem, z sukcesem, do miejskiej rady. Śmiano się, że zamieniłem indeks na diety. Potem Janusz zorganizował jeszcze ciekawą debatę młodych konserwatystów z lewicą na temat PRL.

Na koniec tej debaty Kowalski wręczył swemu rówieśnikowi z SLD tomik wierszy Zbigniewa Herberta. Młody socjaldemokrata zrewanżował się konserwą, prawdopodobnie rybną.

Kwiatek nadal Kowalskiego ceni. – To superpracowity i aktywny człowiek. Teraz czytam, jak walczy o biomasę jako alternatywę dla źródeł odnawialnych. My jej zupełnie nie wykorzystujemy, a mamy przecież pełno rolniczych odpadów.

Narodowy Program Biomasy Rolniczej dla Energetyki i Ciepłownictwa to nowy konik nowego wiceministra rolnictwa. Pokróćce chodzi o to, żeby palić w piecach pelletem ze słomy, łusek słoneczników, lupin orzechowych itd.

– 25 milionów ton biomasy, która się dziś marnuje, może nam zastąpić 15 milionów ton węgla, którego brakuje – oświadczył Kowalski w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” w październiku br. Odpytani przez „Wyborczą” eksperci ze Stowarzyszenia Energetyki Odnawialnej mówią jednak, że to „dyrdymały”: – Kowalski chyba nigdy nie spalał biomasy. Teza, że półtony zastąpi tonę węgla, jest zwyczajną bzdurą. Nie ta kaloryczność.

Bulterier Zbigniewa Ziobry

KOWALSKI Z PROFESORAMI W NOSIE



„Człowiek,
który dla władzy
i własnej korzyści
sprzeda wszystko
i wszystkich”

Piotr Głuchowski

KOWALSKI, CZYLI KTOŚ TAKI JAK TY

Na początku XXI w. kampania samorządowa opolskiej AWS zakończyła się wprowadzeniem do 45-osobowej rady miasta raptem kilku konserwatystów obu płci. Ale Kowalski z kolegami nie odpuścili: wieszali na mieście plakaty z żądaniem dekomunizacji „czerwonego” miasta. Domagali się odkucia ze szkoły przy ul. Ozimskiej tablicy poświęconej PPR. Akcja oburzyła wykształconego w Leningradzie eseldowskiego barona Jerzego Szteligę, któremu w 2006 r. zostaną postawione zarzuty korupcyjne. Szeliga zbeształ 21-letniego Kowalskiego. – Nie chcemy podobnych awantur. Chcemy racjonalnej Rzeczypospolitej i spokojnej Opolszczyzny, gdzie ludzie będą mieli pracę. A co nam oferuje koalicja AWS i UW? Dekomunizację, lustrację, tego typu szkodliwe igrzyska...

– To, co słyszycie od posła, to kłamstwo, obłuda i jeszcze raz kłamstwo! – odpowiedział Kowalski, który przyszedł na protest z własnym megafonem.

– Kowalski i jego koledzy to byli w tamtym czasie młodzi antykomuniści, którzy z racji późnego urodzenia nie zdążyli na walkę z prawdziwą komuną, ale że w Opolu rządziła lewica, wyżywali się na niej tak, jak potrafili – ocenia współzałożycielka opolskiej Unii. – Sam nie był wodzony na pokuszenie współpracą z SB, nie stawał przed dylematem: strajkować – nie strajkować. Nie sprawdził własnej odwagi, a się z nią obnosił.

Faktycznie: Janusz urodził się raptem dwa lata przed powstaniem „Solidarności” – w kwietniu 1978. Ojciec, Edward Kowalski, pracował jako operator dźwigu. Zmarł, gdy syn był jeszcze uczniem szkoły średniej.

– Nie było w domu podziemia, bibuły, ulotek – wspominał Kowalski w rozmowie z „Wyborczą Opole”. – Uczono mnie jednak, że kłamstwo jest kłamstwem, a złodziejstwo – złodziejstwem. Tata był [honorowym] chrześniakiem marszałka Rydza Śmigłego, zaś dziadek – Franciszek „Roch” Kowalski – walczył w Pierwszej Brygadzie. To zobowiązuje.

Janusz mieszkał z mamą w gierkowskim wieżowcu, był prymusem, w ogólniaku szefem samorządu. Maturę zdał na szóstkach, miał drugą średnią w LO. Zwycięził w dwóch olimpiadach naukowych – wiedzy o Europie i Polsce. W nagrodę dostał indeks plus wyjazd do Irlandii.

Potem nastąpiła katastrofa w rządzącej AWS. Związek „Solidarność” wycofał poparcie, koalicyjna Unia wycofała ministrów, działacze związani z Lechem Kaczyńskim stworzyli PiS, z działaczy SKL jedni przeszli do Platformy, inni stworzyli partię Przymierze Prawicy (PP). Znaleźli się tam m.in. Mariusz Kamiński, Tadeusz Cymański, Jan Maria Jackowski, w drugim szeregu stanął i Kowalski, antykomunista wslawiony akcjami plakatowymi. Dostał stanowisko szefa PP na Opolszczyznę oraz drugie miejsce na liście w wyborach parlamentarnych 2001. I poszło mu nieźle, pod hasłem „Kowalski, ktoś taki jak ty” przeprowadził akcję „czyste ręce”, bezskutecznie żądając ujawnienia majątków notabli z SLD, ale tylko otarł się o mandat poselski – zabrakło 600 głosów.

„...ŻEBY PAN KOWALSKI CIUT SIĘ OPANOWAŁ”

W 2002 r. Przymierze Prawicy połączyło się z Prawem i Sprawiedliwością, a Janusz – świeżo upieczony magister administracji, który właśnie zaczął w Łodzi drugi fakultet – został wiceprezesem partii na Opolszczyźnie, zastępcą starszego o 28 lat posła Andrzeja Diakonowa. Przed październikowymi wyborami samorządowymi ten drugi zawarł sojusz z lokalną Platformą, wystawiono wspólnego kandydata na prezydenta miasta, Ryszarda Zembaczyńskiego. To wiceszef opolskiej PO, dyrektor oddziału Banku Ochrony Środowiska. W latach 1990-

1998 był wojewodą opolskim, pozostał popularny i miał szanse na sukces. Eseldowski układ spróbował kontrataku. Wskutek donosu (jak się okazało po latach - fałszywego) miejscowa prokuratura zatrzymała kandydata PO-PiS pod pretekstem przekroczenia uprawnień w związku z pracą w BOŚ. Chodziło o jeden wadliwie przyznany kredyt. Kowalski bronił Zembaczyńskiego, ale w prywatnych rozmowach sugerował, by człowieka z zarzutami z wyborów wycofać. Nowym kandydatem mógłby być on sam, ale Diakonow nie chciał o tym słyszeć.

Drugi powód konfliktu to kolejność kandydatów PO-PiS na listach w powiatach i gminach. Kowalski promował młodych, w tym nacjonalistów, którzy hajlowali na Górze Św. Anny, działaczy Narodowego Odrodzenia Polski, młodzieży Wszechpolskiej i ONR.

– Młodzi działacze są ideowi, nieprzejednani, do tego lojalni. Nie pójdą do rady załatwiać prywatnych biznesów, będą służyć miastu – zapewniał Kowalski. – A starsi mają rodziny, o które muszą zadbać, nie chcą ryzykować. Ułożą się z postkomuną...

Na starszych stawiał Diakonow, który wpuścił na listy m.in. działaczy opolskiej Wspólnoty Samorządowej z przeszłością w „różowej” UW.

– To osoby uwikłane w wieloletnie kontakty z SLD, ludzie, którzy nas zdradzają – ostrzegał student prawa. I znów: intrygował, pisał oświadczenia, próbował dzwonić po wsparcie na Nowogrodzką. Diakonow nie wytrzymał. – Janusz nie potrafi się zintegrować z partią, nie umie się odnaleźć – oświadczył oficjalnie. Na dwa miesiące przed wyborami rozesłał po mediach faks, w którym poinformował o cofnięciu Kowalskiemu pełnomocnictw PiS. Do tego zapowiedział, że postawi wniosek „o usunięcie z szeregu młodego intryganta”, którego media wtedy nazywały „najbardziej przebojowym politykiem lokalnej prawicy”.

Mój informator, wieloletni redaktor „Nowej Trybuny Opolskiej”, mówi, że na Kowalskiego naskarżył Sławomir Kłosowski, członek zarządu opolskiego PiS, dzisiaj wojewoda. Skarga dotarła do uszu Lecha Kaczyńskiego.

– Mamy jednego, zdolnego, młodego człowieka, ale o niezwykle impulsywnym charakterze i konfliktowego – stwierdził przyszły prezydent Polski w rozmowie z „NTO”. – My tymczasem chcemy, żeby PiS był partią ludzi w miarę kulturalnych. Mamy w Opolu działaczy w szacowniejszym wieku i choćby z tego powodu bardzo byśmy chcieli, żeby pan Kowalski ciut się opanował. Między nim i adwersarzami jest taka różnica, że mógłby być ich synem, co dla mnie ma znaczenie.

W obronę Kowalskiego wziął Wiesław Walendziak, wtedy poseł PiS: – Jest wzorem polityka bezinteresownego, ideowego w najczystszyim tego słowa znaczeniu. Nie rozumiem wrogości opolskich kolegów.

Rówieśnicy z partii również stanęli za nim murem, więc Diakonow z Kłosowskim rozwiązaeli cały opolski PiS, a 24-letni Kowalski stał się bezpartyjnym radnym.

WIELBICIEL DONALDA TUSKA I TOMASZA LISA

W 2003 r. założył w Opolu stowarzyszenie Stop Korupcji. Cel: dobić lokalny „złodziejski układ” i patrzeć nowej władzy na ręce. Dołączył do niego Patryk Jaki. Poznali się podczas protestu maturzystów pod Opolskim Urzędem Wojewódzkim. Zaczęło się od wycieku tematów z polaka i z matematyki dla woj. opolskiego. Gdy kurator i wojewoda z SLD unieważnili wyniki egzaminu, kilkuset maturzystów – w tym Jaki, szalikowiec Odry – żądało cofnięcia decyzji. Były krzyki, wyzwiska, poleciały jajka.

Kurator nie ustąpił, młodzi napisali maturę jeszcze raz, a przyjaźń Jakiego z Kowalskim przetrwała. Stali się nierozłączni.

Michał Pytlik, lokalny działacz Partii Razem: – Łączyła ich ideowość i uprawia-

nie polityki na zwarcie. Ostry język, obro-na przez atak, nieustanne konferencje prasowe...

– Musieliśmy być ofensywni, bo tego wymagała skuteczność – tłumaczył podówczas Kowalski. Dla tej skuteczności wstąpił do Platformy, partii Zembaczyńskiego. Dziś przeciwnicy Janusza z upodobaniem zamieszczają w sieci jego zdjęcia z Donaldem Tuskiem oraz pełne zachwyty opinie na temat Tomasza Lisa i książki „Co z tą Polską?”, którą nowy członek opolskiej Platformy kupił na spotkaniu autorskim z szefem „Faktów”, późniejszym naczelnym „Newsweeka”.

– W tamtych czasach to była dobra książka – tłumaczył w 2020 roku.

W PO Kowalski wytrzymał rok, a poszło o stanowisko. Napracował się przy kampanii kandydata na prezydenta miasta, za co miał rzekomo dostać wiceprezydenturę, ale pracownicy ratusza odradzali nominowanie „tego oszołoma, co nam palił znicze”. Kowalski zrobił wtedy rachunek sumienia w rozmowie z „Wyborczą”.

– Tak, lubię dominować w środowiskach i skupiać je wokół siebie. Jak graliśmy w szkole w siatkówkę, musiałem dyrygować, pokrzyzczeć... Mam problemy z ustępowaniem, kiedy wiem, gdzie jest racja. Oszołom? Nie byłbym w tym miejscu, w którym jestem, gdybym się przejmował takimi inwektywami. Raptus? Każdemu zdarza się być nerwowym. Na przykład dałbym w głębę komuś, kto źle traktuje kobiety. Już raz zresztą dałem.

Drugim powodem rozstania z Platformą mógł być nieudany start do Sejmu z jej listy w 2005 r. Opolski radny i szef „Stop Korupcji” był na tyle pewny, że zgodził się kandydować z ostatniego miejsca. I to go zgubiło. PO wprowadziła w Opolskiem czterech posłów, lecz nie Kowalskiego.

Ma 18 lat, wstępuje do młodzieżówki Unii Wolności i zaczyna pisać donosy na kolegów

I powód może najważniejszy – konflikt personalny z szefem partii w regionie, posłem Leszkiem Korzeniowskim, któremu młody gniewny wyciągnął przeszłość w PZPR i zarzucił wypchanie do zarządu wojewódzkiego PO kolegów z prywatnego przedsiębiorstwa. W odpowiedzi biznesmen-parlamentarysta zawiesił Kowalskiego w prawach członka: – Andrzej Lepper to twarz Samoobrony, Roman Giertych to twarz Ligi Polskich Rodzin, a ja bym sobie nie życzył, żeby wizerunkiem PO w regionie był radny Janusz Kowalski – mówił „NTO” Korzeniowski. – To typ, który na własne potrzeby tworzy sobie wrogów, byleby pokazać, jaki on sam świetny. Człowiek, który po prostu nie umie żyć w komitywie i dlatego opuszcza właśnie trzecią partię. Ze swym charakterem pasowałby lepiej do PiS.

BEZPARTYJNY PORZUCA POLITYKĘ

Po rozstaniu z Platformą Kowalski znów podryfował ku zwycięskim Kaczyńskim.

Prezydentem był już Lech, premierem – po Kazimierzu Marcinkiewiczcu – brat prezydenta. Kowalski z Jakim stali się poputcznikami. Razem z Jakim nasyłali na opolski magistrat państwowe kontrole i oskarżali zatrudnionych tam o nepotyzm. Janusz zaprzyjaźnił się w tym czasie z młodym konserwatystą Przemysławem Wiplerem, który dyktował w PiS-owskim Ministerstwie Gospodarki. Rekomendował opolani-na i Kowalski został dobrze opłacanym doradcą resortu. Pieniądże szybko zaczęły go przyciągać. W latach 2006-07 został członkiem kilku rad nadzorczych, a po przegranej PiS przeszedł do prezydenckich struktur Lecha Kaczyńskiego, który jeszcze niedawno narzekał, że młodzian jest źle wychowany.

Spędzał coraz więcej czasu w Warszawie, a jako że w Opolu zraził do siebie zarówno PiS, jak i Platformę, ogłosił, że „ostatecznie rezygnuje z polityki”: – Może założyć własną firmę...

DRUGIE ŻYCIE NA POSADACH...

...zaczyna się w 2014 r. Kowalski skończył podyplomowo prawo spółek na Uniwersytecie Warszawskim, wziął ślub z koleżanką z Opola, Joanną z domu Nycz.

– Polityka zeszła od tej pory na dalszy plan – opowiadał „Wyborczej” w ostatnim roku rządów Platformy Obywatelskiej. Ale to nieprawda – cały czas do polityki tęsknił. Własna firma – dystrybucja drukarek 3D – delikatnie mówiąc, nie podbiła rynku. Ostatnie lata przepracował jako członek zarządu agencji marketingu sportowego z pensją (na rękę) dwa i pół tysiąca – małżonka zarabiała więcej. Lepiej poszło Jakiemu, który został posłem PiS i założył ze Zbigniewem Ziobrą Solidarną Polskę. W 2014 r. Kowalski nagle przyjeżdża do Opola na konferencję prasową kandydata SLD na fotel prezydenta Opola i rozdaje radnym kartki z „prawdziwym życiorysem” pretendenta.

– Mam moralny obowiązek mu to wypominać – mówi Kowalski, ale miał też polityczny interes, bo z Jakim mają swojego kandydata do miejskiej prezydentury. To Arkadiusz Wiśniewski, rówieśnik Kowalskiego, który razem z nim wspierał Zembaczyńskiego, a potem też zerwał związki z Platformą. Opolska plotka głosi, że gdy wygra Wiśniewski, wówczas „warszawski” Kowalski zostanie jego wice. On sam dementuje to kilka razy, lecz tuż po wyborach zostaje wiceprezydentem od sportu, kultury i polityki senioralnej.

– Jak to się ma do pańskich wcześniejszych dementi? – pytają dziennikarze.

– Jeszcze kilka dni temu nie myślałem o posadzie w ratuszu. Konkretną propozycję otrzymałem dosłownie trzydzieści godzin temu. Nie powiem, że przyjąłem ją bez wahania...

Nowy prezydent mianował ojca Jakiego szefem wodociągów. Koledzy i koleżanki tercetu Jaki, Kowalski, Wiśniewski z czasem zajęli również posady w miejskim zarządzie dróg, urzędzie pracy, oddziale TVP (Mateusz Magdziarz zwany „Małym Kurskim”), a nawet w stadninie koni i miejskiej przychodni zdrowia.

Dobrze usadowiony w siodle wiceprezydent od sportu i kultury zaczął prowadzić w Opolu PiS-owską politykę. Choć nie był członkiem partii, zasiadł na Nowogrodzkiej w radzie programowej, poznał prezesa. Gdy Kaczyński nazwał śląskość „zakamuflowaną opcją niemiecką”, Jaki i Kowalski zażądali „odebrania Mniejszości Niemieckiej nadmiernych przywilejów”. Chodziło m.in. o zniesienie dwujęzycznych nazw miejscowości i zmniejszenie liczby posłów MN w parlamencie. Walka z „niemiecką opcją” przybrała na sile, gdy prezydent Wiśniewski postanowił powiększyć Opole. Do miasta miały być włączone gminy rządzone przez wójtów z Mniejszości, gdzie niemiecki jest drugim językiem urzędowym. I coś jeszcze: na terenie wytypowanym do

włączenia stoją wielcy płatnicy podatków – elektrownia Opole i centrum handlowe Turawa – więc gra szła także o kasę.

Mieszkańcy gmin protestowali: blokowali opolską obwodnicę, głodowali, zakłócili inaugurację festiwalu piosenki. Próbowali okupować biuro Patryka Jakiego. Wszystko nadaremno: w 2017 r. Opole zostało powiększone, ale Kowalski z Jakim na tym nie poprzestali. Patryk oskarżył lokalnych Niemców, że wcześniej ściągali polskie flagi z budynków administracji, do tego nie włączali syren w rocznicę powstania warszawskiego. Janusz zażądał usunięcia niemieckojęzycznych napisów na stacjach kolejowych w paru miejscowościach, domagał się wstrzymania dotacji na lekcje niemieckiego dla dzieci z mniejszości. „Niemcy chcą skolonizować Polskę”, „odebrać nam suwerenność”, „oni plują nam w twarz i się śmieją” – mówił dziennikarzom.

Gdy w 2022 r. poseł MN Ryszard Galla zgłaszuje przeciw budowie muru na granicy polsko-białoruskiej, Zjednoczona Prawica odkurzy antyniemiecką inicjatywę Kowalskiego – i mniejszość straci 40 milionów złotych na naukę języka.

I JESZCZE WIĘCEJ POSAD

Od 2015 Kowalski i Jaki to wielcy kadrowi Śląska, ich ludzie są w Tauronie, w Hucie Łabędy i w zakładach karnych. Sołtys Brzezia, z zawodu elektryk, zostaje na krótko dyrektorem elektrowni Opole. Barman z należącej do żony Jakiego piwiarni dostaje posadę w państwowej spółce. Żona Janusza zostanie kierowniczką do spraw ochrony infrastruktury w strategicznej spółce państwowej Gaz-System. Będzie tam zarabiać powyżej 15 tysięcy na miesiąc i mąż nie może być gorszy. A właśnie się zdarzyły dwie rzeczy.

Po pierwsze, Kowalski wszedł w konflikt z Wiśniewskim, gdy pracownicy wodociągów posądzili Jakiego seniora o mobbing. Kiedy prezydent, zamiast zatuszować sprawę, zaczął ją wyjaśniać, spadły nań kontrole z CBA, bo Janusz złożył doniesienie, że Wiśniewski zbyt tanio kupił dwa mieszkania w miejskim TBS.

– On zaatakuję i poźre każdego, kto stanie mu na drodze – ocenia Wiśniewski w rozmowie z „Newsweekiem”. – To człowiek, co dla władzy i własnej korzyści sprzeda wszystko i wszystkich.

I to sprzeda drogo. Bo drugie wydarzenie to powołanie na fotel prezesa państwowego giganta PGNiG kolegi Kowalskiego z zespołu doradców prezydenta Lecha Kaczyńskiego – Piotra Woźniaka. Ten zatrudnia teraz odchodzącego wiceprezenta Opola wpierw jako prokurenta, a potem członka zarządu. Janusz po raz drugi żegną rodzinne miasto, by wreszcie stać się bogatym. W latach 2016-19 zasiada w rządach PGNiG i Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych oraz w radach nadzorczych KGHM i Poczty Polskiej, gdzie zarabiał w sumie powyżej dwóch milionów złotych. Musi mieć jednak wydatki, bo według oświadczenia z końca 2019 r. jego oszczędności to raptem 13 tysięcy w gotówce, 120 tysięcy w akcjach Tauronu, 70 tysięcy w funduszach inwestycyjnych banku PKO, do tego wartość 800 tysięcy mieszkanie w stolicy i terenowa honda.

DO TRZECH RAZY SZTUKA

W 2019 r. Patryk Jaki zdobywa mandat europosła i przenosi się do Brukseli, a Kowalski... znów zjawia się w Opolu i zaczyna trzecią kampanię sejmową. Kandydował już – przypomnijmy – z Przymierza Prawicy (ale listy PiS), z Platformy, a teraz – z Solidarnej Polski. Zaczyna, jak zwykle, ostro: konkurenta z KO określa „nieudacznikiem” i przegrywa proces wyborczy, ale się nie zraża. Ma placet Radia Maryja i poparcie Jakiego. Kampanię kończy w błysku fleszy modlitwą do siostry Faustyny. Wchodzi

Lech Kaczyński mówił o Kowalskim: Człowiek o niezwykle impulsywnym charakterze i konfliktowy

do parlamentu, przypada mu posada wiceministra aktywów państwowych. Rodzi się Kowalski – jastrząb „dobrej zmiany”, choć część niepisowskich mediów wybiera określenie „bulterier Zbigniewa Ziobry”.

Kiedy sędziowie Sądu Najwyższego krytykują członków nowej Krajowej Rady Sądownictwa, Kowalski oświadcza: – Mam w nosie 60 profesorów, bo jestem za Polakami. To nie są autorytety.

Gdy Komisja Europejska informuje o powiązaniu funduszy dla Polski z przestrzeganiem praworządności, Janusz żąda zawetowania budżetu całej Unii: – Weto albo śmierć!

Premier Mateusz Morawiecki na weto się nie godzi. Kowalski go krytykuje: chodząc od studia do studia, opowiada o konsekwencjach przyjęcia budżetu Unii „z tytułem egzekucyjnym”: – Jeśli Polska to przyjmie, zmuszona będzie i do homomałżeństw, i do adopcji dzieci przez pary gejowskie, i do przyjmowania tysięcy uchodźców, i do uczenia gender... na to się zgodził premier.

Czyli wszystko jak dotąd: po roku w kolejnej organizacji Kowalski pokłócił się z szefem, tym razem z premierem. Zgodę na odstrzał Janusza prezes Kaczyński daje Morawieckiemu już w lutym 2021.

Trwa pandemia COVID i zdymisjonowany Kowalski objawia się nagle jako przeciwnik szczepień. Z klubową koleżanką, Anną Siarkowską, biorą na cel Dom dla Dzieci w Nowym Dworze Gdańskim. Po wód? Na antyszczepionkowych forach pojawiła się wieść, że szczepią tam niepełnoletnich bez zgody opiekunów prawnych.

Janusz dzwoni wpierw na komórkę Aleksandry Krefty, dyrektorki Domu.

– Mówił, że chciałby porozmawiać o naszej placówce – wspomina kierowniczka. – Wytłumaczyłam, że dom stoi pusty, dzieci na koloniach. Nie przyjął do wiadomości.

Nie przyjął, bo siedział już wtedy – z posłanką Siarkowską – w pędzącym na Pomorze aucie. Ona kierowała, on wrzucał na Twittera zdjęcia dokumentujące interwencję. Uruchomił kamerę, dzięki czemu przebieg akcji można do dzisiaj oglądać na YouTube.

Posłanka: – Jesteśmy dzisiaj przed domem, gdzie mieszkają dzieci, co do których mieliśmy doniesienia, że były zmuszane do szczepień i nie informowano o tym ich opiekunów prawnych. Czy tak jest rzeczywiście? Tego się nie dowiemy...

– ...ponieważ mimo naszej wcześniejszej rozmowy z personelem drzwi zastaliśmy zamknięte. – Kowalski podchodzi do wejścia i szarpie za klamkę.

Nasylają kontrolę, wynik – trzech pełnoletnich podopiecznych sierocińca zaszczepiło się za wiedzą i zgodą opiekunów prawnych. Dwójka dzieci pojechała na zastrzyk z babcią. Innych nie zaszczepiono.

Ale Kowalski ciśnie. Gdy grupa posłów PiS chce umożliwić pracodawcom sprawozdanie szczepień pracowników, zwołuje konferencję: – Doprowadzenie do sytuacji, w której pracodawcy będą mogli dyskryminować [niezaszczepionych] pracowników, jest absolutnym działaniem na podział społeczeństwa. Taki scenariusz chciałby realizować w Polsce Władimir Putin.

Profesor Andrzej Horban, konsultant krajowy od chorób zakaźnych, pytany przez dziennikarzy o słowa Kowalskiego mówi, że gdy go słucha, „nóż się otwiera w kieszeni”.

– Horban grozi mnie, posłowi, nożem! – alarmuje Janusz.

Internauci ostrzegają przed skutkami zjedzenia beczki soli, skakania za kimś w ogień i rzucania okiem. Pojawia się propozycja zmiany imienia na „Janóz”.

LGBT UDERZA W DNA

Druga połowa ubiegłego i początek obecnego roku to już festiwal Kowalskiego. Kolsze PiS-owską łodzią, ostro przemawia w Sejmie.

– Gdyby dzisiaj było referendum, zagłosowałbym przeciwko wejściu do Unii – mówi w Radiu ZET. – Bo Unia kojarzy się z ubóstwem energetycznym oraz agendą gender i LGBT.

W Radiu z Torunia: – Niemcy są koniem trojańskim Putina w NATO.

Na konferencji prasowej: – Mamy już w Polsce do czynienia z tęczowym terroryzmem. LGBT uderza w DNA polskiej rodziny. Polska powinna być cała strefą wolną od LGBT. Ideologia gender to największe zagrożenie XXI w. To trucizna.

W programie Onet Opinie: – Rok 2027, kiedy zakończy się obecna perspektywa budżetowa, to będzie czas, kiedy można zrobić referendum w sprawie wyjścia z Unii.

Dziennikarz Andrzej Stankiewicz wyprasza go ze studia Radia ZET, bo w dyskusji o wojnie w Ukrainie poseł napadł na rozmówców z PO: – Jak to jest stać przy Tusku, dzięki któremu Putin zarabiał w Polsce miliardy euro i finansował te bomby, które spadają teraz na naszych przyjaciół ze wschodu? Kto umarzał Gazpromowi miliard złotych? Tusk! Kto pozwalał przysyłać za darmo gaz przez Polskę? Tusk! Prowadzący zwraca uwagę, że „gazociąg przez nasz kraj powstały jeszcze w czasach PRL-u, a Tusk procesował się z Rosjanami...”.

– Pan kłamie! – przerywa Kowalski. Stankiewicz: – Nie jest pan w stanie przezwyciężyć fobii! Możemy wrócić do Ukrainy? Ludzie tam giną.

Kowalski: – Ale pan wciąż kłamie! Stankiewicz: – Zegnam pana!

W programie TVP, w którym politycy rozmawiają o ostatniej Paradzie Równości, Kowalski ostrzega, że „dzieci zaczynają przesiąkać lewacką nowomową”: – Nagle zaczynają się zastanawiać, jaką mają płeć.

Wiceminister rolnictwa nie rozróżnia co prawda zbóż, ale jest bulterierem Ziobry

Nawet widzę te kredki... kolorowe kredki, po prostu jest wszystko w tych tęczyowych barwach.

Internet ma ubaw. Stowarzyszenie Młodzi Demokraci – to samo, w którym Janusz zaczynał 25 lat temu – wysyła mu do opolskiego biura kilkadziesiąt pudełek kredek. Tymczasem kolega z Solidarnej Polski, 10 lat młodszy od Janusza poseł i wiceminister rolnictwa Janusz Kaczmarczyk, bierze akurat ślub. W prezencie dostaje ciągnik wart półtora miliona złotych. Firma handlująca tym sprzętem obniżyła cenę, lecz przy tym wykorzystwała okazję, by się podpromować. Opozycja zawiadamia CBA: czy przedsiębiorstwo działające w branży rolnej nie korumpuje aby wiceministra? Kaczmarczyk kluczy: nie dostał maszyny, a jedynie zgodę na użytkowanie. Nikt jednak w to nie wierzy, zostaje odwołany. Solidarna Polska – zgodnie z kontraktem z PiS – wyznacza następcę. Ziobro wskazuje Kowalskiego, Morawiecki musi się zgodzić, chociaż nasz bohater nie ma pojęcia o rolnictwie. Po nominacji, w studiu Polsatu, lider opozycyjnej Agrounii Michał Kołodziejczyk wręcza nowemu wiceministrowi kredki: – Są kolorowe, żeby pan sobie narysował łąki, pola, traktor... I na tym żeby pan skończył swoją przygodę z rolnictwem.

W programie „Pieniądże to nie wszystko” prowadzący pokazuje mu kłosa polskich zbóż. – Co pan widzi? – pyta.

– Wygląda jak pszenica. – Nie, to nie jest pszenica. To jęczmień. Następne zdjęcie proszę.

Teraz widać owies, minister znowu się wyklada.

„Jak tacy ludzie się będą zajmować polskim rolnictwem, to ono upadnie” – komentuje na Facebooku Kołodziejczyk.

GDYBY SIĘ NARODZIŁ TAKI DRUGI KOWALSKI...

Z ostatniego oświadczenia majątkowego (kwiecień br.) wynika, że po zamianie spółek skarbu państwa na fotel rządu wy Kowalski zarabia mniej. Za półtora roku w Ministerstwie Aktywów Państwowych skasował raptem 200 tysięcy. Zarobki w resorcie rolnictwa nie są jeszcze znane. Do tego dochodzi dieta parlamentar-na: 40 tysięcy rocznie oraz apanaże (slużbowy samochód, karta kredytowa itd.). W skład majątku nadal wchodzi fundusze PKO (ponad 100 tysięcy), do tego udziały w gruntach (22 tysiące) i to samo auto co wcześniej: honda CRV. Ważniejsze są jednak wpływy – w Opolu i w stolicy. Znajomi Kowalskiego i Jakiego zajmują stanowiska m.in. w oddziałach Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, w Agencji Nieruchomości Rolnych, w spółkach skarbu państwa z Grupy Azoty Kędzierzyn, a nawet w fabryce obuwia ze Strzelec Opolskich (wspomniany Mateusz Magdziarz).

– Gdyby jakimś cudem znowu znalazł się u nas taki nowy młody i wyszczekany, co chciałby tropić lokalne układy, musiałby się zabrać w pierwszej kolejności za posła-ministra Kowalskiego i jego znajomych w spółkach – mówi mi Krzysztof Żyzik, kiedyś naczelny „NTO”, dziś wydawca tygodnika „O!Polska”.

Minister Kowalski najpierw zgodził się telefonicznie na rozmowę, potem odwołał zgodę SMS-em. Na moją propozycję wysłania pytań nie zareagował, podobnie jak na ofertę zapoznania się z gotowym tekstem i skomentowania. ●

Dziękuję za pomoc koleżankom i kolegom z redakcji w Opolu

Plączcie jak Lewandowski

Może jednak warto myśleć Kotarbińskim i jego „Traktatem o dobrej robocie”?

Marcin Matczak

Stary chłop, a beczy!”, powiedzą wyznawcy macyzmu, patrząc na powtórki z meczu Polska – Arabia Saudyjska, na których Robert Lewandowski załzawionymi oczyma spogląda na publiczność po strzeleniu swojego pierwszego gola na mistrzostwach świata. Czy piłka nożna i męskie lzy nadają się na felieton, w którym spektakularnie wrócimy do tematyki 16 godzin pracy? „Jeszcze jak!”, że zacytuję Jana Pawła II, który wraz z husarią i świętą wojną jest podczas imprezy w Katarze często przywoływany. Zwłaszcza przed meczem z Argentyną, gdzie rywalizuje w memach z papieżem Franciszkiem.

Dlaczego Robert Lewandowski płakał? Bo kiedyś sobie coś wymarzył, potem ciężko pracował, żeby to zrealizować, a w końcu to zrealizował. Ta prosta sekwencja jest dla wielu niedostępna, nie w zakresie elementu trzeciego (realizacja), ale w zakresie dwóch pierwszych (marzenie i praca). Po pierwsze, wielu ludzi dryfuje w świecie. Nie potrafią wyznaczać sobie celów, bo albo ktoś wyznaczał je zawsze za nich (nadopiekuńczy rodzice?), albo możliwych celów jest tak dużo, że nie potrafią wybrać. Abdykują więc od tego wyboru. Poza tym raz wybrany cel – czy to zawodowy, czy to prywatny – domaga się realizacji i gryzie w sumieniu. Jest wyrzutem i powoduje dyskomfort, jest normą, która staje się dla wielu opresją. Stąd wielu mówi „nie wiem, co chcę w życiu robić” i nie można ich za to do końca winić. Nie ma jednak potrzeby, aby z tego czynić cnotę.

Lewandowski cel sobie wyznaczył, przyjmując na siebie cały dyskomfort z tym związany – przede wszystkim strach przed porażką. To już bardzo dużo. Tymczasem lewicowa narracja, z którą przychodzi się zmagać każdemu, kto o potrzebie ciężkiej pracy mówi, jest podejrzliwa wobec wyznaczania celów. Myśl postmodernistyczna dla przykładu weszła tu manipulację: „nie sam sobie cel wyznaczyłeś, ale ci go podstępnie narzucili”. Wielkie metanarracje cię wtoczyły w kierat, religia zgwałciła ci mózg. Na przykład wzór św. Rodziny, którego uczono cię na religii, ukształtował ci wizję mężczyzny – pracowitego opiekuna, i kobiety – troskliwej matki. A ty masz prawo być dzieciatkiem i leżeć na sianie.

Lewandowski nie tylko cel wyznaczył, ale konsekwentnie go realizował. I tu wreszcie dochodzimy do 16 godzin – do banału, że realizacja ambitnego celu wymaga pracy, a więc znowu dyskomfortu. Nie przestaje mnie zadziwiać zażyłość ataków lewicy na każdego, kto stwierdza oczywistość: sukces w jakimkolwiek obszarze wymaga tyranii. Jakies stare dziadki jak ja czy Gwiazdowski rzucimy po jednym zdaniu na ten temat i nagle pojawia się alergiczna reakcja tysiąca osób, które krzyczą „non possumus”, kładąc się Rejtanem na Facebooku. A właściwie powinni powiedzieć „OK, boomer” i nas zlekceważyć. Ciekawe, skąd to poruszenie.

Moim zdaniem z głębokiego, skrywanego poczucia winy. Dyskusja o 16 godzinach wynikała z mojej obserwacji, że wielu ludzi nie chce pracować, bo nie chce odczuwać dyskomfortu. I nie mówię tu o pielęgniarkach, kasjerach i strażakach, bo ci ludzie akurat problemu z odczuwaniem dyskomfortu nie mają. Nie przypo-

minam sobie też, żeby po mojej wypowiedzi agresywnie napisali do mnie jakiś strażak albo pielęgniarka. Mówię o młodych ludziach, których łatwo rozpoznać już w czasie pierwszej rozmowy. Prosisz, żeby coś zostało zrobione, i widzisz zdziwienie w oczach. Następnie pojawia się typowe pytanie: „Ale dzisiaj?”, oraz typowe twierdzenie: „Ale to się nie da!”. I już wiesz, że wiele z tego nie będzie.

Na szczęście są też inni – o nich mówi się, że mają ciąg na bramkę, i ta piłkarska metafora jest w tym felietonie jak najbardziej na miejscu. Ci mają w oczach ciekawość zadania i ekscytację na myśl, że się z nim zmierzą. Chcą zrozumieć, na czym ono polega, i spontanicznie proponują, jak do zadania podejść. Są zaradni w najbardziej tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

Czasami zdaje mi się, że cały ten spór o 16 godzin opiera się na jednym, różnie rozumianym przez strony słowie: spolegliwość. Ja rozumiem je za Kotarbińskim jako cechę kogoś, na kim można polegać, jako połączenie woli, siły, wiedzy i sprawności. Lewica rozumie je jako uległość – a więc posłuszne, cielece wykonywanie poleceń, które prowadzi do wykorzystania i destrukcji wykonującego. To dwa przeciwstawne rozumienia – w pierwszym praca jest cnotą, w drugim wyzyskiem.

Może jednak warto myśleć Kotarbińskim i jego „Traktatem o dobrej robocie”? Mimo że głównie skupiony na „spolegliwym opiekunie”, Kotarbiński etykę pracy łączył z prakseologią, a więc refleksją nad tym, jak sprawnie działać. To pozwala nam myśleć o spolegliwości jako trosce o powierzone zadanie, o opiece nad powierzoną sprawą.

W tym sensie ktoś NIEspolegliwy to „sobek, [który] dba tylko o swoją skórę, swoje mienie, swoje przyjemności, czy dlatego, że zapowiedź opieki potraktował niepoważnie, lekkomyślnie, albo dlatego, że dał się skusić jakiejs ponęcie i zszedł z posterunku albo się zamroczył, nie zdobywszy się na przeciwstawienie chętcie doraźnej rozumnego, świadomością prześwietlonego powściągu”.

Lewandowski z posterunku nie schodził przez wiele lat i dlatego dopiął swego. A płakał, bo po drodze tak wiele mogło pójść nie tak. Jak bokser, który chce być mistrzem świata, może zostać pozbawiony złudzeń jednym przypadkowym ciosem, tak piłkarz może zakończyć swoją drogę przypadkową kontuzją. Dlatego gdy jednak się udaje, pewnie trudno uwierzyć, że się udało. I wtedy spada na człowieka pamięć tych wyrzeczeń pomieszana z długoletnim strachem, ale i z satysfakcją, że było warto.

A spolegliwym inaczej pozostaje narzekanie, że wprawdzie strzelił, ale dał na cel charytatywny tylko pół miliona. A mógł przecież sam czekać, aż ktoś mu da, i się nie przejmować. Na tym jednak polega prawdziwa spolegliwość Kotarbińskiego, żeby się przejmować. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



BORN IN THE USA

Wszyscy jesteście na wyprzedaży

To już nie Black Friday ani Black Week, tylko Black Year.

Maciej Jarkowiec

Oglądam klipy ze sklepowych kamer pokazujące tłumy pędzące na złamanie karku, żeby skorzystać z wyprzedaży w Black Friday. W 2005 r. w Montanie kobieta upada, ludzie depczą po niej, spada jej peruka. Zostaje memem. „Oskałpowana przez niskie ceny”. Ha, ha. Parę lat później w Kalifornii w sklepie z zabawkami dwóch klientów przy kasie mierzy do siebie z rewolwerów. W Walmarcie w Long Island Jdimytai Damour, uśmiechnięty dryblas w dredach i mundurze ochroniarza, przed świtem pilnuje wejścia. Jest ciemno, otwarcie o piątą, długa kolejka. Ludzie biją pięściami w szklane drzwi, szyby wypadają, klienci przewracają Damoura, biegną po nim, wgniatają go w szkło. Robią zakupy, gdy nadjeżdża karetka. Robią zakupy, gdy godzinę później Damour umiera w szpitalu.

Dlaczego „Black”? Przecież czarne w naszej kulturze jest złe. Białą jest bóg i anioły, czarne są diabły i piekło; zaraza i śmierć. Latyfundyści z Południa wykorzystali te skojarzenia, gdy na potrzeby zabezpieczenia interesów wymyślili rasizm.

Czarny jest dzień kataklizmu. Pierwszy Black Friday nastąpił w 1869 r., gdy w wyniku spekulacyjnego spisku ceny na giełdzie w Nowym Jorku poleciały na łeb na szyję i w drobny mak rozsypały się setki fortun. W połowie ubiegłego stulecia policjanci w Filadelfii zaczęli tym terminem określać piątek po Święcie Dziękczynienia, kiedy mieszkańcy brali urlopy, żeby robić zakupy. Miasto paraliżował korek. Ulice i sklepy się zapelniały. Po zakupach świętowano w barach. Ciężko było to wszystko upilnować.

Aż dzień kataklizmu zamienił się w dzień zwycięstwa. Black Friday rozciągnął się na Black Weekend, gładko przeszedł w Cyber Monday i Black Week. Jak Coca Cola i McDonald’s rozprzestrzenił się na cały świat. Kapitalizm pożarł chrześcijaństwo: postny i refleksyjny czas adwentu przeobraził się w karnawał konsumpcji. Rok w rok maltretowani miliardowymi wersjami „White Christmas” i „Jingle Bells” buszujemy między półkami – coraz częściej wirtualnymi – żeby kupować miliony ton przedmiotów. Przykładamy telefon do czytnika paczkomatu, sprężynują drzwi szafki i wyciągamy karton, w którym zmieściłby się stary telewizor z kineskopem. Ale potężne pudło skrywa jedynie nieduży kalendarz adwentowy, zabezpieczony wielowarstwową tekturą, tak aby w transporcie nie zgniotła się ani jedna czekoladka.

Kilka lat temu aplikacja zakupowa o wszystko mówiącej nazwie Lucky promowała się kampanią, w której kupowanie było lekiem. Chłopak rzucił cię przez esemesa? Kup sobie coś i poczujesz się lepiej. Tylko twój stażysta śledzi cię na Twitterze? Kup sobie coś i poczujesz się lepiej. Spoty wywołały oburzenie. Pisano, że są niemoralne. Przypominano, że uzależnienie od zakupów jest chorobą. Namawianie ludzi do leczenia smutku zakupami nie różni się niczym od zachęcania ich do picia albo brania narkotyków.

Firma uznała sprzeciw za nieuzasadniony. Przecież mechanizm opisany w kampanii jest podstawą systemu gospodarczego, w jakim żyjemy. Produkujemy w nadmiarze, wymyślamy reklamy, żeby przekonać samych siebie, że nie możemy żyć bez wszystkiego, co wyprodukowaliśmy, kupujemy, wyrzucamy i tak w kółko. Każdy z nas wie, że jeszcze większy telewizor szczęścia nie daje – no, może na chwilę – a i tak, raz za razem, dajemy się oszukać. Na okrągło trwa Black Year. Żyjemy w kulturze permanentnej wyprzedaży.

Populacja USA w ostatnim półwieczu zwiększyła się o 60 proc., a wydatki na konsumpcję po uwzględnieniu inflacji wzrosły czterokrotnie. Produkcja śmieci w okresie bożonarodzeniowym w Stanach zwiększa się o jedną czwartą. Co roku Amerykanie wyrzucają 13 mln ton ubrań. 85 proc. tekstyliów sprzedanych w USA kończy na wysypiskach śmieci. Dziennikarskie śledztwo w Anglii pokazuje, jak w Amazonie miliony ton telefonów, komputerów, telewizorów, dronów, słuchawek, zabawek, suszarek do włosów ładowanych jest do kartonów z napisem „Destroy” – zniszczyć. To produkty, które nigdy nie zostały sprzedane i wyszły z mody zastąpione nowymi modelami lub te zwrócone przez klientów. Wózki widłowe ładują kartony na ciężarówki, wozy odjeżdżają w stronę wysypisk i zakładów utylizacji. Pracownik firmy mówi: „Naszym celem jest zniszczenie 130 tys. przedmiotów tygodniowo”.

Najszybciej wzbierającą globalną rzeką odpadów są e-śmieci. Każdego roku miliony ton toksycznych materiałów używanych do produkcji elektroniki zatruwają gleby, wody i powietrze. UNICEF publikuje raport stwierdzający oczywistą oczywistość: kraje wysokorozwinięte konsumują najwięcej, zużywają najwięcej zasobów i najbardziej przyczyniają się do chorób i umieralności dzieci w krajach najbardziej ubogich. To przede wszystkim tam truje się otoczenie, żeby nadążyć z wyprodukowaniem wszystkiego, co pragniemy zakupić. Nadprodukcja i nadkonsumpcja są głównym źródłem zmian klimatycznych i katastrofy ekologicznej. Na Pacyfiku, między Kalifornią a Hawajami, oceaniczne prądy utworzyły wyspę plastiku wielkości 1,6 mln kilometrów kwadratowych, czyli pięciokrotnie większą od Polski. Nosi nazwę: Wielka Pacyficzna Plama Śmieci. Pisane wielkimi literami, jak w przypadku każdej krainy geograficznej. Nowy kontynent naszej kłeski.

Co robić?

Mathis Wackernagel, szef think tanku Global Footprint Network, zamiast pocucia winy proponuje pragmatyzm.

– To tak jak z myciem zębów. Robimy to odruchowo, na całej planecie, dla naszego zdrowia. Podobna logika powinna doprowadzić nas do ograniczenia konsumpcji.

Jeśli nie przestaniemy kupować, doprowadzimy się do ruiny, tak jak niemyte zęby wypadną od próchnicy. Brzmi równie sensownie, co utopijnie. Musielibyśmy się globalnie przeprogramować. Nasze całe osiem miliardów.

Po tragedii w Long Island dziennikarze pojechali do Walmartu, żeby dowiedzieć się, jak zginął Jdimytai Damour. Jego koleżanka z pracy powiedziała:

– Ludzie oszaleli. Przecież obniżki nie były wcale takie duże. ●

„Rewolwer obok Biblii.

W co wierzy Ameryka”, Maciej Jarkowiec, Agora, 2021



FOT. DAVID LONGSTREATH/AP

LUDZKOŚĆ SIĘGA PO 50. CHWILÓWKĘ

Jeżeli nie zaczniemy zmieniać opowieści,
które organizują naszą zbiorową wyobraźnię,
to Amazon jeszcze za 20 tysięcy lat nie będzie płacił podatków,
a za te pieniądze robił kolejne, coraz okropniejsze sezony „Władcy Pierścieni”

Z SEMIOTYKIEM, BADACZEM
WSPÓŁCZESNYCH MITÓW **MARCINEM
NAPIÓRKOWSKIM** ROZMAWIA
KATARZYNA WĘŻYK

Gdyby nie „Solidarność”, nie byłoby katastrofy klimatycznej?

– To oczywiście uproszczenie. Ale relacja między końcem zimnej wojny a zwrotem w polityce klimatycznej powinna nam dać do myślenia. Zawsze myślałem, że od początku istniał zorganizowany front negujący powagę zagrożenia – złożony z republikanów, korporacji paliwowych i tych, którzy preferowali business as usual. Tymczasem pojawiające się na przełomie lat 70. i 80. doniesienia o globalnym ociepleniu trafiły na biurko prezydenta Cartera i zostały poważnie potraktowane przez przedstawicieli różnych organizacji, włącznie z Exxon Mobile.

Potem do władzy w Stanach Zjednoczonych doszedł Ronald Reagan. Można o nim wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że był wrażliwy na kwestie klimatyczne. Ale nawet wtedy, mimo wolnorynkowego zwrotu, udawało się przekonać globalną opinię publiczną, że sprawa jest poważna. George H.W. Bush, później znany z zupełnie innej polityki, zapowiadał: „Jedynym sposobem, żeby pokonać efekt cieplarniany [green house effect], jest efekt Białego Domu [White House effect]”. I nagle, bum!

No właśnie, co się stało, że tak koncertowo sieprzylismy sprawę?

– 4 czerwca 1989 w Polsce odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory. Zwycięstwo nad komunizmem stało się faktem. Świat przestał być dwubiegunowy.

Po wschodniej stronie dawnej żelaznej kurtyny ludzie interesowali się tym, jak założyć własny biznes, a nie tym, jak mogliby się ograniczać, żeby wywierać mniejszy wpływ na planetę. Związek Sowiecki upadł nie dlatego, że został rozjechany amerykańskimi czołgami, ale dlatego, że Amerykanie zaproponowali świat dobrobytu i niezwykle ponętną opowieść o przyszłości – o nieustannym rozwoju, o tym, że będzie coraz lepiej. Czy ludzie poszliby za Ameryką, gdy-

by ta opowieść nagle zmieniła się w kazania o pokucie, poście i zaciskaniu pasa? USA wolały nie ryzykować. Porozumienie klimatyczne, które w 1988 już było wynegocjowane, zostało rozmontowane, a na następnych dziesięć lat świat zapomniał o wiszącej nad nami katastrofie.

Bo nie pasowała do opowieści o końcu historii i triumfie liberalnej demokracji?

– Weźmy kino. Na przełomie lat 80. i 90. w Hollywood dokonana się wyraźna zmiana. Wcześniej najpopularniejsze narracje opowiadały o walce dwóch światów, a stałym elementem opowieści było to, że obie strony muszą z czegoś zrezygnować, żeby nie zniszczyć planety.

Wchodzimy w lata 90. i dostajemy wysyp historii takich jak „Armageddon”. Dla mnie to główny mit tej dekady: opowieść o tym, że technologia zawsze nas uratuje. Przemówienie prezydenta z „Armageddonu” i głosy negujące pierwsze raporty klimatyczne są niemal takie same. Czy jest jakieś ocieplenie? Być może, ale mamy czas, razem rozwiążemy wszystkie problemy.

No hej, ale przecież w „Armageddonie” asteroida miała uderzyć za moment. Czy nie można go interpretować odwrotnie: zagrożenie jest bliskie, spinamy się już?

– Byłaby to interpretacja bliska mojemu sercu. Bardzo lubię „Armageddon”. Niestety, w latach 90. dominował naiwny technooptymizm opisujący świat nie w kategorii wyzwań, ale obietnic. Zresztą dziś tę opowieść o katastrofie snuje się jeszcze inaczej – przyszłość jest przegrana, nie ma nadziei. Jak w „Nie patrz w górę”. To taki klon „Armageddonu” z odwróconą polaryzacją. Mówi nam: „I tak się nie dogadamy, meteor w nas uderzy, więc zbudujmy arkę, niech się chociaż nasi uratują”. To jest opowieść, którą światu proponował Donald Trump.

To będzie pewnie technopesymizm, jedna z, jak piszesz, dwóch potężnych mitologii, które dzielą nasz świat.

– Podział na technooptymizm i technopesymizm nie był przeze mnie z góry założony. Wylonił się z lektury dużego zbioru tek-

stów, naukowych i nie tylko, i wyszukiwania rządzących nimi schematów narracyjnych. Po wypisaniu powtarzających się motywów okazało się, że nasze współczesne opowieści o przyszłości bardzo wyraźnie dzielą się na dwie grupy. Nie ma nic pośrodku. Każda z tych wielkich opowieści proponuje bardzo uproszczoną wizję świata.

OK, to przyjrzyjmy się technooptymizmowi, czyli obozowi postępu.

– Zacznijmy od części „techno”, czyli przekonania, że historii ludzkości nie napędza boska interwencja, ewolucja czy przemiany polityczne, ale coraz lepsza technologia: lepsze leki, sposoby komunikowania się, transport. Świat staje się coraz mniejszy. I na tej bazie nadbudowywane są zmiany społeczne i polityczne. Technooptymiści mówią: jeśli przyjrzymy się w długim przebiegu czasowym temu, jak zmienia się świat, to okaże się, że wszystko idzie ku lepszemu. Przykładem jest Hans Rosling, autor fascynującej książki „Factfullnes”, w której udowadnia, że większości ludzi na świecie żyje się dziś lepiej niż kiedykolwiek. Przeszłość faktycznie była zwykle paskudnym miejscem. Tyle że ten wspaniały człowiek, który zajmował się zawodowo interpretacją danych, kompletnie ignorował te, które mu nie pasowały do tej historii.

A co nie pasuje?

– Na przykład kryzys klimatyczny. Gdybym ci powiedział, że właśnie kupiłem sobie wielki dom i wypasiony samochód, ale że stać mnie na to tylko dlatego, że wziąłem 50 chwilówek, pewnie uznałabyś mnie za idiotę. Tymczasem jako ludzkość właśnie sięgamy po 50. chwilówkę. Emitowany dzisiaj dwutlenek węgla jest kredytem, który zaciągamy pod zastaw życia naszych dzieci. I nagle się okazuje, że to, co widzimy jako rozwój, można też zobaczyć jako eksploatację rynku chwilówkowego – łapanie kasy, póki jeszcze ktoś nam pożyczy. A branie kredytu na kolejny kredyt to nie postęp.

„Nadworna filozofia kapitalizmu, politycznego liberalizmu i neoliberalizmu” nie umie liczyć?

– Ci, którzy uważają, że PKB jest bogiem i rozwiąże wszystkie nasze problemy – bo jak będziemy bogaci, to na pewno zmniejszymy emisję dwutlenku węgla – są w stanie negować nawet zasadę zachowania energii. Obiecują maszyny, które rozwiążą problem emisji z paliw kopalnych na masową skalę, usuwając dwutlenek węgla z atmosfery. To oczywiście możliwe! Tyle że żeby działały, trzeba by je podłączyć do elektrowni. Jeżeli nadal będą się one opierać na paliwach kopalnych, to maszyny zawsze wyemitują więcej CO₂, niż usuną z atmosfery. Inaczej miałibyśmy perpetuum mobile. Nie obejdziemy fizyki.

A technopesymizm? Na czym polega dyskretny urok apokalipsy?

– Znowu centralną osią opisu jest technologia, tyle że jako czynnik niszczycielski. Rachunek za postęp zawsze jest wyższy niż zysk. Może i dzięki szczepionkom miliony nie umierają na ospę czy gruźlicę, ale przez szczepionki ludzie są bardziej chorowici. Na dłuższą metę postęp nie jest możliwy – w najlepszym wypadku nic się nie zmienia, w najgorszym jest coraz gorzej. Technopesymiści też potrafia ignorować dane. Teoria pierwotnego społeczeństwa dobrobytu Marshalla Sahlinsa – przekonanie, że w czasach zbieracko-łowickich żyliśmy najlepiej – wciąż cieszy się olbrzymią popularnością, wystarczy wejść do sklepu z działem żywności „paleo”. Inni, jak krytyk kapitalizmu Jason Hickel, złoty wiek usytuowali w IV-wiecznej Europie. Wtedy to rzekomo mieliśmy zielony boom, chłopom żyło się lepiej i mogliśmy pójść w zupełnie inną stronę niż kapitalizm. Tyle że tak naprawdę powodem nie były jakieś „lepsze zasady społeczne”, tylko czarna śmierć. Mniej więcej jedna trzecia Europy wymarła na dżumę. Nic dziwnego, że nie było tłoku. Ale tego Hickel jakoś nie chce widzieć.

A gdzie politycznie znajdziemy technopesymistów?

– Po obu stronach, bo technooptymizm i technopesymizm przewyższają proste podziały polityczne. W ocenie negatywnego wpływu technologii na życie ludzkie,

w krytyce atomizacji i niszczenia wspólnot lewica potrafi iść ramię w ramię z prawicą w stylu Bolsonaro, Trumpa albo Erdogana.

I nawet jeśli prawica deklaruje, że rozwiązaniem jest jeszcze więcej kapitalizmu, więc rozpalcie te piece – z czym lewica się oczywiście nie zgadza – to ich przesłanki są zaskakująco podobne. Kiedyś było lepiej. Postęp jest niepokojący. W głębi serca każda i każdy z nas jest plemiennie myślącym łowcą zbieraczem. To wspólne credo technopesymistów z lewa i prawa.

Piszesz, że „technologia może być naszą sojuszniczką w walce o lepszą przyszłość, ale może też przyczyniać się do wzrostu nierówności czy dewastacji środowiska”. Nie jest to bardzo oryginalny wniosek. Taki bardziej zdroworozsądkowy. – Czy wszystko musi być bardzo oryginalne? Zaskakujące jest to, że w kilkuset analizowanych przeze mnie tekstach ten pogląd w zasadzie nie był reprezentowany. Każdy albo zapewniał, że technologia nas niszczy i przyczynia się do zwiększenia nierówności, albo że nas ratuje i zmniejsza nierówności. A tymczasem sensowna odpowiedź brzmi: technologia to skomplikowana sprawa. Gdybym cię spytał: szkło – za czy przeciw?

Jeśli jest to rozbita butelka pod moją gołą stopą, to nie, dziękuję, ale jeśli szklanka, z której piję wodę, to poproszę. – Dokładnie tak. Tyle że szkło zazwyczaj traktujemy jak żywioł – jak drewno albo ogień, i nie oceniamy w kategoriach dobra i zła. Tymczasem, kiedy mamy do czynienia z nowymi technologiami, to masz się zadeklarować – „atom – za czy przeciw?”. A przecież świat nie jest czarno-biały ani jednoznaczny. I tu właśnie przydają się opowieści. To narzędzia pozwalające zrozumieć ową wielowymiarowość.

Każdy, kto oglądał arcydzieło i pomnik przyrody w Telewizji Polskiej, serial „Klan”, wie, że jesteśmy w stanie śledzić kilkanaście tysięcy wątków i nie zwariować. Więc wykorzystajmy tę siłę, pokażmy za pomocą opowieści, że świat jest złożony, a my jesteśmy na tyle mądrzy, żeby wybierać, a nie mówić: „to zbyt skomplikowane, czyli wszystko jedno”.

I to wystarczy, żeby technologia stała się sojuszniczką? – Opowieść można porównać do instrukcji obsługi, powiedzmy, ekspresu do kawy. Ekspres do kawy sam w sobie nie jest ani dobry, ani zły. Problem pojawia się na przykład wtedy, gdy nasza instrukcja mówi nam, jak zaparzyć kawę, ale nie wspomina o konserwacji i czyszczeniu – wtedy kawa będzie miała subtelny posmak grzybka, a maszyna długo nie pochodzi.

Każdej technologii towarzyszą takie społeczne instrukcje obsługi. Dla mnie odkryciem był obszar, którego w ogóle z technologią nie kojarzymy, czyli rolnictwo. Konkretnie: ziarno pszenicy, w którym przez ostatnie kilka dekad zaszyły gigantyczne zmiany. Pozwoliły nam one wykarmić ludzi, którzy inaczej skazani byłiby na śmierć głodową, ale jednocześnie przyniosły boom populacyjny, nadużywanie nawozów azotowych i pustynnienie oceanów.

Prosty wybór „za czy przeciw” oznaczałby decyzję: albo skazać miliardy na śmierć głodową, albo zniszczyć planetę. Ale przecież możemy wyjść poza ten dylemat. Świadomie rozwijać takie technologie w rolnictwie, które maksymalizują plony, minimalizując negatywny wpływ na środowisko.

Cyniczka powiedzialaby, że jesteś optymistą. – Tak, to by się nigdy nie mogło wydarzyć, prawda? Naiwny hurraoptymizm.

Tak, wiem, za Eisenhowera w USA najwyższe podatki wynosiły 90 procent. Ale to było jakiś czas temu. – Myślałem raczej o Richardzie Nixonie, o którym dużo rzeczy można powiedzieć, ale nie to, że był idealistą. A za czasów jego

prezydentury udało się wprowadzić przepisy dotyczące regulacji emisji zanieczyszczeń, które do dziś obowiązują. I zrobiono to mimo oporu sektora wydobywczego i chemicznego, które zgodnie stwierdziły: chyba was pogięło. Przecież to zarżnie prze-myśl. Jak to, nie będziemy mogli spalać plastiku, zakopywać śmieci na pustyni i wylewać ścieków do rzeki? Kto za to zapłaci?! Minęło 60 lat i jest dla nas oczywiste, że czyste powietrze, ziemia i woda są ważne, i żeby je zachować, trzeba ściąć trochę zysków. A przemysłowi nic tak dobrze nie robi, jak bodźce zachęcające do innowacji. Dziś daliśmy się wepchnąć w fałszywą dychotomię: regulacje czy wolność.

Albo weźmy kwestię dziury ozonowej. Uwielbiam sceptyków klimatycznych, którzy mówią: „tere fere, o, jeszcze niedawno straszyliscie dziurą ozonową i gdzie ona teraz jest?”. Otóż dziury nie ma, bo się zebrałiśmy i rozgryźliśmy przyczynę, a światowi przywódcy i społeczeństwo jej nie zignorowali. W 1987 roku podpisano protokół montrealski, który ograniczył emisję freonów, i dziś problem jest pod kontrolą. Oczywiście to zadanie było prostsze niż współczesna walka z kryzysem klimatycznym.

Bo w latach 80. jeszcze ufaliśmy nauce, no i nie było mediów społecznościowych, gdzie każda antynaukowa bzdura niesie się jak pożar po stepie?

– Media społecznościowe też mają zalety. To między innymi dzięki nim tak szybko zmienia się dziś świadomość konsumencka, moda czy normy społeczne.

Weźmy wstyd związany z lataniem: kilka lat temu w ogóle go nie było, a dzisiaj wielu ludziom głupio się przyznać, że lecą na weekend do Rzymu czy gdzie tam się lata na weekendy. Albo kosmetyki: dziś konsumentki deklarują, że są skłonne zapłacić więcej za produkt eko i wytwarzany w sposób etyczny. Problem w tym, że na razie deklaracje nie przekładają się na działania. To tak jak ze mną i siłownią. Musimy stworzyć taki system, który pomoże nam pogodzić jaźń planującą i jaźń doświadczającą, który pomoże konsumentom i konsumentkom zrobić to, co i tak deklarują, że chcą – kupować mniej, wybrać lepsze, etyczne produkty i zapłacić za nie nieco więcej. W tym sensie regulacje służą naszej wolności, a nie odwrotnie.

OK, to jak sprawić, że Meta zacznie płacić podatki, a Amazon przyzwolicie płacić swoim magazynierom? – Gdybym znalazł odpowiedź, to teraz byśmy nie rozmawiali, bobym stał w kolejce po Nobla z ekonomii. Ale wiele wskazuje na to, że kluczem znów są opowieści. Bo dlaczego do tej pory się to nie udało?

Ponieważ w USA kampanie wyborcze są drogie, a Dolina Krzemowa ma przepastne kieszenie? I wielu lobbystów? – A czy dla ludzi jest to najważniejsze? Tu potrzebujemy psa Pimpusia. Ogólnie los psów leży ludziom na sercu. Tyle że lubią je dość biernie – przynajmniej dopóki w telewizji nie pojawi się jeden piesek, którego trzeba uratować, i wtedy cała Polska ratuje Pimpusia. Nasz mózg nie podąża za abstrakcjami, poszukujemy bohatera.

Chodzi o budowanie takich opowieści, żeby każda polityczka i polityk, którym marzy się kolejna kadencja, musiał ratować pieska Pimpusia. I wtedy okazuje się, że uszczelnić przepisy podatkowe można naprawdę szybko, a obrotowe drzwi dla lobbystów mogą się zamknąć.

W Polsce daliśmy sobie wmówić, że najważniejsze opowieści dotyczą przeszłości. Spieramy się o reparacje i o to, czy byliśmy bohaterami, katami czy ofiarami. A o przyszłości możemy w ogóle nie rozmawiać. I to jest dla polityków superwygodne. Jeżeli oddolnie nie zaczniemy zmieniać opowieści, które organizują naszą zbiorową wyobraźnię, to Amazon jeszcze za 20 tysięcy lat nie będzie płacił podatków, a za te pieniądze robił kolejne, coraz okropniejsze sezony „Władcy Pierścieni”.

Ale co, bardziej robimy z Elona Muska Saurona czy szukamy Galadrieli wśród pracowników magazynu Amazona? – Obie strategie mogą być skuteczne. Powinniśmy lotrów nazywać lotrami i pokazywać, co robią źle. Wtedy nagle okazuje się, że ludzie są zdolni do zwrotów. Nikt nie lubi być lotrem. Bill Gates w latach 90. był czarnym charakterem nr 1. OK, teraz w teoriach spiskowych znów jest, ale ma już inne priorytety niż ściganie ludzi za to, że spiracili Windowsa. Nie przekreślajmy nikogo.

Jeśli węgla nie będzie albo źródaje pięciokrotnie, jaka opowieść przekona polską rodzinę, żeby tej zimy nie palić w piecu kaloszami? – Żadna. Na pocieszenie możemy powiedzieć, że w ciągu ostatnich 20 lat jakość powietrza w Polsce bardzo się poprawiła. Straszna szkoda, że tej zimy czeka nas zwrot. Ale być może to jest ten moment, kiedy musimy sobie zadać poważniejsze pytanie: dlaczego wciąż mamy wybór tylko między gazem a węglem? Ludzie, którzy od lat przekonują do energetyki wiatrowej, solarnej i atomowej, powinni nie tylko zostać z przeprosinami przyjęci w Pałacu Prezydenckim, ale też dostać pytanie, co zrobić, żeby za 10 lat, niezależnie od cen gazu i węgla, nie palić kaloszami. Albo książkami – rękopisy, niestety, płoną.

Chcesz być polskim Hararim? On też od lat przekonuje, że opowiadanie historii to ta supermoc, która sprawiła, że gatunek Homo sapiens, lysa małpa z długo niesamodzielnymi dziećmi, podbił świat. – Na pewno opowieści to supermoc Harariego. Ale chciałbym wierzyć, że mogą robić to, co mnie zawsze interesowało – zbieranie danych, wpisywanie ich w tabelki i używanie metod naukowych do ich analizy – a jednocześnie opowiadać o tym w ciekawy sposób. Mam oczywiście nadzieję, że moje książki sprzedadzą się w takich nakładach jak Harariego. Nie tylko z próżności: nauki humanistyczne muszą się wziąć w garść i udowodnić swoją przydatność.

A dlaczego opowieści, a nie przeciwstawny kiuk, duży mózg czy zachłanność? – Opowieści są oprogramem, w ramach którego pracuje nasz mózg. W dodatku pozwalają łączyć nam się w sieci – synchronizować wysiłki i przenieść naszą aktywność na nowy poziom poprzez wspólne działanie. Ekranizacji doczekał się „Sandman” Neila Gaimana. Serial rozpoczyna się od cytatu z komiksu – że wydaje nam się, że sny są nierzeczywiste, bo nie mogą nikogo zabić,

W najgorszych horrorach, które ludzkość sobie zgotowała, wojnach światowych i ludobójstwach zabijały sny i opowieści. Ludzie byli tylko wykonawcami

tymczasem jest dokładnie przeciwnie. To jest głęboka prawda o opowieściach. W najgorszych horrorach, które ludzkość sobie zgotowała, wojnach światowych i ludobójstwach, zabijały sny i opowieści. Ludzie byli tylko wykonawcami. Udało się ich zarazić, zmusić do przerażających rzeczy dzięki straszliwej sile narracji. Czy wiedząc to, jesteśmy w stanie te same mechanizmy wykorzystać po to, żeby się opamiętać?

A nie zdejmuje to aby odpowiedzialności ze zbrodniarzy? Bo to jednak nie sny i opowieści mordowały i gwałciły. – A może jest odwrotnie? Może dopiero to pozwala nam zrozumieć, jak wielka ciąża na nas odpowiedzialność? Nie lubię narracji, że to *Homo sapiens* jest rakiem tocącym naszą planetę. To nieprawda. Wszystkie organizmy, jeśli dostają taką szansę, robią to samo: rozmnażają się bez opamiętania, niszcząc ekosystem i doprowadzając do samozagłady. Być może jesteśmy jedynym gatunkiem, który właśnie dzięki opowieściom jest w stanie odwrócić ten trend? Może właśnie to, co w nas najbardziej ludzkie, pozwoli nam się powstrzymać?

Swoją drogą, wyliczając sposoby uratowania planety, nie piszesz za wiele o ograniczeniu dietności. – Czulbym się jak hipokryta, mam trójkę dzieci. Ale fakt – mamy twarde dane, że jedną z najlepszych rzeczy, które możemy zrobić dla planety, to mieć mniej dzieci. Na szczęście metody ograniczenia dietności są znane i stosowane: równouprawnienie, edukacja seksualna i powszechna dostępność antykoncepcji. Za pomocą tych trzech magicznych elementów jesteśmy w stanie zbudować społeczeństwo, które nie zeżre całej planety w ciągu najbliższych dekad.

W ostatnim rozdziale przedstawiłeś dziesięć pomysłów na lepsze opowieści o przyszłości. Ułożyłbyś z nich własną? – Kusilo mnie to, oczywiście: napisać opowieść, która wygra. Ale to jest to marzenie, które spełnione stałoby się koszmarem. Nie możemy wciskać ludziom rozwiązania. Znacznie ważniejszym zadaniem dla naukowców jest stworzenie boiska, na którym zderzą się różne głosy i na którym wspólnie będziemy wypracowywać kolektywną narrację. Bo nie chodzi o to, żeby w walce na opowieści ktoś kogoś pokonał.

To źle, że opowieść o energii odnawialnej pokona tę o węglu? – W Polsce mieliśmy już do czynienia z narracją zwycięstwa dobra nad złem: opowieść komunistyczna pokonała tę nazistowską, więc teraz masz być komunistą albo jesteś nazistą. Skutki były katastrofalne: nie tylko mordowano w jej imię ludzi, ale też sparatyzowane zostały refleksje nad tym, jakiej przyszłości potrzebujemy. Jeśli dzisiaj damy się sprowadzić do walki pomiędzy frakcjami – atom czy wiatr, GMO w każdym ogródku czy całkowity zakaz, PiS czy anty-PiS – to nie rozwiążemy żadnych problemów. Będziemy się tylko na-

parzać i budować mury. I nawet jeśli wygramy, jeśli uzyskamy te 51 procent, to pozostaje problem pozostałych 49, których nie przekonamy. No bo jak, skoro przez ostatnich 20 lat zajmowaliśmy się ich obrażaniem i pokazywaniem, że są głupi? Zamiast szukać wrogów, pora budować szeroki front. Jak w „Armageddonie”: kiedy leci na nas asteroida, musimy wszyscy się dogadać albo wszyscy zginiemy. ●

AHS Krab
samobieźna armatohaubica

Współczesne samobieżne armatohaubice są uważane za najbardziej uniwersalny rodzaj artylerii. Mogą razić przeciwnika na dużą odległość ogniem pośrednim z wykorzystaniem krzywej balistycznej, jednocześnie dzięki dużej mobilności zapewniają skuteczną ochronę załodze.

System filtrowentylacyjny (ulokowany po drugiej stronie kadłuba symetrycznie w stosunku do agregatu) – wytwarza w kabinie nadciśnienie i chroni załogę przed skutkami działania broni masowego rażenia

Agregat prądowłóczy o mocy 5,5 kW – w czasie postoju jest źródłem energii elektrycznej napędzającej podzespoły pojazdu (np. silnik obracający wieżę)

Główce detekcyjne systemu Obra (6 sztuk wokoło wieży) – wykrywają wiązkę laserową dalmierzy przeciwnika

8-cylindrowy silnik turbodiesel o maksymalnej mocy 1000 KM (735 kW) przy 2700 obr./min. charakteryzuje się cichą pracą i dużą oszczędnością paliwa. Umieszczony jest z przodu pojazdu po prawej stronie obok stanowiska kierowcy. Współpracuje z przekładnią automatyczną z zakresem czterech przełożeń do przodu i dwóch do tyłu. Cały zespół napędowy jest łatwy do wymiany w warunkach polowych.

Włazy – trzy w wieży (dwa na stropie i drzwi amunicyjne w lewej burcie), dwa w podwoziu (główny w tylnej ścianie i właz kierowcy)

Metalowe zasobniki na rzeczy osobiste załogi

Antena GPS

Zawieszenie hydropneumatyczne w postaci sześciu kół bieżnych po każdej stronie zawieszonych na wahaczach zapewnia dobre właściwości trakcyjne i zdolność pokonywania przeszkód oraz błyskawicznie tłumi kołysanie pojazdu po wystrzale.

8 wyrzutni granatów dymnych 84 mm współdziałających z systemem samoosłony Obra.

Wielkokalibrowy karabin maszynowy WKM-B 12,7-mm do zwalczania samolotów i lekko opancerzonych pojazdów

Radar balistyczny – mierzy prędkość początkową pocisku zależną m.in. od stopnia nagrzania lufy i umożliwia bieżącą korektę nastawy.

Akcyjny hamulec wylotowy wykorzystuje ciśnienie strumienia gazów prochowych do redukcji siły odrzutu lufy

Przedmuchiwacz – zapobiega cofaniu się gazów prochowych do wnętrza wieży

Kadłub spawany z blach pancernych odporny na pociski przeciwpancerne kalibru do 14,5 mm i odłamki pocisków artyleryjskich. W przeciwieństwie do czołgów armatohaubice nie biorą udziału w bezpośrednim starciu z wrogiem, więc potrzebują grubego pancerza.

Podwozie PK9 (K9PL) projektu koreańskiej firmy Samsung zostało wzbogacone o podzespoły polskiej produkcji, m.in.: pomocniczy agregat zasilający, systemy przeciwpożarowy (komora silnika) i przeciwybuchowy (przedziały kierowania i bojowy), system filtrowentylacyjny, zestaw przyrządów kierowcy i system łączności.

© GAZETA WYBORCZA/INFOGRAFIKA: WAWRZYNIEC ŚWIECICKI

NAPRAWDĘ SZYBKIE ZWIERZĄTKA

Łykają wszystko,
co ma kaliber 155 milimetrów,
Rosjanie mają szansę je upolować,
tylko gdy są w bezruchu.
Polskie kraby zdominowały Ukrainę

Tekst **Paweł Wroński**, Infografika **Wawrzyniec Świecicki**

Na stronie ukraińskiego ministerstwa obrony pojawił się filmik z pytaniem z pogranicza biologii i wojskowości: „Czy wiecie, że kraby to najszybsze stworzonka? Tak szybko poruszają się po wyzwolonym regionie charkowskim, a dodatkowo szybko strzelają”. Polskie kraby są w Ukrainie nazywane bronią zwycięstwa, choć w Polsce ich przyszłość jest niepewna.

Nie powstały o nich piosenki jak o tureckich bayraktarach TB2 niszczących rosyjskie czołgi w początkach wojny. Ale filmików, na których pędzą w rytm motywu z „Czterech pancernych” – całkiem sporo. To one powstrzymywały letnią ofensywę Rosjan w Donbasie, niszcząc stanowiska rosyjskiej artylerii. Rosjanie nie umieją się im zrewanżować – jak dotąd dopadli ich garstkę. Krab zniszczony w lipcu nie został trafiony w walce, najpewniej wjechał na minę przeciwpancerną i wysadziła go załoga, w listopadzie dron ZALA Lancet 3 trafił innego kraba w wieżę, gdy ten uzupełniał amunicję. Na zdjęciu widać wybuch głowicy, ale nie wiadomo, czy krab został zniszczony ani jak bardzo.

Według CNN polskie działo samobieżne jest nowoczesne i przyjazne dla użytkownika. O jego niemieckim odpowiedniku, armatohaubicy PzH 2000,

niemieckie media pisały, że z 15 wysłanych do Ukrainy trzeba było naprawiać 10. Wśród przyczyn – problemy z niewłaściwą amunicją i zbyt intensywne użytkowanie. Niemieckie działo jest najnowocześniejszym tego typu na świecie (w USA trwają prace nad następcą słynnego Paladina), ale trochę zbyt nowoczesne na ukraińskie warunki.

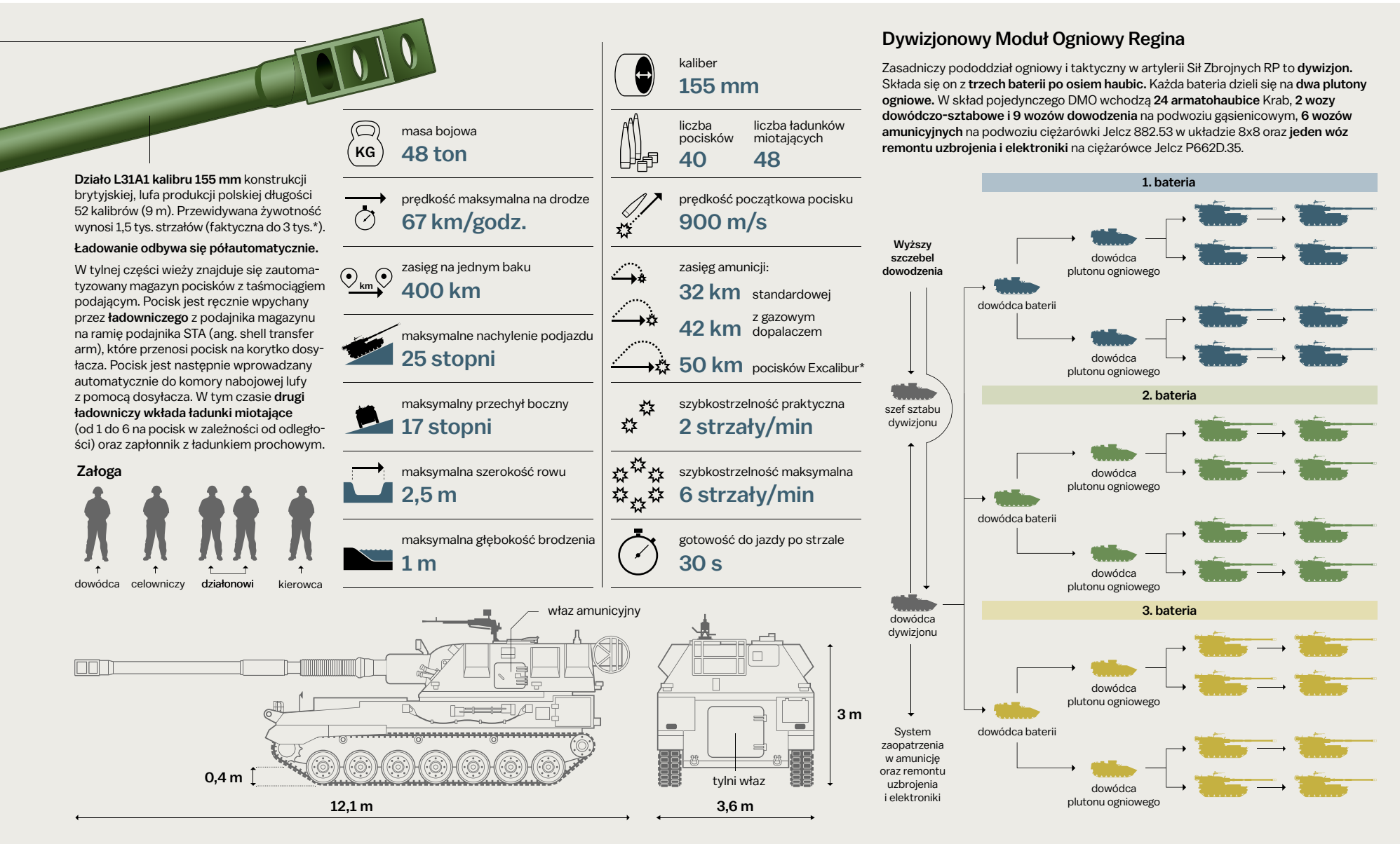
Polski Krab jest tylko częściowo zautomatyzowany i łyka wszystko, co ma kaliber 155 mm. Nie ma doniesień o stosowaniu w nim najnowocześniejszych pocisków Excalibur kierowanych GPS, ale jest to możliwe. W internecie pojawiło się zdjęcie kraba z lufą, która pękła w połowie i odpadła – ale niektóre z dział (choć nie wiemy, czy akurat to) wystrzeliły kilka tysięcy pocisków, choć po mniej więcej tysiącu powinno się lufy wymieniać.

Krab potrafi wystrzelić trzy pociski w 10 sekund pod różnym kątem, tak aby spadały mniej więcej w tym samym czasie, a równocześnie zmienia pozycję bojową. Potrzeba na to bowiem około 30 sekund. Jest stosunkowo lekki, zwrotny, a dzięki prostemu systemowi TOPAZ świetnie współpracuje z dronami przekazującymi współrzędne. W sierpniowym repotażu CNN krab w dwie minuty ostrzelał pozycje odległe o 30 km i odjechał. „Szybko za-

biera nas w bezpieczne miejsce” – nie mogli się go nachwalić Ukraińcy. Dowódca oddziału Wasyl, w cywilu nauczyciel matematyki, chwalił niebywałą precyzję ostrzału.

Jak poinformował szef ukraińskiego MON Oleksij Reznikow, w Ukrainie walczą już trzy dywizyjny krabów, czyli 54 sztuki. Niebawem dojadą kolejne 54, bo tyle zamówiła Ukraina za 2,7 miliarda złotych w Stalowej Woli.

Rok 2004, w Hucie Stalowa Wola stoją dwa prototypy armatohaubicy Krab na podwoziu Kalina wyprodukowanym w Bumarze-Łabędy plus jeszcze kilka mniej lub bardziej skończonych konstrukcji. Wojsko ich nie chce. Polska w celach NATO zobowiązała się do wzmocnienia artylerii i wprowadzenia typowego dla Sojuszu kalibru 155 mm (armie Układu Warszawskiego stosowały 152 mm). Samobieżna armatohaubica wydaje się rozwiązaniem najbardziej uniwersalnym. Może strzelać na wprost – jak armata, ogniem pośrednim, czyli bez widocznego celu z wykorzystaniem krzywej balistycznej. Porusza się, a załoga jest chroniona. Lecz generał Andrzej Pietrzyk, dowódca wojsk lądowych, twierdzi, że są pilniejsze potrzeby. Na razie



*przypadki odnotowane w czasie walk w Ukrainie

ŹRÓDŁO: HUTA STAŁOWA WOLA, DEFENCE 24.PL, NOWA TECHNIKA WOJSKOWA

brakuje wyposażenia dla żołnierzy udających się na misję, samolotów, helikopterów.

MON nie ma pieniędzy, bo dużą część budżetu zjada misja w Iraku. Ówczesny wiceszef MON Janusz Zemke zastanawia się, czy nie udałoby się Kraba sprzedać do Indonezji lub Indii. Przecież kiedyś Brytyjczycy chcieli zainteresować Delhi takim typem działa, a Polska sprzedaje tam wozy zabezpieczenia technicznego WZT-3 oparte na podwoziu T-72. Niestety, w Indiach też Kraba nie chcą. Nie ma co liczyć na Brytyjczyków, którzy zupełnie przestali się interesować wieżą AS-90 będącą podstawą projektu. Związkowcy z Łąbęd i Stalowej Woli grożą protestami. Pojawiają się pomysły, aby wysłać prototypy do muzeum artylerii w Toruniu, bo „nic się nie da zrobić”.

Pięć lat wcześniej, w 1999 r., na poligonie w Nowej Dębie odbyła się miła uroczystość. Wiceminister obrony Romuald Szeremietiew ogłosił, że Polska w przetargu na działo samobieżne dużego kalibru wybiera brytyjską haubicę 155 mm AS-90 Bravehart. Brytyjczycy produkują podobną armatohaubicę A-90, lecz z krótszą lufą.

Wyspiarze zaoferowali samą wieżę z pełnym dostępem do kodów źródłowych obsługi. Wieża ma być osadzona na Kalinie, polskim podwoziu wywozującym się z czołgu T-72 produkcji Obrum Bumar-Łąbędy. To ma być „wkład polskiej myśli technicznej”. Dyrektor GEC Marconi ds. sprzedaży Stephen C. Reeves oświadcza, że firma przekaze też Polsce nieodpłatnie całą linię technologiczną AS-90, aby kiedyś haubica była w całości produkowana w Polsce. – Także na potrzeby armii brytyjskiej – dodaje. Wartość kontraktu – 500 mln dol., wówczas suma zawrotna. W pokonanym polu pozostają niemiecka PzH 2000 i T-6 (Denel) z RPA.

Reeves zapytany przez „Wyborczą”, dlaczego tak dobre działo ma być produkowane w Polsce, a nie w Wielkiej Brytanii, stwierdza, że GEC Marconi otrzymał olbrzymi kontrakt na dostawy artylerii do USA i brakuje mu mocy. Nowe polskie działo samobieżne ma się nazywać Chrobry.

Niebawem w „Rzeczpospolitej” ukazuje się cykl tekstów oskarżających wiceszefa MON o korupcję. Na liście zarzutów jest też Krab; jeden z lobbystów oskarża Szeremietiewa o przyjęcie łapówki. Ekipa komandosów desantuje się z helikoptera na pokład promu płynącego do Szwecji i zatrzymuje asystenta Szeremietiewa. Po latach okazało się, że nie ma do wodu na jakąkolwiek łapówkę. Ale projektowi wyraźnie nie idzie.

Do projektu MON powraca w 2008 roku. – Powstał wówczas program modernizacji artylerii oparty na modernizacji wyrzutni Langusta, reaktywacji Kraba i zakup systemu artylerii raketowej dalekiego zasięgu Homar – wspomina ówczesny szef MON Bogdan Klich. Program modernizacji sił zbrojnych oficjalnie zaprezentowano w październiku 2009.

Huta Stalowa Wola podpisała umowę na przygotowanie dywizjonowego modułu ogniowego Regina składającego się z ośmiu armatohaubic i czterech wozów dowodzenia. Działo ma dysponować syste-

Krab to frankenstein – wieża brytyjska, lufa francuska, podwozie koreańskie, silnik niemiecki, system kierowania ogniem polski, amunicja słowacka

mem zarządzania walką TOPAZ produkcji polskiej firmy WB Electronics. Mają trafić do Braniewa, by grozić Rosjanom w Kaliningradzie.

I zaczynają się problemy. Brytyjczycy przestali już produkować AS-90, więc do polskiej konstrukcji nie ma lufy. Ma ją dostarczyć francuska firma Nexter (dawniej GIAT), ta sama, która przygotowuje lufy dla francuskich caesarów. Problemem jest podwozie. Pierwsze strzelania w 2010 roku ujawniają, że Kalina pęka. Jedni eksperci twierdzą, że to przez zbyt dużą zawartość siarki w stali, inni, że sama konstrukcja powoduje naprężenia. Do tego docho-

dzi silnik z PZL Wola, zbyt słaby i puszczający olej. – Olej po prostu wypływał, krab pozostawiał ciemny ślad – żalił się artylerzysta z Bartoszczy.

Wtedy ktoś wpadł na pomysł, by kupić podwozie koreańskiego K9 Samsunga. Porozumienie przekazywało nam technologię i dawało możliwość dowolnego wykorzystania podwozia.

– Powstał artyleryjski frankenstein: wieża brytyjska, lufa francuska, podwozie koreańskie, silnik niemiecki, system kierowania ogniem polski, ale działał – mówi jeden z oficerów związanych z projektem. Do tego z czasem doszła słowacka amunicja dalekiego zasięgu (40 km), produkowana obecnie na licencji w Polsce.

Pod wpływem wojny w Ukrainie w 2014 roku radykalnie zmienia się nastawienie MON. Okazuje się, że klasyczna artyleria wsparta zwiadem z dronów lub nowoczesnymi radarami pola walki może być morderczą dla przeciwnika. Świadczą o tym bitwa pod Debalecem, gdzie rosyjska artyleria dalekiego zasięgu rozstrzelała ukraińską obronę. Sześć lat później to Rosjanie idą pod Kijowem kolumnami, jak na defiladzie, pod lufy Ukraińców, którzy wyciągnęli doświadczenia z porażki.

Kontraktowi na nową wersję Kraba towarzyszą protesty związkowców z gliwickiego Bumar-Łąbędy. W Sejmie posłowie PiS, w tym późniejszy wiceminister obrony Bartosz Kownacki, składają interpelację zarzucającą kierownictwu MON niszczenie polskiego przemysłu obronnego i osłabianie bezpieczeństwa kraju. Gdy PiS dochodzi do władzy, kontrakt podpisuje premier Beata Szydło, a nowy szef MON przedstawia Kraba jako element modernizacji armii.

Dziś Huta Stalowa Wola ma pełne ręce roboty z produkcją dla sił zbrojnych Ukrainy i dla Wojska Polskiego, ale czy przyszłość Kraba rysuje się różowo? Niespodziewanie Mariusz Błaszczak podpisał w sierpniu kontrakt na dostawę do Polski 212 koreańskich armatohaubic K9A1 Thunder. Tych samych, których podwozie wykorzystuje Krab. Wicepremier i minister obrony zapewnił, że nie odbędzie się to kosztem produkcji krabów. Po podpisaniu kontraktu do dymisji podał się dyrektor HSW Bartosz Zając, w przeszłości odpowiedzialny za program „Krab”. Według nieoficjalnych informacji o kontrakcie z Koreańczykami dowiedział się z Twittera ministra. ●

CO MNIE URZEKŁO

Ikonopisarz nie stracił wiary

Mimo że jego święci są zwęgleni, szerniali, ktoś wdiera się w nich sztywnym penisem

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

N

Nie potrafię mówić o rzeczach, do których nie mam osobistego stosunku. Zacznę więc osobiście – od końcówki wiersza, który napisałem nazajutrz po złowrogim orkaniu, który przeszedł przez Polskę 19 lutego, na trzy dni przed 24 lutego w Ukrainie:

DEKONSTRUKCJA RAJU

rano galeria sztuki nowoczesnej
drzew połamanych
rozbitych pacholców
haków latarni z założenia najprostszych

mówią że w nocy
była tu wichura

musiałem przespać
bardzo mocno spałem

mocno i dobrze
bo śniła mi się ląka i ktoś na łące
kto pachniał i kochał

mam wielką nadzieję że sen o łące wróci
więc chciałbym zasnąć
żeby dać nam szansę

marzeniu i sobie
ale muszę czuwać

boję się przespać nocny wybuch wojny
i zobaczyć rano galerię szkieletów
sztuki jeszcze bardziej nowoczesnej
i świeżej

I oto mam „sztukę jeszcze bardziej nowoczesną”. W warszawskim Zamku Ujazdowskim. Wystawę nowej sztuki ukraińskiej powstałej po 24 lutego naszego roku i świata. „Pod innym niebem”. Pod niebem, które – jak pisze kuratorka Wiktoria Burlaka – „stało się źródłem śmiertelnego zagrożenia”.

„Wojna – stwierdza ukraińska kuratorka – to nie jest sytuacja, w której obserwator może zająć pozycję insidera, jednak potęgą sztuki pozwala mu się mentalnie przenieść pod nasze groźne niebo”.

Za każdym razem, kiedy historia pieczętuje ludzkość tragedią natury albo kultury (a wojna należy do jej arsenału), dokonuje się zmiana wyrazu. Słowa znaczą coś innego, coś więcej albo coś dramatycznie mniej. To samo dotyczy obrazów. Jest w „Czasie apokalipsy” Coppoli pamiętna scena ataku amerykańskich helikopterów na stanowiska partyzantów wietnamskich. Pewnie z upojenia patosem bitwy, a także dla wrażenia, jakie horrendalny spektakl ma zrobić na azjatyckich obrońcach, Amerykanie ogłuszają Wietnamczyków pompacyjną „Walkirią” Wagnera. I oto wojna jest nie tylko porażeniem, śmiercią. Staje się również dziełem. Zagładą aranżowaną, o doskonale wstrętnej reżyserii. Aż widz łapie się na tym, że w spektaklu zagłady znajduje coś wzniosłego. Coś, co potrafi dać tylko sztuka. „Nazwa wystawy inspirowana jest spektaklem nieba przeciętego rakietami, który nabiera majestatycznego, a jednocześnie strasznego piękna. Rosja urządza Ukrainie raketową apokalipsę...” – pisze Victoria Burlaka w katalogu wystawy.



Wobec wojny dramatyczne odnowienie sztuki, jej aktualizacja, staje się nieuchronne. Jak podczas I wojny światowej odnowiła poezję liryka Guillaume’a Apollinaire’a czy Giuseppego Ungarettiego. A po II wojnie – bezwzględne kwestionowanie samej sensowności i zasadności działań artystycznych. I jak wtedy artyści na własny rachunek szukali adekwatnego języka, tak i teraz, w Ukrainie, dociekają nowej formy i sensu.

I oto zapis niektórych poszukiwań znajdujemy na wystawie w Centrum Sztuki Współczesnej. Niekiedy mogą się wydawać niezmiennione, jak obecne na „Innym niebie” fotografie dokumentalne i prasowe. A przecież wolą artystów i niebawym kontekstem wojny i galerii są one formami sztuki. Reporterskie zdjęcie drohobycko-lwowskiego dokumentalisty Romana Bodruna, pokazujące od środka irpińskie „mieszkanie po ostrzale artyleryjskim”, nabiera dodatkowych odniesień i znaczeń. Gołe ściany, które poza nieregularnymi, wypalonymi okna-

mi odsłaniają błękitne niebo z barokizującymi chmurami, przypominają adwentowe kalendarze, gdzie pod uchylonymi okienkami znajdujemy czekoladki wspomnień słodkiej normalności.

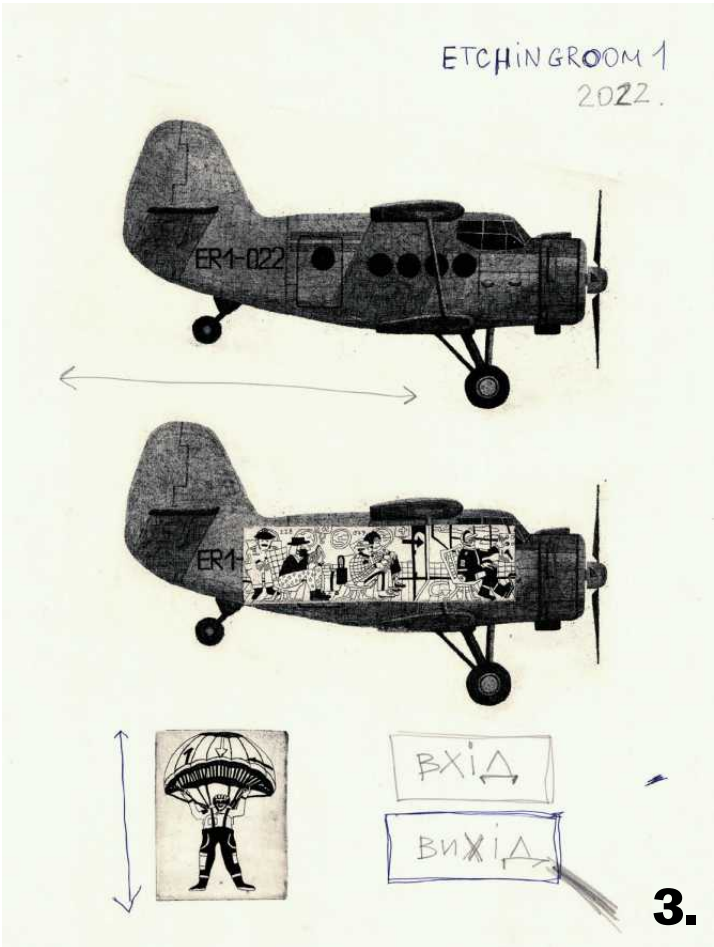
Formy i techniki są rozmaite. Różnorodne są też ich dosłowności i symboliki. Na wystawie znajdujemy cytaty, oryginalne hasła, przedmioty codzienne, które – jak militarne zabawki – zyskują wymiar niemal monumentu. Gubimy się pośród nich i odnajdujemy w świetle, jakie rzuca na nie wspólne doświadczenie: wojna. „Zdjęcie dokumentalne” Andrija Bojki, gdzie na ociekającej krwią piersi mężczyzny wisi krzyż, staje się czytelną reinterpretacją pasji, gdzie to nie ciało zostaje przybite do przedmiotu męki, lecz to on, święty symbol, odzyskuje znaczenie wspólnego losu Boga i człowieka.

Za najbardziej wyróżniające się na wystawie świadectwo uważam cykl kilkunastu akwareli Danyła Mowczana, lwowianina. Czterdziestolatka, czyli jednego z najstarszych tutaj artystów.

Malarstwo Mowczana śledzę od dziesięciu lat z rosnącym zainteresowaniem, które staje się fascynacją. Poznałem go we Lwowie dzięki rekomendacji wspólnego przyjaciela, poety Dariusza Pady. Byłem w domu, gdzie razem z żoną Jaryną, artystką o baśniowym, osobistym, niepokojącym natchnieniu i wyrazie, kleją deski i nakładają na nie ikoniczne farby.

Jest Danyło wybitnym twórcą nowej ikony ukraińskiej, niby niezmiennej w rozkładzie motywów, a przecież innej, uproszczonej, o udomowionej kolorystyce i intymnym modelunku postaci.

Przed „Innym niebem” w Domu Ukraińskim w Warszawie, na Zamenhofa 1, miał indywidualną wystawę, która wstrząsnęła mnie rewolucją wyrazu. Tym, jak jego sztuka z zapisu najdrobniejszych poruszeń rozmodlonej duszy przeszła do gwałtownych form zapisu codziennej, wojennej tragedii. Jego „ikony” w Zamku Ujazdowskim są częścią tego cyklu i tej przemiany.



Obie odsłony cyklu Danyła można by tytułować „Gwałt”. Bo to gwałt – na ciele, duchowości, życiowych scenach i scenografiach – jest nową, straszną rzeczywistością jego przedstawień. Pisany świat Mowczana jest wciąż ikonograficzny, hierarchiczny. Ma podglebie świętych ikon. Tyle że ta nowa świętość nie jest naświetlona. Jest – no właśnie – pociemniała i gwałcona. Ciała świętych nowej codzienności są zwęglone. Szczerniały. Poddane atakowi kogoś, kto wdziera się w nie sztywnym, brunatnym penisem czy głową. Atrybutami całkiem innego porządku. To tak, jak gdyby w nowej, wynaturzonej estetyce i harmonii upiornego Cida z „Toy Story” czystość musiała się mierzyć z poetyką nieprzystawalności i horrendalnego brudu. Nieprzystającą jak pięść do oka.

U mawiam się z Danyłem i Jaryną na wernisażu wystawy. Nie widzieliśmy się od roku. Są tacy jak przedtem,

jak w naszym wspólnym przyjacielskim zawsze. Spokojni, uśmiechnięci, chętnie okazują serdeczność i opowiadają o dzieciach. Mówię o swoim odczuciu – że dawny świat Danyła, świat odwiecznych motywów ożywianych przez Boga, jest wyzuty z dawnego światła i sensu... Danyło zaprzecza. Powtarza, że nie stracił dawnej wiary, niewzruszonej i jasnej wiary ikonopisarza. Jego Bóg jest, jaki był. Po swojemu – racjonalnie, nie wizjonersko – zaświadcza, że sprawcą tragedii gwałtu i morderstwa jest człowiek, który bywa szatanem.

Jego obecna twórczość jest świadectwem cierpienia zadanego i cierpienia przeżywanego w świetle niepojętej dla mnie dramatycznej ufności i wiary. Jego twórczy dramat jest teologiczno-ludzki. W nieboskim świecie Danyła Mowczana Bóg nie opuszcza człowieka, a człowiek Boga. Oto nowy kształt teodycei spod innego nieba. ●

1. „Zasada dwóch ścian”,
Julia Zacharowa

2. „Zdjęcie dokumentalne”,
Andrij Bojko

3. Praca bez tytułu,
Anna Chodkowa,
Kristina Jarosz

4. „Szpital”,
Danyło Mowczan
FOT. MATERIAŁY PRASOWE CSW

POLECAMY KSIĄŻKĘ

Dlaczego przegrała
lepsz Rosja

W 2002 roku Putin w formularzu spisu powszechnego w rubryce „zawód” wybrał „usługi dla ludności”.

Mirosław Maciorowski

W 2008 roku Zbigniew Brzeziński przyszłość Rosji widział w jasnych barwach: „Mam nadzieję, że następne pokolenie Rosjan będzie bardziej demokratyczne niż jego poprzednicy. Chodzi o to, że po raz pierwszy od prawie stulecia społeczeństwo rosyjskie weszło w interakcję z zachodnimi demokracjami w wielu dziedzinach – turystyce, edukacji, internecie. Wszystko to przyczynia się do pojawienia się u Rosjan bardziej otwartego i prawdziwie demokratycznego wyobrażenia o tym, jak powinna funkcjonować polityka we współczesnym społeczeństwie, że polityka powinna się podporządkować konstytucji”.

„Zbig” miał powody, by tryskać optymizmem, bo tryskali nim również sami Rosjanie, i to nie lada fachowcy, bo socjologzy z Ośrodka Badań Opinii Publicznej Jurija Lewady. W latach 90. prognozowali, że zdefiniowany przez Aleksandra Zinowiewa tzw. homo sovieticus zniknie, a narodzi się nowoczesny „homo postsovieticus”.

Obie optymistyczne wizje Rosji przytacza badacz kultury i literatury rosyjskiej prof. Tadeusz Klimowicz w swojej książce „Pożegnanie z Rosją”. Inspiracją do jej wydania stała się rozmowa o tzw. rosyjskiej duszy, którą niżej podpisany przeprowadził z profesorem tuż po napaści Rosji na Ukrainę („Jak coś robić, to na całego”, „Wolna Sobota”, 19 marca 2022). Wywołała ona wówczas skrajne reakcje – od podziwu dla badacza za trafne oceny społeczeństwa rosyjskiego i zjawisk zachodzących w historii Rosji i ZSRR, po oskarżenia o rusofobię. Dyskusja pod hasłem „Jak zrozumieć Rosję?” od tamtej pory trwa nieustannie, zresztą trwa już od dziesięcioleci. Profesor Klimowicz po naszej rozmowie postanowił ją jeszcze pogłębić, ponieważ jak mi kiedyś powiedział: „Rosji zrozumieć się nie da, ale trzeba próbować”.

Wróćmy jednak do idealistycznych wizji Brzezińskiego i badaczy z Ośrodka Lewady. Po ich zacytowaniu Klimowicz przytacza bowiem także opinie, które ich marzenia zweryfikowały. To wypowiedzi z 2016 roku Lwa Gudkowa, który po śmierci Jurija Lewady stanął na czele założonego przez niego Ośrodka. „Ten człowiek, typ sowiecki, nie odchodzi, ale jest odtwarzany” – stwierdził Gudkow. To osoba, „która nie ma własnych przekonań, ale jest gotowa przyjąć każdą rekompensatę w postaci pocieszających mitów ideologicznych, mówiących o wielkim mocarstwie i heroicznej przeszłości”. To zwykle ktoś o słabej osobowości, ktoś zaadoptowany do życia (i przeżycia) w społeczeństwie zamkniętym – relacjonuje opinie Gudkowa Klimowicz.

A opozycyjny wobec Kremla dziennikarz Igor Jakowienko współczesnego Rosjanina określił mianem „homo Putinus”.

Eseje Klimowicza balansują właśnie między tymi dwiema wizjami – marzeniami Brzezińskiego o Rosji „bardziej otwartej i prawdziwie demokratycznej” oraz tej z opowieści Gudkowa z „homo Putinusem” w roli głównej. Dlaczego ta druga jest dziś górą i morduje w Ukrainie? Z jakiego powodu ta pierwsza przegrała? I czy w ogóle miała szansę wygrać?

Klimowicz przyznaje, że szybko stracił w nią wiarę. Jeszcze w 1999 roku miał złudzenia, gdy Borys Jelcyn, przekazując władzę Władimirowi Putinowi, obiecał, że Rosja nigdy nie powróci do totalitarnej przeszłości. Ale już dwa lata później profesor zrozumiał, że nowy prezydent realizuje „marzenia milionów rodaków o powrocie do Rosji carów i sekretarzy generalnych” i proponuje udział – na początek dobrowolny – w narodowym seansie wyparcia z pamięci ostatnich parunastu lat. To dlatego w 2002 roku w formularzu spisu powszechnego w rubryce „zawód” wybrał opcję „usługi dla ludności”.

Według prof. Klimowicza już znacznie wcześniej Putin sygnalizował, na czym te usługi mają polegać. W 1998 r. jako nowy szef FSB kazał odsłonić na murze Łubianki tablicę upamiętniającą Jurija Andropowa, w latach 70. szefa KGB, a w 80. następcę Leonida Breżniewa. Potem przywrócił przysposobienie obronne w szkołach. A w czerwcu 1999 r. w Dumie, zapewne z inspiracji kierowanych przez niego służb, ostrzegł przed atakiem NATO na Białoruś pod pretekstem obrony Polaków katolików.

„Pożegnanie z Rosją” to erudycyjna, ale i dowcipnie napisana książka. Bo autor ma nie tylko dobre pióro, ale też jak najbardziej rosyjskie „czuwanie sumienia”. Jednak czytając eseje Klimowicza, trudno nie wyczuć gorczy i rozczarowania badacza, który życie poświęcił rosyjskiej kulturze, a pod wpływem ostatnich wydarzeń postanowił się z nią symbolicznie rozstać. Tylko z którą Rosją się żegna? Tą mordującą w Ukrainie czy tą nieliczną, która protestuje? Bo choć nazwa partii, która jest zapleczem człowieka świadczącego „usługi dla ludności”, brzmi Jedna Rosja, to w rzeczywistości wcale jednej Rosji nie ma.

I w tym widzę nadzieję na to, że Tadeusz Klimowicz tak definitywnie się z nią nie rozstaje. ●

„Pożegnanie z Rosją”, Tadeusz Klimowicz, Paśny Buriat



N A S Z A E U R O P A

Autorka „Ludzi Putina”:

NA KREMLU JUŻ WIEDZĄ, ŻE
PUTIN MUSI ODEJŚĆ

Nigdy dotąd tak wielu moich informatorów nie mówiło o konieczności jego odejścia. Może to doprowadzić do powtórki z lat 80., kiedy część służb wyciągnęła wnioski z przekonania, że zmiany są nieuniknione

Laure Mandeville

LE FIGARO

Łośna książka Catherine Belton, plon jej pracy jako korespondentki „Financial Timesa” w Moskwie, „Ludzie Putina. Jak KGB odzyskało Rosję i zwróciło się przeciwko Zachodowi” (2020, wyd. pol. 2022), to niezwykle dziennikarskie śledztwo o KGB, które przetrwało, najpierw wchodząc w sojusz ze zorganizowaną przestępczością, potem z kapitalizmem, a w końcu przepychając Władimira Putina i jego ekipę petersburskich kagiebiów na szczyty władzy.

...

Opisała pani, jak doszło do wyłonienia się Putina i obecnego systemu władzy w Rosji – z sojuszu resztek KGB ze zorganizowaną przestępczością, który zawiązał się jeszcze przed końcem komunizmu w celu przejęcia pieniędzy partii i stworzenia za nie sieci wpływów.

– „Ludzie Putina” to książka o przetrwaniu – organizacji i ludzi, którzy ją tworzą. Pokazuję, że Putin działał stale w taki sam sposób jak w Dreźnie od 1985 r. Zagraniczna siatka KGB, której był członkiem, wiedziała, że blok komunistyczny nie przetrwa, bo nie jest w stanie konkurować bezpośrednio z Zachodem ani gospodarczo, ani militarnie. Członkowie KGB, rezygnując z bezpośredniej rywalizacji, prowadzili wtedy działania mające na celu osłabienie przeciwnika, np. kradzież zachodnich technologii. Ale zaczęli też przygotowywać się do tego, co miało nadejść, m.in. organizować sieci pozwalające wyprowadzić pieniądze z partii. Wtedy w Dreźnie Putin współpracował bezpośrednio z agentem Stasi Matthiasem Warnigiem. Prowadzili działalność wywrotową. Od renegata Stasi wiemy, że Putin brał np. udział w podrzucaniu zdjęć pornograficznych niemieckiemu profesorowi, żeby go skompromitować i uzyskać od niego materiały na temat niewykrywalnej truzyny. Współpracował też z neonazistą Rainerem Sonntagiem, który tworzył skrajną prawicę we wschodnich Niemczech po upadku muru. Sądźmy, że współpracował ze skrajnie lewicową Frakcją Czerwonej Armii, próbującą zdestabilizować zachodni niemieckie społeczeństwo.

To, co pisze pani o roli Putina w kierowaniu zachodni niemieckimi terrorystami RAF, było dla mnie szokiem.

– Nie mogłam podać nazwiska informatora. Ale także w książce Maszy Gessen o Putinie jest taka sugestia. Pogrzebałam głębiej i dotarłam do człowieka, który miał wiarygodne dokumenty. To, co mówił, wydawało się przekonujące, więc zapytałam jedne-

go z najbliższych doradców Putina, Władimira Jakunina, co myśli o tej sprawie. Był członkiem KGB, bliski Putinowi jeszcze z Petersburga, powiedział mi, że nigdy nie będę w stanie tego udowodnić i że nie powinienam nawet próbować – to brzmiało jak ostrzeżenie. Powiedział mi jednak przy okazji, że Putin miał możliwość wcześniejszego przejścia na emeryturę z KGB, a to był przywilej przysługujący oficerom zaangażowanym w ryzykowne operacje.

Dziś większość członków RAF nie żyje lub siedzi w więzieniach, więc trudno potwierdzić wersję mojego świadka. Nie powiedział mi zresztą, że podlegał Putinowi, ale że on i jego współpracownicy regularnie przyjeżdżali do Dreznia na spotkania z Putinem i jego ludźmi z KGB, którzy podsuwali im „sugestie” dotyczące możliwych celów i pomagali organizować operacje, dostarczając broń i pieniądze.

Pani teza brzmi: Putin należał do tych oficerów KGB młodego pokolenia, którzy przewidzieli, że w ZSRR będzie się źle działo, przewidzieli konieczność zmian.

– Putin był oficerem średniego szczebla i zapewne oficerem łącznikowym ze Stasi w chwili, kiedy ta przygotowywała się do infiltracji nowego demokratycznego środowiska w NRD. Pełnił też funkcję sekretarza komórki partii w czasie, gdy szefem Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) w Dreźnie był Hans Modrow. Modrow, w którym Rosjanie widzieli potencjalnego następcę Honeckera, kilkakrotnie spotkał się z Putinem. Nic dziwnego, że Putin próbował po czasie bagatelizować swoją działalność, mówiąc, że jego pobyt w Dreźnie był nudny i polegał na piciu piwa...

Porozmawiajmy o powrocie Putina do ZSRR. Został wysłany przez KGB do infiltracji ratusza w Petersburgu.

– Nie ma żadnego pismego śladu po rozkazie infiltracji demokratycznych środowisk. Ale sam Putin wspominał, że do Petersburga wysłał go szef z Moskwy. Wiadomo, że zbliżył się do demokratycznych polityków, w tym popularnej posłanki Galiny Starowojtowej. Anatolija Sobczaka, ważnego reformatora, znał jeszcze ze studiów prawniczych. Sobczak zaś, obejmując stanowisko mera, zdawał sobie sprawę, że jeśli chce je utrzymać, potrzebuje wsparcia służb. Jako błyskotliwy mówca mógł wygłaszać płomienne przemówienia piętnujące organizacje przestępcze, ale potrzebował kontaktów i taką rolę odegrał Putin. Putinowi zostawił też zajmowanie się codziennymi sprawami politycznymi. Ten szybko zdał sobie sprawę, że będzie musiał zarządzać przepływem pieniędzy w mieście, zwłaszcza zaopatrzeniem – a gospodarcza sytuacja była napięta. Miasto zbankrutowało, niszczone szalejącą przestępczością. Putin próbował zbudować w porcie terminal do eksportu ropy poza zasięgiem mafii. Doszło do walki. Niedługo za-



FOT. GETTY IMAGES

• **Putin traci sojuszników nawet wśród państw Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. W ubiegłą środę w Erywanii premier Armenii Nikol Paszynian odmówił podpisania wspólnej deklaracji, a podczas zdjęcia przywódców ostentacyjnie odsunął się od Putina, któremu ma za złe brak wsparcia w konflikcie z Azerami**

często mu grozić, musiał wysłać córki do Niemiec pod opiekę Matthiasa Warniga.

Putinowi nie udało się pokonać przeciwników, postanowił więc do nich dołączyć, zostać partnerem biznesowym. Już od dawna istniała komórka KGB zajmująca się takimi relacjami. Oparł się na niej. Zdaniem jednego z oficerów moskiewskiego KGB ten sojusz służb z przestępczością zorganizowaną świadczył o tym, jak bezwzględny był Putin.

Były oligarcha Siergiej Pugaczow powiedział mi, że kiedy ekipa Jelcyna wybrała ostatecznie Putina, Sobczak powiedział im, że robią duży błąd. Nadal nie znamy tajemnicy jego nagłej śmierci w Kaliningradzie. Może Putin uznał, że Sobczak nie może żyć, bo za dużo o nim wie? Wiemy tylko, że jedna z osób, które były łącznikami między służbami a mafią, była przy jego śmierci.

W latach 90. trudno było zrozumieć, co stało się z KGB. Kreml produkował własną wersję historii. W administracji roilo się od byłych kagiebiów, jednocześnie awansowano młodych demokratów. Ale ci, którzy odważyli się mówić, mieli kłopoty. To przypadek Pawła Woszczanowa, który napisał książkę o relacjach KGB i partii u schyłku ZSRR. Miał dostęp do archiwów, ale grożono mu. Gdy z nim rozmawiałam, wciąż był wystraszony.

Pani zdaniem KGB czekało na swój czas. Wydaje się jednak, że wybór Putina wynikał z błahych powodów, o czym wspomina oligarcha Pugaczow. On mówi o przypadku, o tym, że Putin znalazł się w dobrym miejscu o dobrym czasie.

– Myślę, że nie wszystko potoczyło się całkiem tak, jak mówi Pugaczow, który pewnie wyolbrzymia swoją rolę. Fakt, że wyznaczono właśnie Putina, jest pewnie zbiegiem okoliczności. Ale nie przypad-

kiem wszyscy, którzy wtedy wypłynęli, Stepaczin, Primakow, byli ze służb.

Analitycy nazywają system władzy kremlowskiej „kolektywnym Putinem”.

– Putin jak czarnoksiężnik z krainy Oz stoi na szczycie jako reprezentant ekipy KGB. Ale stoi za nim cały kolektyw. Nikołaj Patruszew, sekretarz Rady Bezpieczeństwa, jest typowym przedstawicielem tej grupy. Ich wspólnym celem jest wykorzystanie kapitalizmu do osłabienia Zachodu. Putin nie zawsze się do tego przykładał, ale ludzie wokół niego mają go na oku.

Czy następcą może być właśnie Patruszew?

– Z pewnością ma ambicje. Był zaskoczony, kiedy namaszczonego Putina, bo uważał się za znacznie bardziej doświadczonego. Ale pozbił się i próbuje rzucić zza kulis. Chodzą uporczywe plotki, że chce wypromować syna Dmitrija, obecnie ministra rolnictwa. Tak czy owak, na słynnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa poprzedzającym wybuch wojny jako jedyny twierdził z pełnym przekonaniem, że dla USA Ukraina to pionek, którym zaatakują Rosję. Dla mnie jego rola jest najważniejsza.

Czy to on zrobił z elit Kremla „prawosławnych talibów” szykujących się na krucjatę przeciwko „satanistycznemu” Zachodowi?

– Patruszew był zawsze ideologiem zimnej wojny, zawsze uważał Zachód za wroga i chciał go osłabić. Ale ten zwrot ku ekstremizmowi, którego kulminacją jest demonizacja Zachodu, to coś strukturalnego. Przywódcy rosyjscy zaczęli wierzyć w baśnie. Do tej pory mieliśmy do czynienia z bardziej pragmatycznym podejściem, próbą wpisania Rosji w międzynarodowy układ przez włączenie jej w substancję Zachodu.

FOT. SHUTTERSTOCK



ORWELL PO BIAŁORUSKU

Tytuł „Pisarza ludowego Białorusi” otrzymał generał. Szefem związku pisarzy jest były minister informacji. A pisarze wyjechali.

Wojciech Szot

Oenzura w Białorusi działa według zasady nieoznaczoności Heisenberga. Nie można być pewnym, czy twoje książki są już objęte cenzurą, czy nie, do chwili, aż zapukają do twoich drzwi o szóstej rano – mówi Andrej Adamowicz, autor m.in. „Pieśni o Cimurze”, satyrycznego thrillera o agencie KGB, który przyjeżdża do Warszawy, by rozpracować mitycznego białoruskiego opozycjonistę Cimura Chomicza.

Czasem nie muszą pukać do drzwi. Wiktor Marcinowicz naszli w Grodnie podczas spotkania autorskiego w kościele. – Ledwo zdążyłem zacząć opowiadać o książce – mówił Polskiemu Radiu Marcinowicz, dziś wykładowca Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego w Wilnie. – Zobaczyłem czapkę milicyjną. Funkcjonariusz zapytał po rosyjsku, co tu się dzieje. Ktoś odpowiedział mu, że spotkanie z pisarzem. Wtedy milicjant przedał się przez publiczność, dotknął mnie palcem i oświadczył: „Mam parę pytań od tego mężczyzny. Proszę za mną”.

Adamowicz: – Nie możesz być pewien dokładnej godziny aresztowania, tak jak nie możesz być pewien tego, kiedy zostaniesz skazany za przeklinanie na komendzie, chociaż nigdy tam nie byłeś. Ponieważ cenzura podlegają nie tylko poszczególni pisarze, ale także całe związki twórcze, wydawnictwa i sklepy, można powiedzieć, że w Białorusi sprawa ta została wyniesiona na nowy poziom.

17 maja na dziesięć dni aresztu skazany został Andrej Januszkiewicz, właściciel jednej z największych niezależnych ofi-

cyn wydawniczych. Dzień wcześniej otworzył w Mińsku księgarnię Knihauka. Kilka godzin po otwarciu do księgarni przyszli funkcjonariusze Głównego Wydziału ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji. Aresztowali Januszkiewicza i pracowników księgarni. Zabrali też 200 książek, z których 15 – jak poinformował jeden z proreżimowych kanałów na Telegramie – miało zostać poddanych ekspertyzie.

Adamowicz: – Mogą też do was nie przyjść, bo ideolodzy białoruskiej państwowości po prostu nie umieją czytać. Powiedziałbym, że autorzy książek i komiksów dla dzieci są w największym niebezpieczeństwie, bo tam jest po prostu najmniej tekstu. Ale teraz mają nową metodę pracy. Nie ma już znaczenia, co jest napisane w samej książce, wystarczy, że jest napisane po białorusku. Właściwie możemy już mówić nie o cenzurze, ale o zakazie produkcji i dystrybucji książek przez wszystkich pisarzy białoruskich w Białorusi.

Języka białoruskiego już kiedyś zakazano. Po klęsce powstania styczniowego carskie władze zabroniły drukować po białorusku. Mimo to białoruska literatura wciąż się ukazywała – we Lwowie, Poznaniu, Krakowie czy Londynie. Pod koniec XIX w. Kraków był ośrodkiem, w którym mieszkali i wydawali jedni z najważniejszych białoruskich twórców tamtych czasów – Janka Łuczyna czy Franciszek Bahuszewicz. Inspirując się białoruskim folklorem twórcy odegrali niezwykle ważną rolę w kształtowaniu się białoruskiej tożsamości. Bahuszewiczowi przypisuje się hasło „Nie porzucajcie mowy naszej białoruskiej, abyście nie zginęli!”, do dzisiaj używane przez białoruskie ruchy narodowe. Czy w 2022 r. jesteśmy świadkami powtórki z XIX w.?

PISARZ NA PREZYDENTA

Uładzimir Niaklajeu zadebiutował jako poeta w 1970 r. Pisał po białorusku. Unikał polityki, co zaowocowało m.in. państwową nagrodą za twórczość. Gdy w 1998 r. został przewodniczącym Związku Pisarzy Białoruskich, wydawało się, że jest idealną osobą

na tym stanowisku – lojalny wobec władz, a jednocześnie cieszący się autorytetem wśród innych twórców.

Niaklajeu zaskoczył jednak reżimowych polityków i chwilę po objęciu prezesury oskarżył odpowiedzialnego za kulturę wicepremiera Uładzimira Zamiatalina, że „nie toleruje wszystkiego, co białoruskie”. Niaklajeu dostał cynk, że ma zostać aresztowany, więc wyjechał do Polski, z której przeniósł się do Finlandii, stając się jednym z pierwszych białoruskich pisarzy, który w porażającej historii Białorusi wyemigrował z kraju z powodów politycznych. Za nim poszli kolejni.

Niaklajeu wrócił do Białorusi w 2003 r. i dwa lata później został przewodniczącym białoruskiego PEN Clubu. Ze stanowiska zrezygnował, gdy postanowił wystartować w białoruskich wyborach prezydenckich w 2010 r. W dniu wyborów został pobity i uprowadzony ze szpitala. Po kilku dniach „odnalazł” się w areszcie. Został skazany na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu. Dziś w Białorusi zakazane są nie tylko jego dzieła, ale i wspomnianie jego nazwiska w mediach.

Według oficjalnych danych w wyborach zdobył 1,77 proc. głosów. W niezależnym sondażu wskazało na niego niemal 10 proc. wyborców.

Dziś mieszka w Krakowie. Wraz z Andrejem Chadanowiczem został rezydentem Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia (ICORN), programu, który ma zapewnić azyl pisarzom i obrońcom praw człowieka.

Cieszono się, że przynajmniej nie jesteśmy Koreą Północną i podążamy w kierunku demokracji.

Gdy ludzie żyli swoimi iluzjami, reżim Łukaszenki się umacniał

W Krakowie zamieszkał też Andrej Adamowicz. – Decyzję podjęliśmy, gdy napadnięto nas podczas pokojowego protestu – tłumaczy. – Jesteśmy pesymistycznie nastawieni do przyszłości Białorusi, więc choć przyjechaliśmy tylko z trzema małymi walizkami, od razu przygotowaliśmy się na długą emigrację, wzięliśmy ze sobą psa. Gdyby coś się zmieniło w Białorusi, pewnie wrócimy, ale chcemy, by nasz syn skończył tu szkołę.

Pytam Adamowicza, dlaczego z emigracją czekał aż do momentu, w którym poczuł się fizycznie zagrożony. – Fikcja jest interesująca dla ludzi, bo daje wyobrażenie o życiu jako narracji, czyli strukturze, w której jest przyczyna i skutek. W rzeczywistości życie jest utkane z bezmyślnych reakcji, drobnych działań, kompromisów i lenistwa – wyjaśnia autor „Pieśni o Cimurze”. – Pisarze nie są od tego wolni, zwłaszcza że czasem więcej uwagi poświęcają swoim bohaterom niż życiu. Dlatego chyba ludziłem się, że Białoruś będzie wolna jeszcze za mojego życia, a Rosja nie będzie się wtrącać. To były bezużyteczne złudzenia.

HAŃBĘ BIORĘ NA SIEBIE

Na emigracji tworzy też Alhierd Bacharewicz, jeden z najważniejszych białoruskich pisarzy średniego pokolenia. Po sfałszowanych wyborach prezydenckich i zdlawionej rewolucji z lata 2020 r. pisarz wraz z żoną Julią Cimafejewą, też pisarką, wyjechał do Grazu. Kilka lat wcześniej, kiedy mieszkał w Niemczech, napisał powieść „Sroka na szubienicy”, w której opowiada o Białorusi rządzonej przez dyktatora więżącego przeciwników w wirtualnych obozach koncentracyjnych.

– Moje jasnowidztwo zupełnie mnie nie cieszy. Byłoby lepiej, gdyby dystopie były domeną wyobraźni i literatury, a przewidywania pisarzy się nie sprawdzały – mówił pisarz w rozmowie z Janem Maksymiukiem, współtłumaczem „Sroki...”. – Jeszcze na długo przed „Sroka...” nie miałem żadnych złudzeń. Gdy Łukaszenka w 1994 r. doszedł do władzy, było jasne, w którą stronę to wszyst-

ko pójdzie. Dzisiaj ludzie już nie pamiętają tego, co się działo w latach 90. w Białorusi, wydaje im się, że to był „miękki” reżim, a kraj był inny. Piszę od ponad 20 lat i słyszałem, że moje książki wszystko wyolbrzymiają, są hiperbolami. Cieszone się, że przynajmniej nie jesteśmy Koreą Północną i podążamy w kierunku demokracji. Gdy ludzie żyli swoimi iluzjami, reżim Łukaszenki się umacniał.

Bacharewicz, po tym jak Białoruś zaangażowała się w rosyjską inwazję na Ukrainę, ogłosił list otwarty do Ukraińców. „Jestem gotów wziąć na siebie hańbę Białorusi za to, co się dzieje – dokładnie tak samo jak pisarze niemieccy na emigracji w czasach II wojny światowej” – pisał.

Podobnie mówi Adamowicz: – Proszę Ukraińców o wybaczenie nam, choć rozumiem, że nie będzie to dla was łatwe. Jeśli mamy możliwość naprawienia sytuacji, zrobimy, co w naszej mocy.

Miesiąc po apelu Bacharewicza jego powieść „Psy Europy” została umieszczona przez reżim Łukaszenki na „liście materiałów ekstremistycznych”. Pojawiły się doniesienia, że biblioteki szkolne dostały listy autorów, których książki należy usunąć. Byli tam m.in. Swietłana Aleksijewicz, Bacharewicz i Niaklajeu. Białoruskie ministerstwo edukacji nie potwierdziło opublikowanej na Telegramie listy.

NOBLISTKA WYJEŻDŻA

Urodzona w Ukrainie, wychowana w Białorusi, pisząca po rosyjsku Aleksijewicz po przyznaniu jej w 2015 r. Nagrody Nobla stała się najsłynniejszą krytyczką reżimu Łukaszenki.

– Ojczyzny, swojej ziemi, podobnie jak rodziców, się nie wybiera. Jest taka, jaka jest. Dlatego jeśli mówisz coś złego o ojczyźnie, wstydzisz się jej, to jesteś przede wszystkim złym synem – mówił Łukaszenka kilka dni po Noblu. Państwowe media przemilczały noblowskie uroczystości.

Książki Swietłany Aleksijewicz na białoruski przekładali m.in. Chadanowicz i Walancin Akudowicz, uważany za najważniejszego współczesnego filozofa białoruskiego. Ukazały się w niezależnym wydawnictwie Łogwinow. Wszystkie zostały wycofane ze sprzedaży w monopolistycznej sieci księgarń Belkniga, do której jeszcze wrócimy.

Noblistka wyjechała z Białorusi we wrześniu 2020 r. do Niemiec. Dopiero po długich miesiącach przyznała, że jej wyjazd był związany z wytoczeniem przez reżim Łukaszenki procesu członkom Rady Koordynacyjnej, utworzonej przez liderkę opozycji Swiatłanę Cichanouską po wyborach w 2020 r. – We wrześniu 2020 r. przed moim domem przez dziesięć dni stacjonowali ubrani po cywilnemu funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Nawet konsjerż zadzwonił i prosił, żebym nie wychodziła – mówiła „Deutsche Welle”. – Kiedy wyjeżdżałam, też nie byłam sama, towarzyszyli mi dyplomaci [innych państw, gwarantujący nietykalność]. W przeciwnym razie wyłot byłby prawie niemożliwy. Byłam trzymana na granicy około godziny. Zabrano mi paszport. Ale w końcu mnie wypuścili.

PEN CLUB EMIGRUJE

Represje po sfalszowanych przez Łukaszenkę wyborach dotknęły nie tylko pisarzy. – Na początku 2021 r. milicja weszła do biur niezależnych wydawców, konfiskując im urządzenia, uniemożliwiając dalszą pracę – mówi Taciana Niadbaj, pisarka, przewodnicząca stowarzyszenia PEN Center (należącego do międzynarodowej sieci PEN Clubów), które w Polsce stara się kontynuować działania. Przez białoruski Sąd Najwyższy zostało zdelegalizowane w sierpniu 2021 r.

Niadbaj: –Zarejestrowaliśmy tutaj stowarzyszenie. Jestem dumna z tego, że nie mieliśmy nawet dnia przerwy w działaniu.

W ciągu ostatniego roku władze białoruskie zamknęły większość niezależnych wy-

Literatura białoruska po polsku. Od czego zacząć?

- Andrej Adamowicz, **„Pieśń o Cimirze”**, tłum. Bohdan Zadura, wyd. KEW. Do Warszawy przyjeżdża agent KGB, by rozpracować legendarnego białoruskiego wieszca Cimura Chomicza. Thriller, ale też satyra na emigracyjne środowisko pisarzy. Boleśnie zabawna, przerażająco wciągająca.

- Swietłana Aleksijewicz, **„Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”**, tłum. Jerzy Czech, wyd. Czarne. Jeden z najważniejszych reportaży laureatki Nobla. Książka poświęcona udziałowi kobiet w wojnie to zupełnie inny obraz wojennych

zmagani niż ten, do którego nas przyzwyczaiła literatura.

- Alhierd Bacharewicz, **„Mały leksykon medyczny według Bacharewicza”**, tłum. Mirosława Łuksza, wyd. Warsztaty Kultury. Dorota Maśłowska opowiadała o Polsce poprzez teksty niby-kulinarne, Bacharewicz pokazuje Białoruś pod pretekstem felietonów niby-zdrowotnych. Raz chce się płakać ze śmiechu, raz ze smutku, a czasem naraz z obu powodów.

- Alhierd Bacharewicz, **„Sroka na szubienicy”**,

tłum. Igor Maksymiuk i Jan Maksymiuk, wyd. Pogranicze. Kryminał, Bildungsroman, antyutopia, esej, wreszcie powieść całkiem erotyczna. Książka nominowana do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”.

- Uładzimir Niaklajeu, **„Automat z wodą gazowaną z syropem lub bez”**, tłum. Jakub Biernat, wyd. KEW. Niezwykły, pełen emocji portret Mińska, stolicy kraju rządzonego przez sowiecki terror. Powieść o miłości i przyjaźni, pełna nostalgii. Nominacja do Angelusa.

dawnictw. Jednym z nich były Goliaty. Żmicer Wiszniou, współzałożyciel, opowiadał Radiu Swoboda, jak usłyszał od urzędnika, że prowadzi nielegalną działalność gospodarczą. Wiszniou: – W sytuacji, w której ludzie są sadzani na kilka lat za komentarze w internecie, takie słowa dają ci do myślenia.

Wyjechał do Szwecji. Mówi, że czuje wstyd przed autorami, których książek nie zdążył wydać. – Utknęło około 30 projektów – ocenił.

Wydawcy zostali zmuszeni do ponownej certyfikacji swojej działalności, której w większości nie przeszli.

kich cen ropy naftowej, w Moskwie pierwszych lat XXI wieku. Głównym bohaterem jest młody gasterbeiter, pracownik umysłowy, który wpada w sidła układu korupcyjnego i stopniowo zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, czym jest władza”.

Z kolei akcja jego „Mowy” z 2014 r. („Język”) toczy się Mińsku w okolicach 2090 r. Mińsk – i cała Białoruś – jest częścią imperium rosyjsko-chińskiego – mówił w rozmowie z Culture.pl. – Nazwy „Białoruś” się nie używa, nikt już nie pamięta języka białoruskiego

Na kolejnych miejscach wspomnianej listy bestsellerów Belknigi znalazły się „1984”

Bacharewicz, gdy Białoruś zaangażowała się w rosyjską inwazję na Ukrainę, ogłosił list otwarty do Ukraińców: „Jestem gotów wziąć na siebie hańbę Białorusi za to, co się dzieje – tak jak pisarze niemieccy na emigracji w czasach II wojny światowej”

Wydawnictwa publikujące białoruską literaturę otwierają się w innych krajach. Na Litwę przeniosło się wydawnictwo Łogwinow, w Pradze powstała oficyna Wiasna. W Białymstoku nakładem stowarzyszenia Kamunikat ukazuje się pismo „Literacka Białoruś”.

CO UKRYWA BELKNIGA

Rządowej kontroli poddane są również księgarnie. Przedsiębiorstwem, które kontroluje sprzedaż książek w Białorusi, jest Belkniga. Sieć liczy 87 księgarni. Większość udziałów w firmie ma ministerstwo informacji.

Na stronie internetowej Belknigi próżno szukać listy bestsellerów. Można za to dowiedzieć się, że 1 stycznia „głowa państwa podpisała dekret nr 1, zgodnie z którym rok 2022 został ogłoszony Rokiem Pamięci Historycznej w Białorusi”. Wśród promowanych książek znajduje się 12. tom „autorskiego cyklu laureata Państwowej Nagrody Republiki Białoruś i Narodowej Nagrody Literackiej w dziedzinie prozy” Alesia Martynowicza „Historia przez losy”.

Belkniga – jak wyjaśnia Taciana Niadbaj – od dawna niechętnie dystrybuowała książki niezależnych wydawnictw, argumentując, że jest prywatnym przedsiębiorstwem i ma wolność w doborze asortymentu.

Ostatnia lista bestsellerów ukazała się w czerwcu 2021 r. Poza książkami dla dzieci była na niej „Rewolucja” Wiktara Marcinowicza, opublikowana przez niezależne wydawnictwo Knihazbor. Jak mówił autor, akcja powieści „toczy się w trochę nostalgicznej Moskwie złotej ery, w Moskwie wyso-

i „Folwark zwierzęcy” George’a Orwella. Jak doniosła „Nasza Niwa”, reżim Łukaszenki nakazał w maju 2022 r. usunąć ze sprzedaży wszystkie wydania „1984”.

Problemem dla niezależnych wydawnictw w dostępie do rynku były – poza cenurą – nierówności fiskalne. Książki państwowych wydawców objęte były pięcioprocentowym podatkiem VAT (tak jest też w Polsce), niezależni zmuszeni byli doliczać do ceny 20 procent.

Kolejna sprawa to dominacja rosyjskiej literatury, olbrzymie nakłady książek ze Wschodu generują niskie ceny. – Wydawane w Rosji na wielką skalę książki Pielewna czy Ulickiej zawsze będą dużo tańsze niż nasze tytuły, publikowane w niewielkich nakładach – mówi Niadbaj.

KOŁCHOZI WOJNA

A kogo właściwie czytają Białorusini? Na liście lektur, którą znajdują na stronie szkoły średniej w Iwacewiczach, widnieją nazwiska tylko dwóch pisarzy z Zachodu – Ernesta Hemingwaya i Heinricha Bölla. Większość autorów to pokolenie wojenne lub urodzone tuż po wojnie, piszące w radzieckiej estetyce. Do łaski pośmiertnie wrócił Wasyl Bykow, uważany za najważniejszego białoruskiego twórcę piszącego o doświadczeniu wielkiej wojny ojczyźnianej. Bykow wyemigrował w 1997 r., gdy skonfliktował się z Łukaszenką. Wrócił sześć lat później, na kilka miesięcy przed śmiercią.

Poza białoruskimi pisarzami młodzież musi też czytać literaturę rosyjską – od Platonowa, przez Bułhakowa, po Solżenicyna.

A kogo czytają Białorusini chcący czytać po białorusku? – Najciekawszy współcześni pisarze przez lata nie mieli dostępu do czytelników, nie organizowano im spotkań w szkołach, bibliotekach. To się zmieniło w 2020 r., gdy wiele osób uświadomiło sobie, że chce poznać białoruską literaturę powstającą w naszym języku – tłumaczy Niadbaj. – Utworzyły się nawet podwórkowe kluby czytelnicze; zapraszano pisarzy, poetów, ale też naukowców, by opowiadali o historii literatury. To było dla nas zaskakujące doświadczenie, bo wcześniej żyliśmy w małym, wyobcowanym ze społeczeństwa środowisku. Z drugiej strony, to nagle zainteresowanie sprowokowało władze do wzmocnienia represji wobec wydawców i pisarzy.

Wśród najpopularniejszych pisarzy wymienienia m.in. Alhierda Bacharewicza, Wiktara Marcinowicza, Andreja Chadanowicza i Swietłanę Aleksijewicz. Wszyscy są dziś poza Białorusią.

Władze fetują Nikolaja Czerginica. W 2022 r. obwołano go „Pisarzem ludowym Białorusi”, tytuł ten przyznano po raz pierwszy od 27 lat. Czerginiec, urodzony w 1937 r. były pracownik radzieckiego MSW i generał białoruskiej służby wewnętrznej, jest współodpowiedzialny za rozpad Związku Pisarzy w 2005 r. i powołanie prorządowego Związku Pisarzy Białorusi. Łukaszenka zwolnił nowy związek z podatków.

Czerginiec jest autorem ponad pięćdziesięciu powieści, w większości kryminałów policyjnych. Po rosyjsku. W czasie jego rządów w Związku wielu białoruskich pisarzy trafiło na „czarne listy” w państwowych wydawnictwach. Jego następcą w Związku Pisarzy Białorusi został Aleś Karlukiewicz, były białoruski minister informacji, autor podręczników historycznych.

ARESZT ZA BIAŁORUSKI

Gdzie w tym dramacie szukać optymizmu? – Po rewolucji 2020 r. jestem przekonana, że nasze społeczeństwo jest otwarte na nowe idee. Nie jest już tak konserwatywne, a nasi mężczyźni są wspaniali – przekonuje Ewa Wieźnawiec, niedawno wyróżniona Nagrodą Literacką im. Jerzego Giedroycia, powołaną w 2011 r. przez polską ambasadę w Białorusi, Instytut Polski w Mińsku, PEN Center i Związek Pisarzy Białoruskich. Po otrzymaniu nagrody mówiła też: – Jestem przekonana, że wszystko będzie dobrze już w najbliższej przyszłości. I że tego doczekam.

Ewa Wieźnawiec od kilku lat także mieszka w Polsce.

– Przed nami maraton i nie możemy dać się wsadzić do więzienia, bo osłabimy naszą drużynę – mówi Taciana Niadbaj. – Dziś nawet rozmowa po białorusku może być powodem do zatrzymania. A przecież byliśmy krajem wielojęzycznym, gdzie mówiło się w jidysz, po polsku, białorusku, rosyjsku.

Niadbaj opublikowała jedną książkę poetycką. Wydany w 2014 r. tom „Syreny śpiewają jazz” zdobył nagrodę Debiut im. Maksima Bahdanowicza. Nad czym teraz pracuje?

– Kiedyś pisałam wiersze, teraz wniośki projektowe i sprawozdania. Brakuje mi czasu dla siebie, by zrozumieć, co właściwie czuję – mówi. – Gdy byłam w Białorusi, to czasem żartowaliśmy, że przynajmniej w więzieniu nadrobię. Aleś Białacki napisał przecież w więzieniu trzy książki. Tylko ja już nawet nie umiem pisać długopisem. Nie wiem, co bym tam robiła. ●

Wesprzyj PEN Belarus

- Działający w Polsce PEN Belarus kontynuuje działania stowarzyszenia zdelegalizowanego przez białoruski sąd i zbiera fundusze, aby wspierać ukraińskich działaczy kultury w czasie wojny. Można go wesprzeć m.in. wpłatami w serwisie Patreon.

Nie będziemy podawać miejsca obecnego pobytu pana Roberta z przyczyn, o których poniżej. Pan Robert został ewakuowany z leśnej chatki niemal na drugi koniec świata przez przyjaciela, filozofa i pisarza pana Krzysztofa. Ewakuację w pełni poparł drugi przyjaciel, pan Mateusz, również filozof po wyuczonej profesji. O pana Roberta dba również syn, pan Jeremiasz.

Chatka pana Roberta leży niedaleko miasteczka Końskie. Zdecydowanie bliżej jest do sołeckiej wsi zwanej Wsią Cudów, bogatej co najmniej historią. W XIII w. osada należała do Iwona Odrowąża, biskupa krakowskiego oraz kanclerza księcia Leszka Białego, zamordowanego skrytobójczo w Gąsawie. W XIX w. postawiono tu ogromny piec do wytopu żelaza, zaś z pobliskich kuźnic schodziła produkcja co najmniej „15 000 cetnarów żelaza i 500 cetnarów drutu, nadto drutarnia w Baczynie wydać może rocznie przeszło 700 cetnarów gwoździ”. Wikipedia podpowiada, że dzisiaj we Wsi Cudów jest kilka sklepów oraz parafia. Generalnie żyje się tutaj jak na prowincji w Świętokrzyskiem. Pod sklepem, gdzie indziej zresztą też, bo taka uroda podobnych wsi, działa Klub Dzentelmenów.

Geograficzny środek Klubu wyznacza duży klon. Są ławeczki, czyli deski wsparte o cegły, ale można również przysiąść na betonowej płycie od szamba. Jest też ruina ustępu, gdzie sklepowe i sklepowi trzymają narzędzia. Teren wyznacza płot z drucianej siatki. Klub otwiera podwoje o szóstej rano i działa mniej więcej do siedemnastej.

Wielu członków Klubu odeszło przedwcześnie, najczęściej w okolicach sześćdziesiątki. To spotkało między innymi Krokodyla, który przyjeżdżał na rowerze zwanym czule Agatą. Inny członek Klubu, czariniawy z włosów, opowiadał, że to od tego, iż on z Żydów. Nie ma tu kobiet; nawet Kociczka to chłop.

Żyjący klubowicze popijają i opowiadają. Niektórzy byli i są trochę nie tego. Nadto mają pretensje, osobliwie do „kurwów policjantów”. Co nieco ustało, gdy sklepowy postawił szlaban u wejścia do Klubu, a na prywatnym terenie władza nie może zabronić. Lecz – jak się okazuje – krzywo patrzą nie tylko na funkcjonariuszy.

Samego pana Roberta raczej nie ciągnie do wielkiego świata, skoro wybrał las ponad mieszkanie na warszawskim Grochowie, na Pradze lub w Amsterdamie, gdzie spędził dziesięć lat. Znany jest jako tłumacz literatury angielskiej i niderlandzkiej, eseista oraz bardzo oryginalny pisarz. Jego książki były nominowane do Literackiej Nagrody „Gdynia” i Nagrody Conrada. Ostatnie dwie noszą tytuły „Zastrzał albo trochę” (nominacja do Nike ’21) i „Jeszcze trochę”.

Te dwie ostatnie pozycje pozwoliły panu Robertowi na własnej skórze odczuć bezwzględność, rzeczywistą moc literatury.

Książka pana Roberta „Zastrzał albo trochę” dzieje się we Wsi Cudów. Jeden z jej mieszkańców, Roch, tłumaczy, dlaczego zamyka okna na noc, choć może to być noc paratropikalna, duszna i gorąca. „Gdyby to była inna wieś, trzymałbym okno otwarte całą noc. Ale tutaj to zaraz mi ktoś wlezie. Nie boję się. Siekierka jest. I młotek. Pierdolnę w łeb i niech leży do rana, a mnie gównie będzie, no bo wiesz, w nocy, we własnym mieszkaniu...”. Choć z drugiej strony „mieć takiego dziada na sumieniu? Trochę nie pasuje...”.

Jest we Wsi Cudów przystanek, gdzie kiedyś była ławka, ale komuś nie pasowała, jak ten ewentualny trup Rochowi. Za to są graffiti wyrażające „pogardę dla stróżów prawa oraz gorzką wątpliwość autorów co do czystości etnicznej piłkarzy i działaczy Widzewa”. Przystanek jest ważny, bo stoi przy szosie wojewódzkiej, więc



MUCHA ZOMBI

Mamy problem iście filozoficzny: co pisarz może, a czego nie.

Ale też praktyczny: dostanie pan Robert po mordzie czy nie dostanie.

Paweł Smoleński

przejeżdżający ludzie czytają. To tu osunął się na głębę Leniu, nawet po nagłej śmierci ściskając w dłoni napoczętą butelkę. Tożsamość Lenia przed pogotowiem i policją potwierdził Drzymek, najpewniej ubrany w utyłane portki, najczęściej poniżej pleców, na kolor jasny orzech. Choć co do tego nie ma całkowitej jasności.

Więc na przystanku, pośród stłuczonych flaszek, „pokotu petów”, kapsli siedzą pan Robert i Lwiątko, jasnorude, w przykrótkich szortach i z nogami do samej szyi. Lwiątko ma lat 22. Pan Robert – 60. Piją piwo i czekają na dzielnicowego, który zajdzie nieoznakowanym autem, żeby dać im mandat. Analizują zdarzenie sprzed kilku dni, kiedy patrol policji próbował wylegitymować dwóch dzentelmenów pijących pod sklepem wódkę. Gdyby ich było więcej, patrol z pewnością by nie przystanął;

tak przynajmniej uważa sklepowa, bo „potem nawet by nie wiedzieli, od kogo dostali wperdul. We Wsi Cudów próba legitymowania jest niemal zawsze przedsięwzięciem ryzykownym i brzemiennym w skutki. Rozbawieni obywatele zaproponowali stróżom prawa, żeby ci, powiedzmy, udali się do lasu. Doszło do chaotycznych kontaktów fizycznych. Policjanci wyciągnęli gaz pieprzowy i popsikali. Nie wzięli jednak poprawki na wiatr południowy i popsikali samym sobie w nos. Sklepowa musiała użyć im umywalki, żeby przemyli sobie oczy”.

Ponieważ pan Robert ma oko do detali, a polityczną poprawność w dupie, notuje, że szorty Lwiątko „wpijają się w cipkę”. A ramiona, którymi przyciska się do pana Roberta, są uroczo piegowate. Cytuje też dialogi, jak ten z Lwiątkiem wpatrującym się w psa.

„– Spójrz, jaki różowy chuj.
– No przecież, że nie niebieski.
– Czy on sobie robi łoda? – docieka młoda dama.

Pan Robert wzrusza ramionami.
– Chuj go wie”.

O takich właśnie zdarzeniach są ostatnie pisanie pana Roberta. Popelnili oba tomiiki nie po to, żeby czytelnikowi było miło, co kiedyś wykrzyczał mu nawet przyjaciel pan Krzysztof. W dodatku o czwartej nad ranem i przez telefon. Lecz taka bywa niekiedy dola oryginalnego twórcy – realisty, gdy widzi i słyszy za wiele oraz ma pasję do wojerystycznej literatury, choć – umówmy się – wszystko we Wsi Cudów dzieje się na oczach.



• **Pieter Bruegel Starszy „Przysłowia Niderlandzkie”** FOT. WIKIPEDIA

Dopóki więc pan Robert pisał, by tak rzec, o prostszych niż człowiek stworzeniach bożych, którymi prawie nikt się nie zajmuje albo z beźmyślnością osób głupich i okrutnych traktuje je zwiniętą gazetą bądź packą na muchy, wszystko było dobrze. Ale słowa o ludziach, nieledwie w przykłęku wobec ich słabości i wad, zwiastują nieszczęście i żadna nominacja tu nie pomoże.

Przecież pan Robert nie napisał niczego nie tak, jak było albo mogłoby być; na tym w końcu polega literatura, że czerpie z życia i z fikcji. Zarzeka się, że idzie nie o materialną prawdę, ale o klimat. Odmalował mrok, który mieszka od świtu do zmierzchu w wielu miejscowościach prowincjonalnej Polski. Bohaterów skrył pod pseudonimami, pytał ich, czy zgadzają się na opowieść o sobie. Nikt nie przypuszczał, że zastosował niewystarczające zabezpieczenia.

Nikt? Niekoniecznie. Pan Krzysztof ostrzegał, że pan Robert powinien coś pozmienić, bardziej zakamuflować, bo spał mu chatkę, jeśli się w tym pisaniu rozpoznają. Prawda, że nie ma w „Zastrzale” wyższości: pan Robert chętnie przyznaje się do swoich odwyków, opowiada o odwiedzianych przez siebie schroniskach dla bezdomnych i prezentuje swoje ułomności. Nadto pozmieniał ksywki i imiona, a prawdziwą nazwę wsi ukrył.

– Jego książka to ładunek nieustraszonego realizmu – mówi pan Krzysztof. – Połączonego bez dwóch zdań z czułością. Ale to wie czytelnik spoza Wsi Cudów. Pan Ro-

bert zakładał, że członkowie Klubu Dżentelmenów nie czytają. Ale czytają jacyś kuzyni, rodzina, która stamtąd wywiała, gdzie pieprz rośnie. Rozpoznali się, zaczęli o tym opowiadać. Jeden z bohaterów książki został pobity przez brata, że wygaduje takie rzeczy. Tu nie idzie o prawdę, ale o reakcję na prawdę. Mamy problem iście filozoficzny: co pisarz może, a czego nie. Ale też praktyczny: dostanie pan Robert po mordzie czy nie dostanie. Albo i co więcej.

To Inni Ludzie – mówi o swoich bohaterach pan Robert. – Kochałem ich, bo jak inaczej.

Nie ma w tym żadnej ściemy, bo tylko autor naprawdę kochający umie tak odmalować życie Lwiątko we Wsi Cudów, że łąza się w oku kręci. Bez szyderstw, z namysłem nad podłością losu, bo co jak co, ale losy we Wsi Cudów zazwyczaj są paskudne. Lwiątko od wczesnych lat musiała opiekować się młodszym rodzeństwem, gdyż mama i tata grali – podobnie jak pan Robert – niebanalne role w miejscowym życiu towarzyskim. Gdy miała 16 lat, zgwałcił ją jakiś łobuz. Ojcu powiedziała, że strużka krwi na długim udzie to od tego, że ugryzł ją pies, co pan Robert na kartach książki skwitował: „w zasadzie trudno nazwać to nieprawdą”.

A kiedy dwa lata później Lwiątku zaczęło się jako tako układać z Jurkiem i byli już po słowie, zastała go w uściskach „Heleni, własnej mamusi”, choć istnieje i taka wersja, że oni tam u Heleni, „pili i pierdolili się wszyscy razem”. Koniec końców mamusia definitywnie rzuciła rodzinę i zamieszkała z Jurkiem na końcu wsi. Dzieci „poszły do azylu”, Lwiątko tylko na miesiąc, do osiemnastki. Tato został u siebie. Pan Robert mijał ich chałupę niemal codziennie, porównując ruiny kamiennego spichrza do zrujnowanej rodziny. „Po podwórku walały się stare opony, szkielety rowerów i wersalek. Być może właśnie na jednej z nich, myśli sobie często pan Robert, Helenia wyruchała pierwszą miłość swojej córki”. I nawet kiedy Roch głosi wszem wobec, że Lwiątko i mama są siebie warte, pan Robert nie dowierza, gdyż „bierze poprawkę na trudny charakter opiniodawcy”. Po kilku latach były chłopak Lwiątko i aktualny mamusi się powiesił.

Pan Robert rozmyślał czasami, czy Wieś Cudów to patologia, jak chce Lwiątko. Ale czy większa niż w trzeciej części „Dziejów” Herodota. Czyta więc Lwiątku o perypetiach Otanesa i jego córki Fajdmii, która sprawdza, czy król, partner seksualny, ma uszy, co rozstrzyga, czy jest synem Cyrusa czy magiem Smerdisem. Lwiątko na to: „Spoko, nie takie rzeczy już widziałam...”.

Z życzliwością i nieledwie miłością opisał Mańka, sąsiada i przyjaciela, który dwadzieścia lat wcześniej zarobił spore pieniądze w Libii, ale z tych dwudziestu polibijskich lat wytrzeźwiał tylko na rok. Maniek przynosił domowe wino w plastikowej butelce, jako ochotniczy strażak stróżował przy grobie Pańskim każdej Wielkanocy, świetnie przyrządzał mięso ze skłusowanych saren i miał nieładny zwyczaj plucia na podłogę. Lecz przecież dokarmiali się i strzygli nawzajem, a Maniek dowiedział się od pana Roberta, że jeśli zabita mucha ożywa w popielnicze, to albo nie była zabita, albo jest zombi.

Pewnie Wigilii Maniek zajął do pana Roberta, wracając z kolacji od mamusi. Cały roztrzęsiony, bo mamusia dała tylko jeść i wszystko. Napili się więc po dwie szklanki bimbrowa, a Maniek zabrał do siebie jeszcze ćwiartkę, żeby panu Robertowi nie walić w środku nocy w okna, że niedopity. No i znaleźli go w Boże Narodzenie we własnej chałupie, sztywnego; butelka prawie pełna. Czytając „Zastrzał”, miałem wrażenie, że pan Robert śmierć Mańka wziął na swoje sumienie. Nie dlatego, że dał mu alkohol, ale że w wigilijny poranek zdało mu się, że widzi Śmierć chodzącą po pagórach, a Maniek nigdy nie zamykał drzwi do domu, to i weszła, zabrała.

Dobre słowo dostał Roch, który nie pozwolił leśniczemu zastrzelić psa („– Po-

sluchaj, chuju, zanim zdejmiesz tę strzelbę, poderżnę ci gardło, zaciągnę w krzaki i wrzucę do rzeki”). I Grabarz, którego ojca rzeczywiście zabili i wrzucili do rzeki, a poszło o działkę. Co skojarzyło się panu Robertowi z poetą Rilke i jego opisem belek płynących z nurtem.

Wituś też dostał dobre słowo. I Józiczek. I Plątek. Nawet ten, który co roku zjeżdżał z Australii, wszędzie się woził gablotą, ale na grzyby nie chodził, bo – objaśniał – ludzie wiedzą, że ma pieniądze, więc pójdą za nim i kaplica. W zasadzie dobrym słowem obdarował wszystkich ze Wsi Cudów należących do Klubu Dżentelmenów, jak nazwał kompanów od picia.

Pan Robert bowiem również ma problem alkoholowy, co we Wsi Cudów nie czyni go wyjątkiem. Bywa, że zapija wódką diazepam lub nalewa sobie szklankę o czwartej nad ranem, zapala papierosa i przeczekuje „vargtimmen”. Tak ludy Północy nazywają tę porę nocy, czyli godzinę wilka. Wtedy – uważa – ludzie się rodzą, ale też równie chętnie umierają, więc warto czuwać.

Z resztą pan Robert znał Innych Ludzi już wcześniej. Chowal się na podwórkach warszawskiego Grochowa, a to pięćdziesiąt lat temu było sztuką nie lada, zwłaszcza w uliczkach krytych kamiennym brukiem i pamiętających gazowe latarnie. Poznał też Stalową i trójką bermudzką na Pradze-Północ, gdzie ludzie gubili się z własnej woli, ale czasami niekoniecznie. Dystans polegał na tym, że pan Robert nie



*Gdy miała 16 lat,
zgwałcił ją jakiś łobuz.
Ojcu powiedziała,
że strużka krwi na długim
udzie to od tego, że ugryzł ją
pies, co pan Robert na kartach
książki skwitował:
„w zasadzie trudno nazwać
to nieprawdą”*

odczuwa nienawiści i potrzeby zemsty, a Inni Ludzie niekiedy tak. Nie mieszkają tylko na Stalowej.

– Cała sytuacja jest dla mnie wielce dziwaczna – to słowo nie do końca oddaje powagę zdarzeń, niezrozumiałych i groźnych. – Pilem z nimi wódkę, mieszkalem z nimi, jeździłem na traktorach, robilem interesy w Niemczech, bo mogę z Niemcem porozmawiać, nieduże polskie interesy. Mówiłem, że chcę o nich napisać. Pokazywałem magnetofon: wiesz, co to jest? Wiedzieli, więc nagrywałem. Zgadzały się, nie mieli nic wbrew. Tłumaczyłem: nagrywam, bo nie jestem w stanie oddać z pamięci waszej mowy. Nic im nie szkodziło, tak mówili.

Aż zaszkodziło, bo rozeszło się po ludziach spod sklepu i po okolicy. Zaczęły się telefony od znajomych, którzy mówili o pogroźkach, że jacyś się zmagają, urągają. Partnerka pana Roberta podjechała pod sklep we Wsi Cudów i usłyszała swoje. Jeszcze nikt nikogo nie skrzywdził, nie licząc sprawy między braćmi. Ale sąsiedzi śmieją się z bohaterów pisania pana Roberta. I to jest okropne.

– Nie wiem, lecz myślę o sobie, że jestem złym człowiekiem – mówi pan Robert.

Problem alkoholowy wiele tłumaczy, lecz w tej sytuacji niewiele wyjaśnia. Poza tym przyjaciele uważają, że pan Robert nie jest zły, tylko trudny w obsłudze. Cholernie trudny, i to częściej niż czasami.

Ponieważ, jak w każdym dramacie, gdzie – chcemy, nie chcemy – centralnymi postaciami są mężczyźni, poszło, wedle pana Roberta, o kobietę. Młodą, ciekawą i niebojącą, o Lwiątko właśnie. Pan

Robert nie miał niecnych zamiarów. Pije, lecz od tego do jakiejś namolności daleko. Co prawda raz pod stodołą, gdzie powiesił się mały Jurecek, wpatrywał się w nieznajomą Basię ze wsi za lasem, jak – excusez moi – sikala, nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Lecz nie było też tak, że pan Robert umyślnie podglądał Basię, w wypchanych dresach koloru khaki skrywających czarne majtki. Po prostu przyszła za winiakiem stodoły i go nie zauważyła.

Szybko wymazał ją z pamięci, by wrócić do rozmyślań o Francuzie Malebranche’u, filozofie, oraz Chińczyku Shen Fu, piśarzu, i ich fascynacjach przyrodą, tak bliską panu Robertowi. Oraz że postawioną wcześniej Basi małą wódkę musiał dopisać pod swoim nazwiskiem w zeszycie sklepowego. No i jej towarzyszem był pan Kryminalista, który, gdy pil z Basią, przyglądał się mu bez sympatii.

– Poprosilem, by Lwiątko spędziło ze mną noc. Nic z tych rzeczy, noc spędzona na gadaniu. Poprosilem, by opowiedziała mi swoją historię. Opowiedziała i nie zgłaszała pretensji, choć przyznałem, że chcę o tym napisać. Nawet na okładce książki planowaliśmy żart: zdjęcie jej i moje. Potem się wysypało.

Chyba że wysypało się w związku z Rochem, choć Roch naprawdę nie nazywa się Roch. Starszy człowiek, chciał, by opisać jego wesele, a zwłaszcza żonę – zdzirę, która wnet zdradziła. Był niezadowolony, bo za mało było o małżonce. A może nie tak gorzko, jak sobie wyobrażał.

– Rochu – mówił mu pan Robert. – Nie piszę na zamówienie. Lecz o świecie, gdzie was i mnie nie ma, ale jesteśmy, bo to niejedyna taka wieś w Polsce, gdzie ludziom wiatr w oczy wieje.

Roch kiwał głową, choć wolałby gorsze przedstawienie niewiernej żony. Wszystkie było umówione. Jak można się nie umówić, skoro wódkę pili i w Polsce, i w Niemczech, pod miastem Jena, gdzie pan Robert wyobrażał sobie, że spaceruje tam Goethe. Tylko to umówienie pan Robert rozumiał tak, a Roch siak. Na taką okoliczność nie ma rady.

Pan Robert zjawił się pod Wsią Cudów, gdy rozstał się z matką swojego dziecka. Leśna chatka zdawała się miejscem idealnym. Mieszkał tam z pajakami, ćmami, dżdżownicami i z ogromną pajęczyną rozpiętą nad stołem do pisania. Obserwował owady, robaki i inne glisty i opowiadał o nich tak, że pewien pisarz i laureat Nike, który jest panem Robertem zafascynowany, cudownym sposobem wyleczył się z arachnofobii. Uwielbiał nasosznika trzęsia, pajaka od wielkiej pajęczyny, której dziwili się nawet mieszkańcy Wsi Cudów, ale pan Robert uznał, że pajęczyna ma być i kwita.

Prócz problemu alkoholowego pan Robert przywiózł do chatki bibliotekę. Jest tam Hesse, w jego opinii najlepszy i ulubiony, ale też wielu innych pisarzy. Oraz prace filozofów od starożytnej Grecji, przez Kartezjusza i Leibniza, po Ortegę y Gassetę. Rozprawy przyrodnicze, również w obcych językach. Książki stoją na półkach nie po to, aby stać, lecz są czytane. Są też słowniki, potrzebne do przekładów.

To każe sądzić, bez żadnej przesady, że pan Robert jest erudytą z najwyższego piętra, zaskakuje opowieściami i puentą, zna rozliczne odniesienia oraz cytaty, biegle czuje się w mowach obcych ludów, w znaczeniach słów, opowieści i mitów. Tylko język Wsi Cudów nagrywał, bo choć rozumiał, to mógł zapomnieć.

– To niezwykle, jak on potrafi poruszać się w różnych kulturach – opowiada pan Krzysztof. – Jak miesza interpretacje i cytaty, a wszystkie te zabiegi mają sens i są po prostu mądre.

Teraz pan Robert tłumaczy książkę o bezsenności. Z niderlandzkiego.

Poza tym umie remontować stare barki i rozładowywać rybackie kutry, co sprawiło, że w Amsterdamie przesiąkł zapachem zjełczanego tranu. Wie, że od bloga

ważniejsze jest poranne rozpalenie w piecu. Zna się na buddyzmie, na aniołach, archaniolach i archajach, na okultyzmie oraz teozofii. Poszukiwał sensu w żydowskiej kabale. Może rozprawiać o Biblii hebrajskiej i o Chrystusie. I tak dalej.

Oraz – nigdy nie nudził się w Klubie Dżentelmenów, choć czasem go wkurwiali, gdy myślał akurat o królu Zhengu, pierwszym cesarzu dynastii Qin, a dżentelmeni gwizdali mu nad uchem i rozpraszali. Lecz szklaneczki nie odmawiał, nawet jeśli była z gwinta.

Za to nie rozumie, dlaczego co i raz do jego chatki wpadali funkcjonariusze. Mówił im: – Przecież wiecie, że czytam i tłumaczę, raz na dwa dni gram w karty we Wsi Cudów, nie muszę pić z ludźmi, bo umiem samemu.

A niebiescy odpowiadali: – Bo ty jakoś rzucasz się w oczy.

Brak poważania dla policji łączył pana Roberta z mieszkańcami Wsi Cudów. Co do czasu było ważnym elementem porozumienia, a teraz już nie bardzo.

Anglosaksoński mnich Alkuin, błogosławiony Kościoła, filozof, pedagog, teolog, poeta i teoretyk muzyki, był człowiekiem, jak na swój czas, niewiarygodnie wykształconym i powszechnie szanowanym. Napisał list do cesarza Karola Wiel-

Do piętnowania i zaszczuwania namawiają politycy i hierarchowie. Kto nie chce szczuć, jest gorszego sortu. W wielu miejscowościach podobnych do Wsi Cudów okazywało się modne, by tworzyć „strefy wolne od LGBT”, co jakoś przyszło, gdy Europa przykręciła kurek z pieniądźmi.

Tymczasem pan Robert nie ma za sobą kasy z UE. Jest prawie sam, jeśli nie liczyć pana Krzysztofa i pana Mateusza. Oraz syna, pana Jeremiasza.

Pan Krzysztof ma wyrzuty, że nie namówił pana Roberta do głębszych zmian w książce. I boi się o przyjaciela. Tak samo jak pan Mateusz, który wykombinował, że we Wsi Cudów należy zorganizować spotkanie konciliacyjne, najlepiej w strażackiej remizie, żeby wszyscy się pomieszcili. Spotkanie, na które ochoczo przystał pan Robert, byłoby o tym, czym jest literatura, kreacja, fikcja, czym czerpanie z rzeczywistości zmieszane z pisarskim zmyśleniem. No i żeby wytłumaczyć, że nawet najgorsze historie pisane z czułością nie są szyderstwem, tylko współczuciem, empatią, kochaniem.

W tym celu pan Mateusz odszukał na Fejsie panią Soltyskę Wsi Cudów. Z treści korespondencji wynika, że pani Soltyska nie jest kobietą wspierającą Klub Dżentelmenów. Lecz pani Soltyska twardo oznaj-

Jeśli zabita mucha ożywa w popielniczce, to albo nie była zabita, albo jest zombi

kiego, w którym zawarł używaną i dzisiaj maksymę „vox populi – vox dei”. Zgodnie z nią jednomyślna zgoda ludu była znakiem bożej woli. Na zasadę „głos ludu głosem Boga” powoływano się np. przy kanonizacjach.

I bardzo pięknie, lecz umówmy się: lud wyrażający zbiorową wolę nie tylko wynosi na ołtarze. Dlatego przypadek pana Roberta, jego książek i reakcji na nie mieszkańców Wsi Cudów ma w sobie zarówno element komiczny, jak i tragiczny, zwiastujący – oby nie – nieszczęście.

Zgodny gest rzymskiego ludu, tysiące kciuków zwróconych w górę lub w dół, decydował o życiu i śmierci na starożytnych arenach. Częściej o śmierci; są powody, by tak sądzić.

Vox populi palił czarownice – procesy przed obliczem ludzi uczonych i pełnych duchowości były tylko teatrem dla plebsu. Na amerykańskim Południu głos ludu linczał czarnych, bo uważał, że tylko oni są zdolni do nagabywania białych pań, gwałtów czy grabieży. Ale nawet takie detale nie były bardzo często ludowi potrzebne, gdyż czarny mógł się niebacznie pojawić tam, gdzie – zdaniem ludu – nie powinien powstać stopy.

Bez vox populi nie byłoby pogromu w Kielcach, w Krakowie, w Kiszyniowie, we Lwowie i w żadnym innym mieście Europy; na głos jakiegoś kłamcy i nienawistnika zgodny lud mordował Żydów, lud bowiem wiedział, że Żydom, by maca była właściwie chrupiąca, potrzebna jest krew niewinnych chrześcijańskich dzieci.

Powstało wiele znakomych książek i filmów o vox populi, znacznie bliższych naszemu przypadkowi. Na przykład niedawno zmarła grecka aktorka Irene Pappas nie miałaby okazji grać wdowy Samoiliny w „Greku Zorbie”. Nawet Michel Houellebecq ma dzisiaj podobną sprawę jak pan Robert, bo ktoś się rozpoznał w jego prozie i nie poczuł się z tego powodu wyróżniony. Ale Houellebecqowi można skoczy na pędzel. Albo i nie, jeśli zastanowimy się nad niedawnym atakiem na Salmana Rushdiego.

miła, że spotkania wyjaśniająco-konciliacyjne nie podejmie się zorganizować, bo nie ma na nie szans ani ochoty. A poza tym taka promocja Wsi Cudów wiecej jej nie odpowiada i uważa, że od wyjaśnienia intencji oraz meandrów literackiej fikcji o wiele istotniejsze jest samopoczucie jej krajanów, a to po książkach pana Roberta wydaje się nie najlepsze.

Pan Krzysztof jechał jakoś niedawno przez Końskie. Zajrzał do księgarni, a tam zawałone Panarobertowym „Zastrzałem albo trochę” i „Jeszcze trochę”, co znaczy, że może jeszcze ktoś przeczyta książki i sprawa się nie skończy. Podobnie myśli pan Mateusz.

Inaczej uważa pan Robert. Ufa, że wróci do chatki, gdzie są jego książki i pajęczyna utkana przez nasoszniki trzęsie.

– Przycichnie – mówi.
– A jeśli nie?
– Ryzyk-fizyk. Ludzie się wzajem nakrecają. Ale im przejdzie.

Bardzo bym chciał, by pan Robert miał rację. ●

Wszystkie cytaty pochodzą z dwóch ostatnich książek pana Roberta.

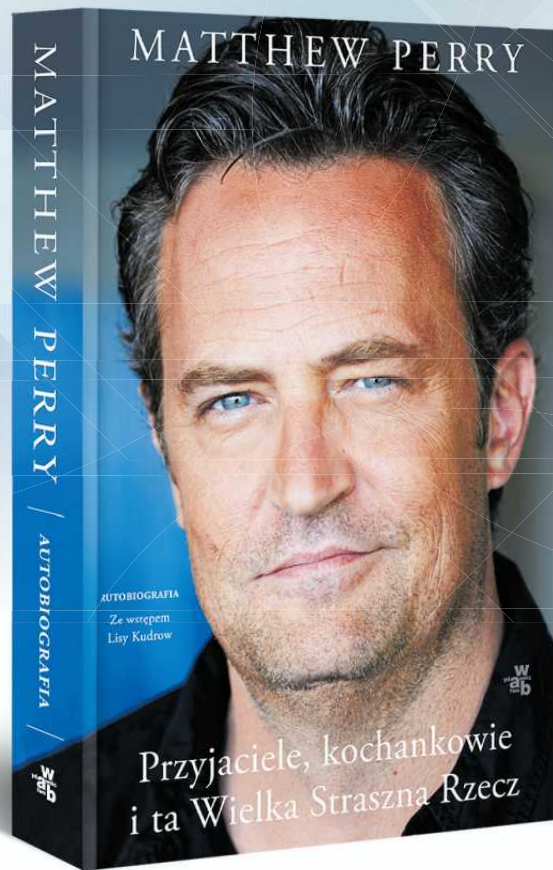
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

**Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę***

2.

**Fragmentu książki Matthew Perry’ego
„Przyjaciele, kochankowie i ta Wielka
Straszna Rzecz”**



Matthew Perry, gwiazda serialu „Przyjaciele”, przenosi czytelników na scenę najbardziej znanego sitcomu wszech czasów, jednocześnie opowiadając o swoich prywatnych zmaganiach z uzależnieniem. Z typowym dla siebie poczuciem humoru i szczerością szczegółowo opisuje trwającą całe życie walkę z chorobą i to, co ją napędzało, pomimo posiadania „wszystkiego”.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Matthew Perry’ego „Przyjaciele, kochankowie i ta Wielka Straszna Rzecz” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

PKTW22S

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyszyjemy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

PO PRAWDZIE

Bo Stuhry zawsze za słone



TVP nie o każdym wypadku osoby publicznej po alkoholu informuje niezwłocznie.

Agnieszka Kublik

Niby wszystko wiadomo, media Kaczyńskiego rodziny Stuhrow nie cierpią. Za talent, energię, empatię, wrażliwość i patriotyzm obywatelski tak różny od ich martyrologicznego. Ale zapiekłość w ataku na Jerzego Stuhra za prowadzenie auta pod wpływem nie ma nic wspólnego z alkoholem. No i dziennikarstwem. To jak magiel, tylko nie trzeba iść do magla, by dać upust własnej frustracji.

To wszystko mnie uderzyło z nagłą siłą (bo przecież samo zjawisko jest tak powszechne, że się z nim oswoiłam), gdy znalazłam wzmiankę o Pawle Ś., kapelanie, który dachował.

Otóż właśnie włocławski sąd orzekł wobec Pawła Ś. grzywnę 1,5 tys. zł oraz czteroletni zakaz prowadzenia pojazdów. Musi też zapłacić nawiązkę 5 tys. zł na Fundusz Sprawiedliwości. Co takiego uczynił Paweł Ś.?

Wieczorem 10 listopada 2021 r. prowadzone przez niego auto dachowało w gminie Brześć Kujawski. Ks. Paweł Ś. to wikary w jednej z parafii w Brześciu Kujawskim. Oraz duszpasterz trzeźwości diecezji włocławskiej. Pracował wtedy w Poradni Leczenia Uzależnień.

Jego kia zjechała na pobocze i dachowała. Policja stwierdziła ponad 2,6 promila alkoholu w organizmie. Wikary złamał kręgosłup. Po wypadku przestał pełnić funkcję duszpasterza trzeźwości.

Publicznie przeprosił, przyznał, że jest alkoholikiem. – Złamałem wszystkie zasady, by zachować trzeźwość. Chorowałem przez dwa tygodnie i na koniec zacząłem leczyć się alkoholem. Jestem na etapie szukania ośrodka. Ksiądz i policjant to osoby zaufania publicznego. Alkoholizm to straszna choroba. Śmiertelna – powiedział „Super Expressowi”.

Jaka kara grozi za jazdę po pijaku? Grzywna, kara ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

Wikary dostał 1,5 tys. zł grzywny. Został potraktowany bardzo delikatnie.

Sprawa – choć bezprecedensowa, bo dotyczy jazdy po pijaku duszpasterza trzeźwości – nie zainteresowała ani TVP Info, ani wPolityce.

Za to TVP niezwłocznie poinformowała o innym wypadku osoby publicznej po alkoholu.

17 października Jerzy Stuhr potrafił w centrum Krakowa motocyklistę. Miał 0,7 promila alkoholu we krwi. Motocyklistę potrafił w rękę, twierdzi, że się nie zorientował, co się stało, więc jechał dalej. Zatrzymał go dopiero potrącony, razem czekali na przyjazd policji. Przyznał się do winy, przeprosił za „podjęcie najgorszej decyzji w życiu o prowadzeniu samochodu”. Bronił się, że zapomniał o spotkaniu z dziennikarzem, a kilka godzin wcześniej, do obiadu, spożywał wino.

O wypadku doniósł Cezary Gmyz, berliński korespondent TVP, ten, który zasłynął „odkryciem” trotylu na wraku prezydenckiego tupolewa. TVP Info chwaliła się, że to jej news.

Po zbadaniu motocyklisty prokuratura wycofała się z postawienia Stuhrowi zarzutów dotyczących spowodowania wypadku i ucieczki z miejsca zdarzenia. W ostatni wtorek Stuhr został przesłuchany w prokuraturze. Dostał zarzut prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości.

Ale nagonka na Jerzego, jeszcze S. (Stuhr szybko poprosił, by nie ukrywano jego nazwiska), i jego syna Macieja ruszyła błyskawicznie. Od 17 października media Kaczyńskiego atakowały wściekle. Artystów – że niby tacy obywatele zaangażowani, a tu proszę, że zniechędzeni elity i wrogowie Polski i polskości. Sądy – że zapewne potraktują aktora ulgowo, bo bronili sędziów przed PiS, czyli nie są wcale niezależne, przeciwnie, zapewne będą stronnice.

Co łączy te dwie sprawy? Jazda po alkoholu. Zawsze naganna. Czy ma się 0,7 alkoholu we krwi, czy 2,6. Choć w tym pierwszym przypadku kierowca ma błędną ocenę własnych możliwości, duży spadek koncentracji, samokontroli i osłabienie mięśni. W tym drugim – już zaburzenia mowy, dużą senność, obniżenie zdolności kontroli zachowania i poruszania się.

Ksiądz Piotr Ś. był bardziej pijany niż aktor Stuhr. Ale media służące Kaczyńskiemu to aktora potraktowały jak przestępcę, pijany duszpasterz trzeźwości za kierownicą w ogóle ich nie obszedł.

Bo nie o złamanie prawa i nadużycie zaufania tu chodzi, tylko o nazwisko. Dla tej władzy i ich mediów Stuhry zawsze za słone. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Antykultura

Co łączy freudmarksizm, strukturalizm, poststrukturalizm, postmodernizm, dekonstruktywizm, radykalny feminizm, LGBT, cultural studies, gender studies?

Michał Rusinek*



Konstanty Radziwiłł, wojewoda mazowiecki, odwołał Monikę Strzępkę z funkcji dyrektorki Teatru Dramatycznego w Warszawie. Decyzję swoją uzasadnił między innymi następująco: „analiza twórczości Moniki Strzępki prowadzi (...) do wniosku, że autorka stroni od dzieł klasycznych, a jeśli nawet tytuł i inspirację czerpie z dzieł literatury klasycznej, to czyni to tylko po to, aby ukazać ich karykaturę. Takie prądy antykultury w twórczości Moniki Strzępki w oczywisty sposób pozostają w sprzeczności z linią programową i artystyczną Teatru Dramatycznego w Warszawie oraz jego dotychczasowym dorobkiem”.

O ile mogę zrozumieć u pana wojewody mieszczańską niechęć do karykatur i arystokratyczną troskę o klasykę dramaturgii, o tyle zastanawia mnie użyte tu określenie „antykultura”. W literaturze kulturoznawczej pojęcia takiego nie znajdziemy. Jest wprawdzie kontrkultura, czyli pojęcie wprowadzone w 1969 r. przez amerykańskiego socjologa Theodore’a Rossa. Oznacza ono grupę społeczną, która kontestuje zinstytucjonalizowaną kulturę, przede wszystkim zachodnią, rozumianą jako narzucany nam od 2 tysięcy lat autorytarny system mentalności zbiorowej. Początki kontrkultury wiążą się z powstaniem ruchów hipisowskich, przeciwstawiających się tradycyjnemu modelowi społeczeństwa i rodziny, a także mieszczańskiemu moralności, opartych na obyczajowej swobodzie i odrzucających wszelkie formy instytucjonalizowanej presji. Przedstawiciele ruchów kontrkulturowych mieli na celu rozbicie opartej na niesprawiedliwości demokracji zachodniej, albo na drodze rewolucji, albo edukacji i sztuki – jako dziedziny wolności. Kontestacji podlegała nie tylko tradycyjna kultura, związana z chrześcijaństwem, ale i kultura masowa, uważana przez kontrkulturowych twórców za filar politycznego, kapitalistycznego porządku. Kontrkultura manifestowała się zarówno w muzyce, głównie rockowej, rozbijającej dotychczasowe formy muzyki popularnej, jak i w teatrze, głównie ulicznym czy eksperymentalnym, uprawianym w Polsce np. przez Laboratorium Grotowskiego czy Teatr Ósmego Dnia. Warto dodać, że w krajach demokracji ludowej, a więc i w Polsce, ruchy kontrkulturowe miały charakter antykomunistyczny.

Rozumiem więc, że pan wojewoda nie chciał ryzykować usytuowania Moniki Strzępki w obrębie tak rozumianej kontrkultury. Ale i w ogóle nie chciał jej sytuować w obrębie jakichkolwiek nurtów czy sporów artystycznych. Chodziło mu o jednoznaczne zdeprecjonowanie jej wizji teatru za pomocą pojęcia, które sugeruje nie tyle uprawianie innego modelu kultury, będącego w kontrze do kultury tradycyjnej, ile funkcjonowanie poza kulturą lub po prostu działanie na szkodę kultury.

Istnieje jednak spore podejrzenie, że pan marszałek tej antykultury nie wymyślił, tylko do czyjejs koncepcji się odwołał. Wiele wskazuje na to, że jest to koncepcja niejakiego Krzysztofa Karonia. Na stronie „Nowego Napisu”, w którym Karoń publikuje, przeczytać możemy, że jest on „publicystą i prelegentem” i wydał „dwie książki z zakresu grafiki, składu komputerowego i poligrafii”. Jest autorem cyklu wykładów (ok. pięciu godzin na YouTube) „poświęconego historii marksizmu i nowej historii kultury”, a w 2018 r. opublikował książkę „Historia antykultury”, za którą był nominowany do Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza i otrzymał nagrodę fundacji PAFERE, czyli Polsko-Amerykańskiej Fundacji Edukacji i Rozwoju Ekonomicznego. Fundacja ta – jak czytamy na stronie internetowej – opiera swoją działalność na stwierdzeniu, że główną przyczyną problemów i kryzysów gospodarczych prowadzących do bezrobocia, biedy i innych problemów społecznych jest powszechnie nieprzestrzeganie dwóch przykazań Dekalogu – siódmego i dziesiątego: „Nie kradnij” i „Nie pożądam żadnej rzeczy należącej do bliźniego”. Stosowanie tych przykazań w gospodarce fundacja traktuje jako imperatyw i podstawę chrześcijańskiej myśli gospodarczej. Pozostałe przykazania wydają się nie interesować fundacji.

Krzysztof Karoń to postać dość tajemnicza. Uważany jest za erudyte i ideologa antysystemowej prawicy, wyczerpuje też znamiona rodzimego przedstawiciela alt-right. Przedstawiciele alt-right, poza kwestiami ideologicznymi, charakteryzuje skłonność do kategoriycznych sądów, irracjonalne postrzeganie rzeczywistości, łatwość w dostrzeganiu wszędzie spisków, wybiórczy stosunek do faktów i namietność do nadawania znaczeń mało istotnym wydarzeniom. Wszystko to można znaleźć w mówionej i pisanej twórczości Krzysztofa Karonia. W prawniczym internecie wypracował on sobie na tyle mocną pozycję, że często występuje w programach patostreamera Marcina Roli, udzielił też obszernego wywiadu Grzegorzowi Braunowi w ramach inicjatywy „Pobudka” (jak czytamy na stronie internetowej, chodzi o „budzenie śpiących rycerzy”), często jest zapraszany do TVP jako ekspert od ideologii Unii Europejskiej. Ideologii marksistowskiej, rzecz jasna, bo właśnie marksizm dostrzega Karoń wszędzie i tę filozofię wini za wszelkie nieszczęścia tego świata.

Także za nieszczęście nazwane przez niego antykulturą. Poświęcił on temu stworzonemu przez siebie pojęciu nie tylko książkę (przyznam, że nie czytałem), ale i stronę internetową, na której można znaleźć coś w rodzaju streszczenia książki (przeczytałem). „Na początek – pisze

Karoń na owej stronie – kilka portretów wybitnych prekursorów i twórców antykultury. Są wśród nich ludzie po prostu infantylni (jak Thoreau i Mead), maniacy (jak Reich), fanatycy (jak Marks i Dutschke), cyniczni manipulatorzy (jak Fromm i Moscovici)”. Portrety to, przynajmniej, narysowane bezkompromisową, grubą krechę. Następnie podaje definicję: „Antykultura to połączenie współczesnego marksizmu, czyli ideologii globalnego, totalitarnego systemu, w którym zdeorganizowana większość społeczeństwa kontrolowana jest przez dobrze zorganizowaną mniejszość, oraz tzw. religii humanistycznej. Ośrodkiem rozwoju współczesnej antykultury jest szeroko pojęta antropologia kultury”. Czyli antykulturę rozwijają – zapewne nieświadomie – ci badacze kultury, którzy nie chcą dostrzec niszczącego ją nowotworu marksizmu, tylko szukają różnych praw, historycznej zmienności i etnicznej jej różnorodności. Karoń nie widzi także powodów, żeby rozróżniać nurty w samej antykulturze, jego myśl ma charakter syntetyzujący wszystko do mniej lub bardziej zakamuflowanego marksizmu: „To, jakie nazwy nadawano różnym nurtom nowej ideologii na kolejnych etapach jej ewolucji, nie ma żadnego znaczenia (oprócz tego, że umożliwiała zacieranie marksistowskich tropów [...]). Freudmarksizm, teoria krytyczna, strukturalizm, poststrukturalizm, postmodernizm, dekonstruktywizm, radykalny feminizm, LGBT, cultural studies, gender studies itp. łączy jedno – aprioryczna negacja kultury jako mechanizmu kształtującego ludzką psychikę i życie społeczne”.

Antykultura, zdaniem Krzysztofa Karonia, rozwijała się w latach 1930–80. Po tej dacie „w Europie rozpoczął się proces tworzenia organizacyjnych form nowego systemu społeczno-ekonomicznego, który (...) jest czystym, bezideowym totalitaryzmem”. Dalej tę kategorię myśl doprecyzowuje: „Antykultura stała się oficjalną ideologią Unii Europejskiej w 1999 r. na mocy Traktatu Amsterdamskiego, tzn. z chwilą uznania tzw. gender mainstreaming za oficjalną strategię kulturową zjednoczonej Europy, jednak przekształcanie Unii w totalitarne superpaństwo nie zostało zakończone, ponieważ negatywne skutki antykultury budzą coraz silniejszy sprzeciw wprawdzie niemal kompletnie już rozbitych, ale nie do końca spacyfikowanych społeczeństw”.

A więc – jest nadzieja! Spacyfikować nie dał się bowiem wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł. Dostrzegł antykulturę i w porę postawił jej tamę, „odwołując powołanie” (jak poetycko napisała „Wyborcza”) Moniki Strzępki na dyrektorkę Teatru Dramatycznego. A przy okazji ujawniając swoje intelektualne, alt-rightowe zaplecze. Miałbym ochotę podsumować ten czyn cytatem: „historia wesoła, a ogromnie przez to smutna”, ale nie wiem, czy Wyspiański to przedstawiciel kultury, czy antykultury. To jeszcze należało by ustalić. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

FOT. ARCHIWUM UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO, ADAM GOLEC / AGENCJA WYBORCZA.PL



Z **ANDRZEJEM STASIUKIEM**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Boli?
– Co?

Opinia, że jest pan złym, bezrefleksyjnym człowiekiem. Albo był. Tak piszą na rozmaitych forach.
– Czasami bywamy źli.

Tylko tyle pan powie?
– A co mam jeszcze powiedzieć?

Wszystkie media od lewej do prawej grzały temat, że Stasiuk dręczył zwierzęta.
– Zaraz będą miały inny i znów fora będą się grzały.

Moje córki też nie miały dla pana wyrozumiałości.
– A moja córka napisała mi z wyrzutem: „Tato, dlaczego ja się ostatnia dowiaduję, że jesteś naczelnym psychopatą IV RP”. No, ale ona żyje w Berlinie i nie uczestniczy. Mogła pani zafundować córkom dychę, żeby sobie odpaliły PayPala i przeczytały mój tekst. A właściwie tak zwaną mowę mistrzowską wygłoszoną na Festiwalu Conrada w Krakowie. Swoją drogą ciekawe, ile trzeba zapłacić agencjom PR-owym, by uruchomić takie zainteresowanie pisarzem.

Nie mam pojęcia, ale to czarny PR.

JAK SIĘ ZABIJA OWCE

**Wkurwiam tych z lewej i tych z prawej.
To jest porządne osiągnięcie**

– Jestem bad boyem i czarny PR bardzo mi pasuje. Ale mam też biały, jak mi donoszą ci bardziej życzliwi.

Nie wiem, czy bad boyem, Rafał Ziemkiewicz nazwał pana „powiatowym maczo”. I nawet odwołał się do Freuda, ale zostawmy to.

– A, Ziemkiewicz. Tak, zostawmy to. On ma z macyzmem jakiś kłopot najwyraźniej. Kiedyś założył coś, co się nazywało chyba Klub Ronina. No i widzę go w samurajskiej zbroi i to jest dość ciekawe. Zresztą nie on jeden. Nie dalej jak parę miesięcy temu na spotkaniu w Kielcach wstała młoda wdowa po starym pisarzu, przedstawiła się z imienia i nazwiska, co na spotkaniach autor-skich raczej nie jest praktykowane, i zaczęła mnie atakować za moje eksponowanie macyzmu. Byłem trochę bezradny.

Dlaczego?
– Bo czasem jestem bezradny wobec tego, kędy podąża ludzka myśl i wyobraźnia. Powiedziałem: mogę się ubrać w sukienkę, ale to będzie nieprzekonujące.

Maczo są już, proszę pana, passé. Zastanawiam się, czy pan w ogóle nadąża.
– Nie mam takich ambicji. Stworzyłem sobie mój świat i robię, co do mnie należy, czyli opowiadam historie i doglądam moich owiec. Mnie nie interesuje nadążanie. W moim wieku być na bieżąco z tym chaosem i malpiarstwem? Nigdy w życiu nie chciałem za niczym nadążać. Odwrotnie,



i dzieją się takie historyczne rzeczy. Jeżeli dobrze sobie przypominam, ostatni taki dym wywołał chyba Adam Ważyk i jego „Poemat dla dorosłych”. Ale jak powiedziałem, za chwilę ta zadyma ucichnie, a to, co widzę za oknem, trwa i będzie trwało.

Nie o poemat szło, ale o wyjęte z kontekstu zdanie, że pan „był normalnym chłopcem i dręczył zwierzęta”. A poza tym, że nie powiedział pan: „Mea culpa”. – Ale ja nie czuję żadnej culpa. Poczucie moralne rodzi się w dzieciach około 12. roku życia. Wcześniej są niewinne, tak jak niewinna jest natura. Okrutna i niewinna. Poza tym powtarzam, że napisałem poemat, a to są metafory, przenośnie, obrazy. Proszę wrzucić 10 złotych i sobie przeczytać.

Czytam: „Byłem normalnym chłopcem. Rzuciłem kamieniami w przejeżdżające pociągi i dręczyłem zwierzęta. W tamtych czasach chłopcy dręczyli zwierzęta. Nie z okrucieństwa, ale z ciekawości świata. Żeby patrzeć w gasnące oczy i dotykać gasnącej krwi. Tak robili chłopcy ciekawi świata”. Ludzie pisali, że to jednak nie jest normalne. – Przeczytali tylko te kilka zdań i na tej podstawie mieli wyrobioną opinię. A to jest opowieść o ciekawości. O ciekawości, czym jest życie, i o tym zdziwieniu, że coś jest żywe, a potem martwe. Dzieci prują zabawki, bo chcą zobaczyć, co jest wewnątrz misia, a chłopcy w tamtym czasie zaspokajali swoją ciekawość nie zabawkami.

Po pana tekście moi znajomi przyznali, że jako dzieci kroili kijanki i gotowali z nich zupę, dmuchali żaby, obrywali konikom polnym nogi i kroili dżdżownice. I wszystkim jest teraz strasznie wstyd. – Nie rozumiem trochę tego wstydu. Dzieci potrzebują doświadczeń i szukają ich wbrew zakazom czy nakazom. Poza dobrem i złem.

Kiedy panu przyszło do głowy, że to, co pan robił, było złe? – Miałem mieć jak Szawel na drodze do Damaszku olśnienie? Po prostu czujesz, że tego się nie robi. I nie robisz.

A patrząc w gasnące oczy zabitych zwierząt, co się czuje? – Mieszanie obrzydzenia, ekscytacji, smutku. Bardzo skomplikowany splot sprzecznych uczuć.

A potem? – A potem zwykle następowała cisza. Stało się coś strasznego, przełomowego, ale tak, zrobiliśmy to. Czasami, podejrzwam, robiliśmy to też w samotności.

Tu, na wsi, też pan musiał zabijać. – Nieraz. Parę razy musiałem dobić zwierzę ciężko chore czy zranione, dla którego nie było już ratunku. Sąsiad mi pokazał, jak się zabija owce. Byłem tu pierwszy albo drugi raz, w ’83 lub ’84 roku, a on nie miał nikogo do pomocy. Nauczył mnie, żeby to robić bardzo spokojnie, powoli i żeby nóż był idealnie naostrzony, tak by to się stało za jednym pociągnięciem. To była piękna lekcja.

W jakim wymiarze „piękna”? – Kiedy się myśli o potwornych fabrykach mięsa i milionach zwierzęcych egzystencji, które są zabijane w sposób okrutny i przemyślowy, to jednak dostrzegasz kontrast z tym prostym zabijaniem. Jest łąka, jest niebo, zwierzę leży spokojnie, może przeżuwa, ale się nie szarpie. Jest to jakieś ludzkie po prostu, bo jest bezpośrednie. Nie ma pośrednictwa przemysłu i masowości. W tym najpierwszym doświadczeniu szło o ciekawość i rozpoznanie okrucieństwa, jakie w nas jest, a w tym drugim był spokój, bo nie było już przekroczenia.

Czytał pan tekst Błażeja Strzelczyka w Onecie? On akurat był panu życzliwy.

– Rzucony na pożarcie otchłaniom moralistycznym musiałem poczuć odsiecz i przeczytałem. Szukałem pociechy i ją znalazłem.

Zastanawia się, a ja powtórzę za nim, czy teraz nie splanca pan tym zwierzętom długu. – To jest ładnie napisane, ale zbyt dla mnie wzniosłe. Ja po prostu mam możliwości, żeby zwierzęta żyły ze mną, a dodatkowo bardzo lubię ich towarzystwo. Ale rzeczywiście wzruszył mnie tekst Strzelczyka, bo przytoczył moją opowieść sprzed wielu lat o tym, że śni mi się pies, z którym byłem bardzo związany. Mieszkaliśmy tylko we dwójkę przez parę lat w samotnej chałupie w środku gór i lasu. Był już stary i było widać, że jest słabo. I któregoś dnia odszedł. Prawdopodobnie po to, żeby spokojnie umrzeć. Tak sobie wyobrażałem. Potem jako jedyne zwierzę śnił mi się regularnie. Przychodził, żeby mnie pocieszać. Stary, z pajęczynami w skołtunionych siwnach. Miał na imię Murzyn.

Nie piszmy, co? – Jak nie piszmy, jak przyszedł z takim imieniem. Wypędzili go z jakiegoś pegeru. Chłopaki, jak go zobaczyli, to powiedzieli: „A, Murzyn przyplątał się do ciebie”. Miałem fundować mu zamieszanie w głowie? Został Murzynem, moim pierwszym i jednym z najukochańszych psów w moim życiu. W latach 80. nikt się nie przejmował nazywaniem psa Murzynem, tak jak w latach 60. niespecjalnie naganne było ciche dręczenie zwierząt. Tych mniejszych.

Ale z dzisiejszej perspektywy to naganne. – Ale nie urodziliśmy się dzisiaj. Tymczasem żyjemy w jakiejś wiecznej teraźniejszości i doraźności. Z przeszłości wybieramy sobie to, co nam pasuje, albo w ogó-

Dziś wszyscy mają poglądy. Niedługo moje psy będą miały poglądy. To strasznie ogranicza

le sobie ją wymyślamy, żeby nas zaspokajała. Takie klocki Lego do składania gotowych modeli. A jak nie zaspokaja naszych moralnych wzdęć, to skreślamy. To się niewiele różni od tak zwanej polityki historycznej. A przeszłość jest żywa, niepodzielna, organiczna.

Ale co z nią dziś zrobić? Amerykanie oblewali czerwoną farbą pomniki Kolumba. Belgowie po antykolonialnych protestach rozebrali pomnik króla Leopolda II. – Co do Kolumba, to nie mam pewności, bo trudno obciążać go odpowiedzialnością za późniejsze wymordowanie rdzennej ludności Ameryki, która swoją drogą mordowała się między sobą z równym okrucieństwem, tylko technologię mieli słabszą. Ale Leopold to już jednak czasy dość cywilizowane, a to, co robił w Kongu, swoim prywatnym państwie, jednak woła o pomstę do nieba. Wymordował kilka milionów ludzi albo zamienił ich w niewolników. Ale taka jest historia, trudno ją wykancelować i wymazać. Trzeba z nią żyć w jakiś sposób. Nie załatwi się przeszłości usuwaniem pomnika. Choć może na wzór muzeum komunizmu w Kozłówce zrobić w jednym miejscu galerię potworów historycznych?

I bibliotekę. A do niej można Dostojewskiego na przykład wpakować i „Lolite” Nabokova. – Pierwszy cesarz Chin rozkazał spalić wszystkie wcześniejsze księgi w państwie,

a w każdym razie te, które uznał za bezużyteczne dla władzy. Calego Konfucjusza między innymi. Konfucjusz jednak go przeżył. Mao też próbował nieco wyzerować historię przy okazji rewolucji kulturalnej. Stalin kazał retuszować zdjęcia i usuwać kolegów, którzy przestali mu się podobać. O aktualnych zarządcach ojczyzny nie ma co wspominać, bo nie ta skala, nie ten rozmach, nie te możliwości i talenty. Ale wiedać, że przez tysiąclecia ludzkie marzenia o władzy nad pamięcią raczej się nie zmieniają. Ale to się nigdy nie udaje.

Prawdziwym królem pamięci jest Alzheimer. Na szczęście w skali społecznej jest pewna nadzieja, bo sporo zależy od nas samych. – A Dostojewski, owszem, był wielkoruską szowinistyczną świnią, ale pisał porządnie. Wkurwiająco, ale porządnie. Oczywiście można się na niego wypiąć. Ale czytanie go podczas wojny robi się jeszcze ciekawsze.

Dlaczego? – Bo pod tą wielkoruskością, prawosławiem, turbochrześcijaństwem czai się jakaś rozpacz. Strach przed nicością, przed pustką. Przed otchłanią, którą dojrzał, i historycznie, bo pisarz absolutnie historyczny to jest, próbuje się od niej odgrodzić, zasłonić ją, zagadać tymi wszystkimi grubasnymi księgami, które wypełniają gigantyczne słowotoki. Próbuje przesłonić, unieważnić ruski nihilizm, bo go zrozumiał i zgłębił. I to jest opowieść właśnie o tej wojnie, która jest absolutnie nihilistyczna, tak jak nihilistyczna jest Rosja. Potrafi eksportować tylko nicość i resentymentalnie mścić się za doświadczenie, za świadomość własnej nicości.

Więc oczywiście – można nie czytać Dostojewskiego. Proszę bardzo. Tylko raczej na tym tracimy, niż zyskujemy. Możemy

nie czytać też „pedofilskiej” „Lolity”. Tyłko odbierzmy sobie wtedy jedną z piękniejszych opowieści miłosnych. W której zresztą panna Haze raczej rozdaje karty, niż jest ofiarą. No, ale do czytania trzeba mieć talent. A tu powołanych bardzo wielu, ale już wybranych niekoniecznie.

Kancelujemy też prywatną przeszłość, czyż nie? Wstydzimy się jej, bo z dzisiejszej perspektywy była błędem. I opowiadamy sobie swoją własną historię na nowo. Może w skali makro to też jest nieuniknione? – To tak jak po 1989 roku, gdy się okazało, że wszyscy walczyli z komuną i byli w opozycji. Wie pani, pamięć sama jakoś sobie radzi, oczyszcza, samowybiela, więc chyba nie ma powodu, by wywierać na nią dodatkowy wpływ. Zwłaszcza pod wpływem moralnych wzmożeń. Nie mamy zbyt wiele poza nią, jeśli chodzi o kształtowanie naszej tożsamości. Zrobieni jesteśmy i z dobra, i ze zła. Nie uciekniemy od tego. Oczywiście niektórzy próbują, ale to jest ciężki los, taki nieustanny reset. Przecież zostają jakieś dziury i trzeba je czymś zapychać, jakimi implantami.

Jestem już dość stary i brałem udział w wielu rzeczach. Dobrych i złych. Nie mogę ani pomnożyć minionego dobra, ani cofnąć zła, mam pewien rodzaj wiedzy, który pozwala poruszać się w życiu z większą uważnością, z większą czujnością. Kanceling – że użyję nowego słowa – czyni nas po prostu głępszymi i tyle.

A moralne wzmoczenie czyni nas lepszymi?

– Idzie w nim o łatwe wytłumaczenie rzeczywistości. O etykietowanie i porządkowanie. Świat jest chaosem i ludzie potrzebują prostych odpowiedzi, że ten jest taki, ten owaki, a tamten śmaki. To być może daje im taki spokój, jaki mnie daje pejzaż za oknem. Poza tym to też jest jakaś adrenalina. Adrenalina moralna.

W swojej mowie...

– ...mistrzowskiej, dodajmy...

...powiedział pan, że trzeba pisać dla umarłych. Bo „żywi porwą twoją opowieść i ani się obejrzą, wykorzystają dla swoich celów. Zaczną ci klaskać albo sarkać”.

– Dla mnóstwa ludzi literatura jest przeżyciem duchowym i estetycznym, ale nie

– Dlaczego mamy nie ranić i nie bronić się przed zranieniem? Dlaczego nie mamy walczyć po prostu? Życie składa się również z ran. Kto powiedział, że ma być tylko przyjemnie?

Nie możemy żyć w terrorze cudzych emocjonalnych zdań, bo ugrzęźniemy w nieruchomości kompletnej. Zawsze ktoś się poczuje zraniony i wtedy co? Z drugiej strony bardzo wygodnie jest obnosić się ze swoimi prawdziwymi, a często też wyimaginowanymi ranami. Poza wszystkim ludzie mają różne progi zranienia, ja akurat mam dość wysoki.

Wygodnie?

– No fajnie jest być ofiarą. Ma się przede wszystkim moralną wyższość.

Zabrnijemy w ślepą uliczkę, kiedy będziemy chcieli zadowolić wszystkich, bo wtedy nie zadowolimy nikogo. Kiedy będzie-

po tym zegarku, że ci tyka, poza zaspokojeniem swojej próżności, dumy, pychy. To są proste rzeczy.

Pan chce mi powiedzieć, że nigdy nie pożałował rzeczy?

– Pożądałem koleжки elektrycznej w dzieciństwie. Śniła mi się po nocach. We śnie i na jawie jej pożałowałem. Dwóch najbogatszych w klasie miało. Odwiedzałem ich i godzinami nie mogłem oderwać wzroku od tego cudu pomniejszonego świata. Oni nie odwiedzali mnie nigdy. Byli trochę jak książęta w tych swoich bogatych domach. Jak książeczki nawet, bo w jednym chyba się podkochałem.

Pan? Naprawdę?

– Zostawmy to na kiedy indziej, dobra?

W tamtych czasach zwyczajnie mniej było do pożądania. Zaspokajała nas przestrzeń, natura, ruch, fizyczność, dzikość. Dzisiejsi młodzi żyją w okrutnym świecie. Skazani na wieczne pokusy i wieczne niezaspokojenie. Potem pożałowałem zachodnich płyt. Mógłbym opowiedzieć, jak okradaliśmy sklepy, żeby mieć na nie kasę – była to głęboka komuna, więc i działalność jak najbardziej antykomunistyczna – ale może to też zostawmy sobie na kiedy indziej.

A samochody?! Przecież to pana gadanie o nich i ta ogromna navara niczym nie różni się od pożądania zegarka.

– To nie jest nawa, po pierwsze. Po drugie, spełnia też funkcję ciągnika, maszyny rolniczej i to się na wsi bardzo przydaje.

Ja mam do aut miłosny i bardzo osobisty stosunek. To, którym teraz jeżdżę, jest, powiedzmy, spełnioną miłością. Najchętniej jeździłbym nim do końca życia. Żeby dało się naprawiać i reanimować w nieskończoność. Nie pragnę żadnego innego. Nowszego, lepszego. I najlepiej by było, jakby mnie w nim pochowali. A z tymi zegarkami za 100 tysia to jest dla mnie jakiś idiotyzm. Spaliłbym się ze wstydu, gdybym miał coś takiego kupić i jeszcze nosić przy ludziach.

Nie ogarniam tej różnicy, poważnie.

– Noż, kurwa: jest chyba różnica między jakimś patkiem a ciężarówką, którą się wozi drewno, siano i ciągnie przyczepę z gnojem.

Pan ma poglądy lewicowe, jednym słowem. Albo komunistyczne. Wszystkim po równo?

– Nie po równo, ale bardziej sprawiedliwie. I sprostujmy, ja nie mam poglądów, co już pani kiedyś powiedziałam.

No tak: „Ja nie mam poglądów, ja mam nerwy”. Ale nie dopytałam wtedy, co to właściwie oznacza.

– Dziś wszyscy mają poglądy. Więc ja bym sobie pozwolił teraz na luksus nieposiada-

nia poglądów, tylko reagowania na konkretne sytuacje i na konkretne zło. Dotykalność świata, jego zmysłowość mnie interesują i reagowanie na niego wszystkimi zmysłami i umysłem. Ale żeby mieć poglądy? Niedługo moje psy będą miały poglądy. To strasznie ogranicza. Nie masz manewru, musisz ich bronić albo cierpieć, że je zdradziłeś, albo cierpieć, że ktoś wyznaje inne. Walczyć z tym? Szkoda czasu. Wystarczy przyzwoitość. Żeby wobec rzeczy złych zachowywać się odpowiednio i wobec dobrych. Reagować, kiedy możesz zareagować i kiedy coś to znaczy. Kiedy twoja reakcja ma sens. Czasami nam się zdaje, że nie damy rady, ale zawsze możemy zmniejszyć odrobinę ten świat. I na przykład nie wiązać psa na łańcuchu.

Nasz stosunek do istot, które nie są ludźmi, bardzo się za pana życia zmienił, prawda?

– Nauczyliśmy się dostrzegać w nich istoty inne niż czysto użytkowe, co zwłaszcza psów dotyczy. To jest jakaś zdobycz cywilizacyjna, że dostrzegamy ich cierpienie na przykład. Tutaj, na wsi, coraz rzadziej widuje się psy na łańcuchach. Coraz częściej na podwórku jest już kojec. Mniejszy, większy, ale nie jest to gehenna łańcuchowa i blaszana beczka jako dom. Chodzą na smyczach i wchodzą do domów. Kiedyś pies na wsi nie miał do domu wstępu, a teraz leżą sobie na kanapach. Jesteśmy chyba odrobinę lepsi.

Ale z drugiej strony ten przemysł mięsny i codzienny holocaust zwierząt jest niepojętym złem. Ale powiedzmy Chińczykom, że nie będą jedli mięsa, kiedy głodowali przez tysiąclecia. Może te parę owiec, które są z nami od poczęcia do naturalnej śmierci, jest moją ekspiacją za te kilogramy mięsa, które zęzarłem w życiu? Już prawie nie jem, z różnych względów.

W sobotę w Łodzi pana owce zostaną unieśmiertelnione. Są na muralu, razem z panem, rzecz jasna.

– I bardzo jestem dumny z tego, że występuję z nimi. Jak i z tego, że mam swojego patrona wśród zwierząt. Gammarus stał się nazywa.

Rzeczywiście! Mówił pan, że jest z niego bardziej dumny niż z nagród literackich. Widział go pan na żywo?

– Na żywo to nie, ale na rycinie przypomina trochę konika morskiego. I żyje w karpackich potokach.

Skoro ma pan swojego patrona, to może przejdzie pan przez ten most nad rwącą rzeką, o którym pisał Strzelczyk? Po jego drugiej stronie będą stały wszystkie zwierzęta, które spotkał pan w życiu. I one zdecydują, czy przejdzie pan na drugi brzeg. Swoją drogą to parafraza wiersza córki starego pisarza, o którym już dziś mówiliśmy.

– Mam nadzieję, że i moje owce odezwią się w tej sprawie. A może i Cujka coś powie. Chciałem ją namówić, by powiedziała tutaj, że nie jestem taki najgorszy, ale nie chciało jej się gadać.

A może w tej zadymie szło nie o zwierzęta, ale o wykreślenie maczysty Stasiuka. Szczególnie wypowiadającym się pisarzom, którzy nie mieli dla pana zrozumienia, mimo że z racji zawodu potrafili czytać ze zrozumieniem.

– Niektórzy z nich potrafili pisać bez zrozumienia. I jasne, że chodzi o zabójstwo ojca. Ale to jest niezłe, że mam ponad sześćdziesiątkę i budzę emocje, nic właściwie nie robiąc poza uprawianiem swojego zawodu. Wkurwiam tych z lewej i tych z prawej. To jest porządne osiągnięcie. Chciałbym to robić jak najdłużej takim niewielkim nakładem sił jak do tej pory oczywiście. Kancelowanie mnie jako maczysty? To trochę jak atak husarii w terenie bagiennym: heroiczne oraz widowiskowe, ale zarazem dość głupie. ●

Koledzy byli trochę jak książęta w tych swoich bogatych domach. Jak książeczki nawet, bo w jednym chyba się podkochałem

dla wszystkich. Są tacy, którzy nie potrafią czytać. To jest tak jak ze słuchaniem muzyki: albo ma się słuch i się docenia wielkość partytury, albo się tylko tupie nogą. To nic, że porozumiewamy się tym samym językiem, bo on ma tyle niuansów, brzmień, konsonansów i dysonansów, że czytanie jest trudne. Wymaga pewnego talentu, jak wszystko w tym życiu. Niektórzy nie mają talentu do czytania, więc zasuwać ją powierzchownie i moralistycznie. I odczuwają wyższość moralną, co jest bezcenne w dzisiejszych czasach. I nie trzeba nawet wychodzić z domu, męczyć się jakoś. Można ją odczuwać w każdej chwili i wobec wszystkiego.

A może dziś nie można być letnim?

– Rewolucja potrzebuje żołnierzy, kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Ale z drugiej strony trudno ludziom odmówić prawa do zmiany świata wszelkimi dostępnymi oraz legalnymi i bezkrwawymi metodami. I niech tak będzie. Wkurwiające jest natomiast to, że całe to wzmoczenie i moralna sraczka próbują zabić coś istotnego, czyli kulturę. Wykastrować, sprowadzić do ideologicznej nawałanki. To jest żalosne. Ten hunwejbiniizm, który nic nie kosztuje. Siedzisz w ciepłym i wymierzasz sprawiedliwość światu. I się grzejesz poczuciem wyższości. Za chwilę nie będzie kultury, literatury, poezji, ironii, inteligencji, tylko nawałanka. Cudowna wieloznaczność świata pójdzie się pieprzyć.

Sylvia Chutnik napisała, czemu przytaknął Jacek Dehnel, że afera z pana tekstem pokazuje, że ludzie czytają leady zamiast całego tekstu, nie rozumieją ironii i tej wieloznaczności.

– Akurat rewolucjonistom brakuje poczucia humoru. Gdyby nie grzebali części ludzkiej inteligencji, która polega na poczuciu humoru, na autoironii i na dystansie, to ja bym się prawdopodobnie do nich zapisał, bo moje serce jest jednak z lewej strony, cokolwiek by gadać.

Możliwe, że w poczuciu humoru naganne jest, że możesz kogoś zranić. Tak mi w każdym razie powiedziała mocno lewicowa koleżanka.

my wszystkich chcieli uchronić chociażby przed drwiną. Śmiech, drwina, szyderstwo to są składniki ludzkiego bytu. Dlaczego zniszczyć ten jeden z fundamentów ludzkiej egzystencji i duchowości? Mam nadzieję, że się nie da. Nawet nasza Cujka ma poczucie humoru – i gra z nami cały czas.

Nie każdy potrafi się odwinąć za szyderę, więc może lepiej unikać jej w życiu społecznym?

– Ja nie mówię tylko o szyderze, ale o umiejętności dystansowania się i o tym, że poczucie humoru pomaga w życiu. I jest czymś niezbywalnym, jeśli chodzi o ludzką inteligencję. Najbardziej dotkliwe w kontaktach z ludźmi jest spotkanie z kimś, kto nie potrafi przesunąć znaczeń i siebie wziąć w nawias. Ja nie mówię, że moje poczucie humoru jest wyjątkowe. Jest koszarowe, plebejskie i tak dalej, niemniej jednak rozmowa z człowiekiem, który nie ma poczucia humoru, jest dla mnie gehenną.

Nie licząc ocalenia poczucia humoru, do czego powinna dążyć rewolucja?

– O, Jezu. Za mało kawy wypilem, by na to pytanie odpowiedzieć.

Skoro przywołał pan rewolucjonistów, to mogę chyba zapytać i o rewolucję?

– Powinna dążyć do tego, by ludzie przestali z głodu umierać. Żeby nie odchodzili w nędzę, opuszczeniu, samotności i żeby nie było tak wielu obrzydliwych bogaczy na tym świecie.

To zabrałby im pan i rozdał ubogim?

– Nie, bo to pachnie maoizmem. Nie wiem, nie jestem politykiem, ale są jakieś mechanizmy, które można by wdrożyć. Na przykład mechanizm wstydu. Wiem, utopia w dzisiejszych czasach i w kulturze bezwstydu.

Chodzi o wstyd, że się ma zegarek za 250 tysięcy?

– Tak. Bo to jest już skrajnie głupie. I niemoralne.

Dlaczego niemoralne?

– Z bardzo prostego względu. Te 250 tysięcy za ten gówniany zegarek mogłoby uratować 250 ludzkich egzystencji. A co komu

Najbardziej dotkliwe w kontaktach z ludźmi jest spotkanie z kimś, kto nie potrafi wziąć siebie w nawias

Bądźmy solidarni z twórcami

Władza wysyła artystom komunikat – uważajcie, co mówicie, z kim rozmawiacie, kogo zapraszacie.

Adam Bodnar*



Media obiegała informacja o zawieszeniu dyrektorki Teatru Dramatycznego Moniki Strzępki. Wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł w trybie rozstrzygnięcia nadzorczego unieważnił zarządzenie prezydenta Warszawy w sprawie powołania dyrektorki i nie ukrywał, że powodem jest wymiar artystyczny działań Strzępki.

Wiele osób zakrzyknęło: akt cenzury, to niedopuszczalne. Ale prawdopodobnie to nie pierwszy i nie ostatni taki akt w Polsce. Cenzura stała się codziennym doświadczeniem, do którego się przyzwyczajamy, uczymy z nim żyć, stosujemy barwy ochronne pozwalające na ratowanie własnej godności.

Nie zawsze akty cenzury są tak widoczne i spektakularne. Z prawdziwą cenzurą mamy do czynienia w zaciszach gabinetów. Stopniowo tworzony jest klimat ograniczający przestrzeń naturalnej dyskusji, wymiany informacji, zderzenia różnych wizji artystycznych.

Źródeł należy upatrywać w centralizacji mediów i ich wykorzystywaniu do celów politycznych, we wpływie władzy wykonawczej na funkcjonowanie świata sztuki i nauki, a także w roli, jaką odgrywa prokuratura. Do rzeczywistej cenzury dochodzi obecnie w wyniku występowania wielu czynników o charakterze własnościowym, komercyjnym oraz wpływu sektora

publicznego na twórczość i wolność wypowiedzi. Jest to proces, który cały czas postępuje i wpływa na mentalność społeczeństwa. Strach, który prowadzi do autocenzury, związany jest mniej z rzeczywiste grożącymi sankcjami, a bardziej z ogólną sytuacją materialną, koniecznością utrzymania miejsca pracy, brakiem innych perspektyw rozwoju zawodowego.

Od 2016 r. media publiczne są podporządkowane władzy wykonawczej. Po kilku latach przedstawiciele rządu nawet nie ukrywają, że chodzi o bezpośredni wpływ na codzienny przekaz i treści kierowane do odbiorców. Raz na jakiś czas nawet w obozie władzy dochodzi do sporów, kto i w jakim zakresie ma dostęp do tej tuby propagandowej. Alternatywne głosy mają mniejsze możliwości rozprzestrzeniania się, są zagłuszane przez obowiązującą narrację, przez nadawany ton polityczny. Stosowane są czarne listy – kto może być zapraszany do studia, a kto nie. Wreszcie stosowana jest bezpośrednia cenzura niektórych treści (jak np. wymazywanie serduszka WOŚP). Praktyki stosowane przez media publiczne pośrednio wpływają na to, co się dzieje w mediach zaprzyjaźnionych lub uzależnionych finansowo od funduszy publicznych i spółek skarbu państwa.

Druga przestrzeń cenzorska to wpływ regulacyjny i decyzyjny państwa na funkcjonowanie sztuki i nauki. W tym przypadku oddziaływanie państwa jest pełne różnych niuansów i form nacisku.

W ostatnich latach doszło do wielu bitew, których tłem było odwoływanie dyrektorów niezależnych instytucji kultury. Przypomnijmy niektóre z nich – Muzeum II Wojny Światowej (Paweł Machcewicz), Muzeum Śląskie w Katowicach (Alcja Knast), Muzeum Polin w Warszawie (Dariusz Stola) czy Teatr im. Słowackiego w Krakowie (Krzysztof Gluchowski). Używane były różne argumenty i fortele prawne, ale w gruncie rzeczy za każdym razem chodziło o aspekty merytoryczne. Wystawy czy przedstawienia nie podobały się przedstawicielom rządu. Dzięki bezprecedensowej postawie załogi Teatru im. Słowackiego jedynie Krzysztof Gluchowski zachował sta-

nowisko, a kruczata Barbary Nowak, mało polskiej kurator oświaty, się nie powiodła.

Tego typu ataki na wiodące postaci polskiej sztuki siłą rzeczy muszą mieć znaczenie dla całego środowiska artystycznego. W polskim wydaniu tzw. mroźący skutek oznacza, że trzeba bardzo uważać na to, co się mówi, z kim rozmawia, kogo zaprasza, komu udostępnia przestrzeń oraz z kim współpracuje. A to przecież ogranicza wolność twórczości artystycznej. Czasami stawia dyrektorów instytucji kultury w bardzo trudnej sytuacji – czy w danej sytuacji lepiej dbać o własną niezależność, czy o przetrwanie całej załogi. To trochę tak jak z dylematami sędziów – czy iść na kompromisy (np. orzekać z neoseądziami), czy ryzykować wszystko i do końca sprzeciwiać się atakom na niezależność sądownictwa.

Cenzura stała się codziennym doświadczeniem, do którego się przyzwyczajamy i uczymy z nim żyć

Ale cenzura w sztuce ma także inny wymiar. Państwo polskie jest potężnym mecenasem sztuki, a wielu artystów poszukuje wsparcia publicznego na realizowane projekty. Raz na jakiś czas słyszymy, że wybitne przedsięwzięcia artystyczne czy publikacyjne nie uzyskały publicznego finansowania. Organizowane są zbiórki publiczne, pisane protesty i apele, ale to nie zmienia całego systemu. Czy to jest cenzura? Z pewnością nie bezpośrednia. Stawia jednak twórców w sytuacji ciągłego wyboru – jak daleko mogą pójść na kompromis, co jest dla nich w danym momencie ważniejsze: zachowanie pełnej niezależności czy jednak realizacja danego przedsięwzięcia artystycznego lub ocalenie zespołu. Cóż z tego, że festiwal Malta wygrał proces z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego o odmowę finansowania. Sygnał do środowisk artystycznych został wysłany – niektóre dzieła i produkcje nie będą fi-

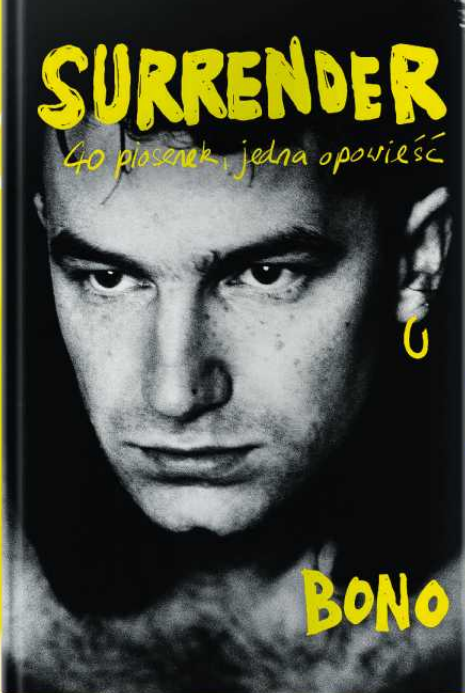
nansowane, arbitralność będzie zwyciężała z normalnymi, przejrzystymi procedurami.

Podobne dylematy występują w świecie nauki w związku z postępującą parametryzacją, ale także symbolicznymi działaniami w stosunku do niektórych naukowców. Zwolnienie rektora Uniwersytetu Wrocławskiego Przemysława Wiszewskiego przez ministra edukacji i nauki wysłało jasny sygnał do całego środowiska, podobnie jak przedłużająca się odmowa nadania prof. Michałowi Bilewiczowi tytułu profesorskiego. Jeśli wejdzie w życie „lex Czarnek 2.0”, to na dyrektorów szkół i nauczycieli zostanie nałożony dodatkowy kaganiec. Nawet bez tej ustawy w środowisku szkolnym często się mówi o strachu przed podejmowaniem określonych tematów.

Również działania prokuratury prowadzą do cenzury. Elżbieta Podleśna wygrała sprawę o „tęczową Maryję”. Jakub Żulczyk wygrał sprawę o znieważenie prezydenta. Prowadzenie tych spraw jasno pokazało, że określonych tematów nie należy podejmować. Teraz tego doświadczają m.in. Barbara Kurdej-Szatan, red. Piotr Maślak, Janina Ochojska czy Joanna Scheuring-Wielgus. Ostrze aparatu władzy cały czas działa i wysyła precyzyjny sygnał do całego społeczeństwa.

Czy możemy temu przeciwdziałać? Jak najbardziej. Nie możemy się po prostu przyzwyczajać. Nie możemy też zapominać o solidarności z twórcami. Pani Moniko, jestem z panią! ●

***Adam Bodnar** – dr hab. prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji, ambasador inicjatywy „Każdy człowiek” Ferdinanda von Schiracha



SURRENDER
40 piosenek, jedna opowieść
BONO

BESTSELLEROWA AUTOBIOGRAFIA JUŻ W SPRZEDAŻY

JAK ROZBROIĆ BOMBĘ ATOMOWĄ JEŚLI JESTEŚ NIĄ TY SAM?

Bono, legendarny lider U2, spowiada się z grzechów młodości i przeprosza za swoje wybujałe ego.

Kiedy zaczynałem pisać tę książkę, miałem nadzieję, że uda mi się z detalami nakreślić to, co wcześniej tylko szkicowałem w piosenkach. Ludzi, miejsca i możliwości, które dało mi życie. Kapitulacja jest dla mnie słowem ciężkim od znaczeń. Kiedy dorastałem w Irlandii w latach siedemdziesiątych z pięściami gotowymi do walki (w sensie muzycznym), idea “poddania się” nie była dla mnie czymś naturalnym. Jednak wróciłem do niej, kiedy zacząłem zbierać myśli do książki. Nakaz kapitulacji wymaga skrajnej pokory. Zmagam się z nim do dziś. W zespole, w moim małżeństwie, w mojej wierze, w mojej działalności społecznej. Surrender to opowieść o braku postępu pewnego pielgrzyma ... z niezłą dawką zabawy po drodze.

BONO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Lokalni mieszkańcy mają teraz u siebie uchodźców z dwóch granic: jednych w lesie bądź w szopie, drugich oficjalnie w domu.

Z DR **SYLWIĄ URBĄSKĄ***, SOCJOLOŻKĄ, AUTORKĄ BADAŃ Z POGRANICZA POLSKO-BIAŁORUSKIEGO, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Od wydarzeń w Usnarzu Górnym najpierw z socjologiem Przemysławem Sadurą, a potem sama jeździłaś na pogranicze polsko-białoruskie rozmawiać z lokalnymi mieszkańcami, władzami, pogranicznikami. Pierwszy raz byliście tam we wrześniu ubiegłego roku. Pisaliście: „Jest chęć ochrony granic, duma ze współpracy z mundurowymi, szacunek do nich. A wszystko łączy specyficznie rozumiany legalizm. Wiara w przepisy, prawo, procedury”. Po powrocie z drugiego listopadowego wyjazdu powiedzieliście, że widać postępującą traumatyzację tych miejsc. Wszyscy mieli dość strefy stanu wyjątkowego. Wasz raport kończył wymowny obrazek: kobieta wiesza w oknie duży biały obrus, żeby nie widzieć przechodzących drogą uchodźców.

– Miesiąc później, w grudniu, pojechaliśmy tam po raz trzeci. Był okres przedświąteczny, mróz, w mediach nagłaśniano kolejne śmierci uchodźców w lesie. Wydawało się nam, że empatia coś w mieszkańcach kruszy. Nawet ci o wyraźnych poglądach islamofobicznych, ksenofobicznych zaczęli mówić o uchodźcach trochę jakby cieplej. Żalowali ich. Powoli zmieniały się też relacje pomiędzy pogranicznikami a miejscowymi. Mieszkańcy wspominali, że ich sąsiedzi pracujący w Straży Granicznej, którzy do tej pory byli bardzo rozmowni, przestali mówić o tym, co się dzieje na granicy. Nie zatrzymywali się, żeby pogadać, zapytani nie odpowiadali.

Przed świętami dojechało też mnóstwo wojska. W gminie, w której prowadziłyśmy badania, postawiono kilka obozów dla żołnierzy. Było ich tak dużo, że ci, którzy nie byli akurat w terenie, organizowali spotkania dla rodzin, prowadzili rekrutację. Wszędzie wisiały ogłoszenia ze zdjęciami dzieci celującymi z karabinów, plakaty typu: „Przyjdź, dotknij rosomaka”. Miejscowi zaangażowali się w dokarmianie zmarzniętych żołnierzy. Kobiety piekły dla nich ciasta, robiły bigosy, zupy. Lokalny wolontariat zorganizował opał.

Nie pojawiła się refleksja, że tu dokarmiamy i ogrzewamy jednych ludzi, a inni kilkaset metrów dalej umierają w lesie z wychłodzenia?

– Wtedy jeszcze ludzie potrafili to sobie jakoś wytłumaczyć, że przecież żołnierze i pogranicznicy wykonują swoją robotę, bronią naszej granicy i tak dalej. Mundurowi też tak to sobie opowiadali, choć słysząc już było prześladowanie, że „praca robi się bardzo nieprzyjemna”, jest „niebezpieczna, bo na granicy dochodzi do walk”. Jak dopytywaliśmy mieszkańców, bo mundurowi nie chcieli wchodzić w szczegóły, co konkretnie jest takiego nieprzyjemnego, słyszeliśmy, że „przez druty trzeba czasem przepychać matki z dziećmi” i że „niektórzy pogranicznicy to bardzo przeżywają”. Coraz więcej z nich brało urlop, szło na zwolnienie albo planowało wcześniejszą emeryturę.

Powoli zaczęły się też ujawniać wewnętrzne napięcia pomiędzy mundurowymi: czyja to właściwie odpowiedzialność to przepychanie? Żołnierze twierdzili, że zostali przywiezieni po to, żeby rozwinąć drut kolczasty i zabezpieczyć granicę, natomiast „procedowanie” z uchodźcami to rola Straży Granicznej. Straż z kolei miała pretensje do żołnierzy, że się migają.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



MUR Z OBOJĘTNOŚCI

Grudzień to też taki moment, kiedy do szkoły z okazji mikołajek, Wigilii przychodzą różne osoby publiczne. Dyrekcja lokalnej szkoły zaprosiła wyłącznie żołnierzy. Organizacji pozarządowej, z dużym dorobkiem, która chciała porozmawiać z uczniami o tym, kim są uchodźcy, jakie mają prawa, czym jest azyl, odmówiła. Powiedziano nam, że ponieważ część rodziców i część kadry pochodzi z rodzin pograniczników, obecność aktywistów w szkole byłaby niezręczna.

Z tego, co wiem, nikt też nie porozmawiał z dziećmi o tym, jak się w ogóle czują, mieszkając w strefie, jak działa na nich obecność żołnierzy.

– Trzeba pamiętać, że to jest pogranicze, którego społeczności są zwykle ostrożne w dotykaniu spraw zapalnych. Prawdziwe poglądy chowa się głęboko do piwnicy, bo nie wiadomo, co pomyśli nauczycielka, wychowawca, koleżanka, kolega, jakie będą potem relacje z sąsiadem, który jest na przykład pracodawcą taty. Nawet prouchodźcze rodziny mówiły nam, że proszą swoje dzieci, żeby nie poruszały tego tematu w szkole, bo to może prowadzić do konfliktów. To nie jest duże miasto, gdzie można być trochę anonimowym, tu się wszyscy znają.

24 lutego wybuchła wojna w Ukrainie. Jak to wpłynęło na mieszkańców?

– Od razu i mocno zareagowali na tę wiadomość głównie dlatego, że właściwie na tę wojnę czekali. Już od pierwszych wyjazdów słyszeliśmy, jak starsi ludzie mówią, że trzeba się pakować, pytają dzieci: „To gdzie pojedziemy?”, ustalają scenariusze, bo „wojna idzie”. I w końcu przyszła, a że są to społeczności poprzemieszczane, mocno doświadczone, odpaliły się różne traumy. Niektórzy od razu się spakowali i wyjechali. Inni zaczęli robić zapasy. Mąż jednej z gospodyń przywiózł 100 kilo mąki z młyna i zamierzał zaopatrzyć piwnicę w puszkę. Inni gromadzili ziemniaki i cebulę. Osoby zaangażowane w kółka myśliwskie zaczęły myśleć o zaopatrywaniu się w broń.

Najważniejsze jednak, że już na drugi dzień po wybuchu wojny wiele osób wsiało w samochody i pojechało na granicę polsko-ukraińską po uchodźczyźnie z Ukrainy. W sumie do tej niewielkiej gminy przywieziono prawie 70 kobiet z dziećmi, w tym osób starszych, i ulokowano je po domach. Następnego dnia do szkoły trafiło 20 ukraińskich dzieci, które natychmiast dostały pełną opiekę, obiady i wsparcie. Mobilizacja i koordynacja pomocy między urzędami, szkołami, kołami gospodyń wiejskich, lokalnymi aktywistami, mieszkańcami była niezwykła. Miałam wrażenie,

że dla tej społeczności pomoc Ukraińcom ma trochę inne znaczenie niż w innych regionach Polski

Inne, czyli jakie?

– Moi rozmówcy opowiadali potem, że chcieli w ten sposób odzyskać wewnętrzny spokój i dobry wizerunek, bo mieli świadomość, że ich społeczność ma czarny PR. Przyznali też, że wcześniej bali się pomagać uchodźcom z polsko-białoruskiej granicy, bo ciągle straszono ich konsekwencjami. Po domach chodzili policjanci. Zdarzały się przeszukania stodół, warsztatów, szop. Po wsiach jeździły samochody z głośnikami, przez które informowano na cały regulator, że pomoc jest nielegalna.

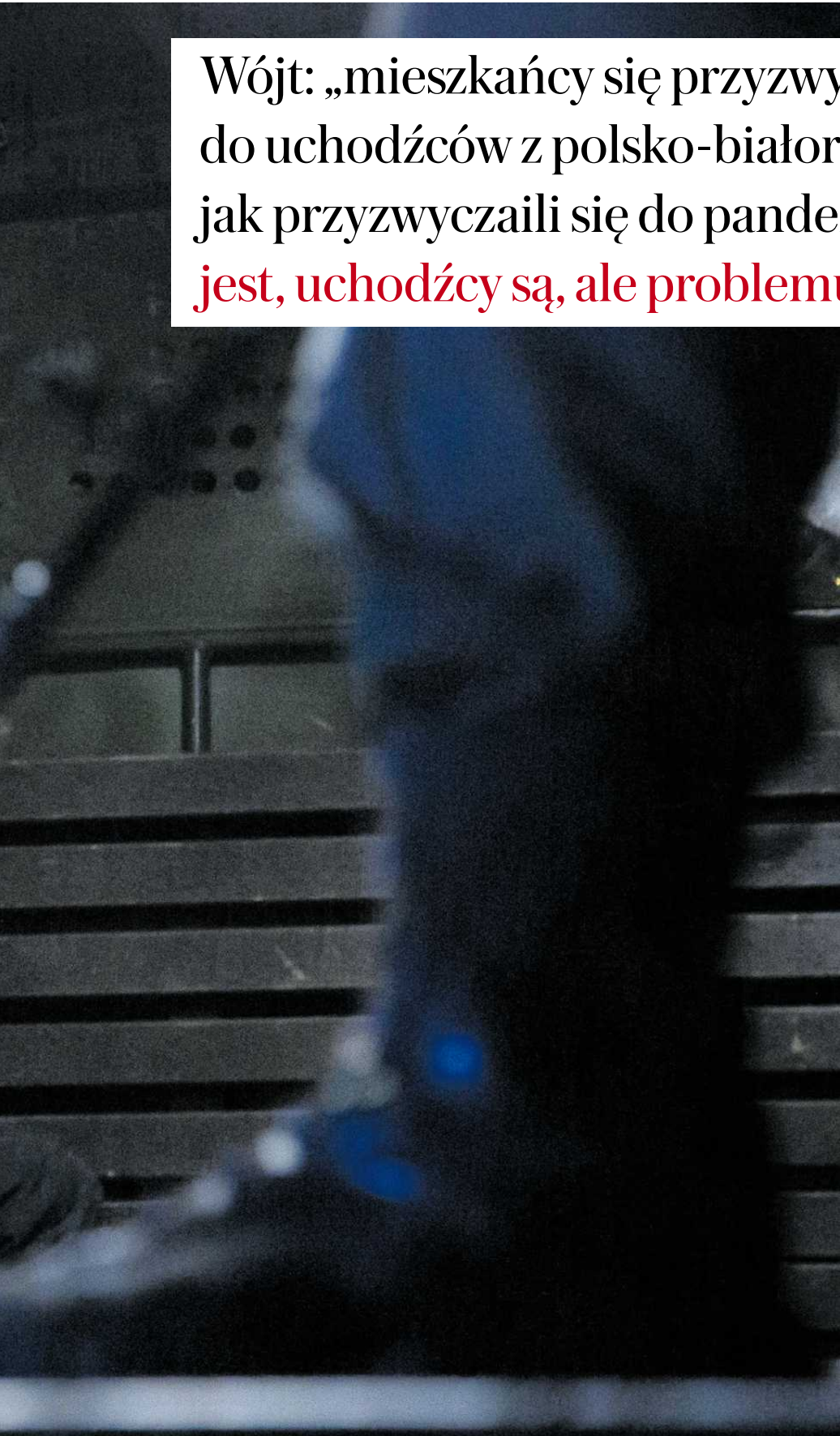
Co jest nieprawdą.

– Oczywiście! Co więcej, ostatnie wyroki sądów dowiodły, że to pushbacki są nielegalne, więc to straszenie odbywało się w ramach szerzenia populistycznych hasel i zwykłego kryminalizowania pomocy.

Po wybuchu wojny w Ukrainie, po okazaniu ogromnej solidarności uchodźcom stamtąd, na tych terenach nastąpiło coś w rodzaju odwilży.

Kiedy pojechałam tam ponownie w sierpniu, po tym jak zniesiono strefę stanu wyjątkowego, zauważyłam, że ludzie zaczynają głośno mówić o tym, kto wcze-

Wójt: „mieszkańcy się przyzwyczaili do uchodźców z polsko-białoruskiej granicy, tak jak przyzwyczaili się do pandemii. Pandemia jest, uchodźcy są, ale problemu nie ma”



śniej pomagał uchodźcom z polsko-białoruskiej granicy. Kiedy duża część wojska wyjechała, kiedy przestano w kółko powtarzać, że pomaganie jest karalne, ludzie się odważyli ujawnić również z tamtą pomocą. Dowiedziałam się na przykład, że jedna gospodyni dostała zaproszenie z Londynu od uchodźców, którym udzieliła schronienia, a innej „jej” uchodźcy ciągle przysyłają zdjęcia z Niemiec. Że ta i ta babcia przez trzy miesiące ukrywała ludzi w stodole, przynosiła im weki, dawała się umyć, a tamta zaopatrywały ich w przetwory. Często towarzyszyła temu informacja, że uchodźcy zostawiali w zamian pieniądze, odwiedzali się. Jakby ludzie chcieli przez to powiedzieć, że uchodźcy nie są agresywni, tak jak ich przedstawiają media rządowe. Są fair.

A jaki stosunek do uchodźców z Ukrainy mieli pogranicznicy i żołnierze?

– Widać było totalne rozszczępienie. Moje rozmówczynie, właścicielki agroturystyk, mówiły, że jak na to patrzeć, to robi im się „takie pomieszanie w głowie”. Wiosną zdarzało się, że w jednej agroturystyce byli zakwaterowani wszyscy: trochę wojska, trochę pograniczników, trochę budowniczych od muru i Ukrainki z dziećmi. Pogranicznicy częstowali te dzieci cukierkami. Organizowali akcję wsparcia dla kobiet, zrzutki

na telewizor, na sprzęt domowy. Jednocześnie, tego samego dnia, pakowali się i jechali na polsko-białoruską granicę przepychać inne dzieci za druty. Jedna z mieszkanki opowiadała mi, że kiedyś gmina ściągnęła z miasta tłumaczkę, żeby pomogła uchodźczyniom z Ukrainy wyrobić dokumenty w urzędzie. W koordynację tego przedsięwzięcia zaangażowali się usłudni pogranicznicy. Po południu strażnicy z tego oddziału złapali tych „innych” uchodźców w lesie. Kobiety z dziećmi oddzielili od mężczyzn, mężczyzn od razu przepchnęli na Białoruś, kobiety przewieźli do komendy Straży Granicznej, ale potem kontakt się z nimi urwał. Najprawdopodobniej też zostały przepchnięte, tyle że później.

Sytuacja na granicy interesuje już wyłącznie tych, którzy mieszkają przy samym murze, oraz rolników, którym budowańcy rozjechali pola i którzy domagają się odszkodowań

Jak pogranicznicy tłumaczyli sobie tę różnicę w traktowaniu?

– Tak jak robią to media rządowe, że uchodźcy z Ukrainy naprawdę mają wojnę i potrzebują pomocy, a tamci to nie są żadni uchodźcy, tylko nielegalni migranci, ewentualnie „turyści”. Zamożni, młodzi, silni mężczyźni, którzy przyjeżdżają po „socjal” i lepsze warunki życia.

A te wszystkie kobiety z dziećmi, w ciąży, starsze osoby, niepełnosprawne?

– O tym się nie mówi. Albo mówi się enigmatycznie, że „praca jest ciężka”.

W sierpniu pojechałam do domu, który stoi przy samej granicy. Piliśmy z gospodarzami herbatę na ganku z widokiem na mur. Nagle zauważyłam, że w murze jest tak zwane okno życia. Pogranicznicy mówią tak na furtki zamykane na klódkę, którymi przepychają uchodźców na białoruską stronę. Nie mogłam uwierzyć, że ta furtka znajduje się frontalnie przed wsią. Spytałam więc moich rozmówców, co oni na to, że mają pod nosem „okno życia”. Jeden z nich zaczął od razu krzyczeć, że co ja sobie myślę i dlaczego mamy tańczyć, jak nam Putin z Łukaszenką zagrają? Pouczył mnie też, że wypychanie uchodźców jest aktem patriotycznym, bo w ten sposób bronimy kraju przed destabilizacją. I dodał: „Fakt, szkoda ludzi, ale nie mamy wyjścia”, a także: „Niemcy sprytniej to sobie wymyślili, bo przyjmują uchodźców, ale potem i tak ich deportują”. Taką informację dostał od służb, które zostały zakwaterowane we wsi. Taka jest zresztą obowiązująca rządowa narracja. Jak się posłucha TVP, można odnieść wrażenie, że mur to tarcza mocy rodem z „Gwiezdnych wojen”.

Żaden jeź nie przejdzie.

– Za to uchodźcy już tak. I mimo że codziennie są odnotowywane kolejne przejścia, to moi rozmówcy, ale też wiele innych osób, mocno wierzą w tę propagandę, że mur nas ochroni. Jednocześnie nasilają się tendencje antyuchodźcze. W tym momencie najbardziej niechętnie uchodźcom, i tym z granicy polsko-białoruskiej, i tym z Ukrainy, są osoby przebywające na zasiłkach. Mówią, że Polska jest biednym krajem, który bardzo dużo przeszedł, ofiarą tej sytuacji i że „my nie musimy pomagać, bo nas na to nie stać”. Niech inni to robią. Te nastroje wzmocniła inflacja i przekonanie, że już się wykosztowaliśmy na pomoc uchodźcom z Ukrainy.

Atmosfera antyuchodźcza narasta nie tylko w tej grupie. Pokazują to chociażby ostatnie badania Sławomira Sierakowskiego i Przemysława Sadury. Przedłużająca się wojna w Ukrainie, rosnące koszty życia, brak poczucia stabilizacji powodują, że empatia i chęć pomocy się wyczerpują.

– Widać to też we wsiach pogranicza i sąsiednich, które od wielu lat badam. Po pierwszym odruchu pomocy Ukraińcom, która pozwoliła tym społecznościom odzyskać sprawczość i wspólnie zrobić coś dobrego, przyszła fala problemów. Zaczęło się rozliczanie, kto na tej pomocy zarabia. Złośliwości typu, że ktoś oddał stary pokój uchodźczyniom, odkurzył go z pałeczyn, a teraz dostaje za to 40 złotych od głowy plus 500 złotych na dziecko. Pojawiały się pretensje, że jak ktoś pobiera dodatek

na uchodźców, to nie powinien chodzić do punktu zbiórki po darmową chemię gospodarczą albo ręczniki. No i zaczęło się rozliczanie samych uchodźczyń. Uwagi, że są roszczeniowe, bo nie chcą przyjąć pracy, która polega na przykład na kopaniu dołów i nasadzaniu drzew. Mam jednak wrażenie, że niechęć do uchodźców z Ukrainy jest trzymana w ryzach przez lokalne liderki i autorytety. Dzięki tej kontroli dominuje poczucie, że jest ciężko, ale jednak trzeba tym ludziom pomóc. Ta kontrola ma też taką zaletę, że kiedy na wierzch zaczęły wpływać różne informacje o nadużyciach i przemocy, społeczność od razu zainteresowała.

Co masz na myśli?

– W jednej wsi panie zajmujące się ewidencją osób, które zgłosiły się do przyjęcia uchodźczyń z Ukrainy, zorientowały się w pewnym momencie, że wśród chętnych sporo jest starych kawalerów i alkoholików. I od razu zapaliło się im czerwone światło co do ich motywacji. W innej wsi, po tym jak jeden z gospodarzy, który zaprosił do siebie Ukrainkę z dziećmi, oświadczył, że zaraz je „zagoni do roboty i do kościoła”, wysłano urzędniczkę, która troszczyła się o uchodźczynię, oraz komendanta, żeby delikatnie rozpoznali sytuację i dali pani znać, że jakby chciała zmienić miejsce, to we wsi jest wiele innych, dobrych rodzin, które chętnie ją przyjmą. Ostatecznie z tego skorzystała, bo okazało się, że gospodarz nie tylko zmusza ją i dzieci do odmawiania modlitwy na kolanach i ciągnie na msze w niedzielę, ale każe jej również gotować, sprzątać gospodarstwo i myć mu samochód.

Czy uchodźczynię z Ukrainy miały świadomość, co to za miejsce, co się dzieje na granicy z Białorusią?

– Od samego początku miały bardzo dobry wizerunek naszych służb, bo na przejściach polsko-ukraińskich spotykały pograniczników, którzy nosili dzieci na rękach, brali ich walizki, zwierzęta. Policja, zatrzymując busa, którym jechało 20 osób zamiast przepisowych dziewięciu, nie wlepiła mandatu. Na miejscu żołnierze i Straż Graniczna byli usłudni, pomogli organizować transport, który woził panie do miasta, do lekarza, na zakupy. O uchodźcach z polsko-białoruskiej granicy dowiadywały się od rodzin, które ich gościły, i te informacje były zwykłe albo obojętne, albo negatywne.

Jak reagowały na obecność wojska, latające wokół helikoptery, drony?

– Ukraińskie dzieci od pierwszego dnia miały reakcje posttraumatyczne. Pedagogiki szkolne opowiadały mi, że jak dzieci słyszą lecący helikopter, to chowają się pod stół albo ustawiają w korytarzu, bo nauczyły się, że jak jest atak bombowy, to trzeba stanąć w miejscu bez okien. Dzieci w żłobku ustawiały wszystkie misie pod stołem, jak w schronie. Jednak troska społeczności sprawiła, że te reakcje się z czasem wyciszyły i przynajmniej w pierwszych tygodniach nikt stamtąd nie wyjechał. Potem część pojechała za granicę, czasem za pracą, a czasem dlatego, że rodziny się odnawiały i reorganizowały swój pobyt w Polsce.

Powiedziałaś wcześniej o odwilży, że zima, a potem wojna i solidarna pomoc Ukraińcom sprawiły, że ludzie zaczęli cieplej mówić o uchodźcach z polsko-białoruskiej granicy.

– I w pewnym momencie to się zatrzymało.

Z jednej strony, jak wspomniałam, nasiliła się radykalizacja postaw antyuchodźczych, z drugiej – zaczęła narastać obojętność. Coraz mniej osób interesowało się sytuacją uchodźców na polsko-białoruskiej granicy, włącznie z lokalnymi urzędnikami. Wójt badanej przeze mnie gminy już w marcu oświadczył, że niewiele wie, więc nic mi nie powie. Jeszcze niedawno co dwa tygodnie spotykał się z dowódcami, robił z nimi odprawy, oni raportowali, jaka jest sytuacja

na granicy, ale przestali się spotykać, bo jak to określił: „znudziliśmy się sobą”. A w ogóle to „mieszkańcy się przyzwyczaili do uchodźców z polsko-białoruskiej granicy, tak jak przyzwyczaili się do pandemii. Pandemia jest, uchodźcy są, ale problemu nie ma”.

Czyli klasycznie – nastąpiła adaptacja.

– Dowiedziałam się też, że sytuacja na granicy interesuje już wyłącznie tych, którzy mieszkają przy samym murze, oraz rolników, którym budowlanci rozjechali pola i którzy domagają się odszkodowań.

Z każdym kolejnym miesiącem obojętność i odwracanie się od problemu tylko rosło, też dlatego, że mieszkańcy zaczęli się martwić o siebie. Większość uważała, że Putin dogada się z Łukaszenką i rajd na Europę rozpocznie od Podlasia. Dla miejscowych to był realny strach. Dla lokalnego biznesu, po pandemii i po strefie, wojna w Ukrainie to była kolejna tragedia. Właścicielki agroturystyki, którą Podlasie stoi, zwykle już w styczniu miały wszystkie miejsca do końca sezonu porezerwowane. W marcu nie było ani jednej rezerwacji. Jeśli dzwonili stali klienci, to z troską, czy gospodynie się pakują, albo z radą, żeby wyjechały, bo zaraz i tutaj będzie gorąco. W pewnym momencie nawet pro uchodźcze właścicielki agroturystyki stanęły przed dylematem: zamknąć interes, czy może jednak zaprosić do siebie służby albo budowniczych od muru? Wiele z nich podjęło tę drugą decyzję.

Ostatni raz byłaś tam w sierpniu.

– Latem troszkę turystów wróciło, ale niewiele. Mimo że województwo podlaskie za-inwestowało pół miliona w kampanię odzyskiwania pozytywnego wizerunku pod tytułem „Świat jak z baśni – Podlaskie Travel”. Spoty wyświetlano w telewizji publicznej, w PKP Intercity. Pokazywały Podlasie jako miejsce, gdzie można się zrelaksować, zwolnić tempo, spotkać z czystą naturą, z jej pięknem.

Tam, gdzie byłam, przyjechały grupki turystów, ale mocno okrojone. Ludzie, którzy się nie zdecydowali na przyjazd, tłumaczyli, że boją się uchodźców z polsko-białoruskiej granicy. Propaganda okazała się skuteczna. Efekt jej jest jeszcze taki, że miejscowi zamykają bramy, ryglują drzwi, liczą kury. Kobiety boją się gwałtów. Wiele z nich nie poszło w tym roku na grzyby. Żołnierze też zresztą boją się uchodźców. Chodzą uzbrojeni do sklepu, gotowi do walki.

Jakie nastroje są teraz? Mamy kolejną zimą, znów zbliżają się święta. Przejścia są właściwie codziennie. Aktywiści cały

czas pomagają w lesie, umierają kolejni ludzie. Do tej pory udokumentowano 27 śmierci.

– A ponad 180 osób uznano za zaginione. Jakiś czas temu rozmawiałam z osobą, która zajmuje się handlem obwoźnym, więc ma genialne rozpoznanie w nastrojach. Od niej wiem, że w miejscach, które badam, ludzie żyli ostatnio przede wszystkim kryzysem energetycznym. Starali się o dotację, organizowali tani opał, czasem lewy. W ramach akcji rządowej „chrust plus” chodzili po suche drewno do lasu. Policja z kolei kontrolowała ludzi na drogach, czy aby na pewno mają zezwolenie na wywożenie tego drewna.

Mieszkańcy pogranicza, pomagając Ukraińcom, chcieli odzyskać wewnętrzny spokój i dobry wizerunek, bo mieli świadomość, że ich społeczność ma czarny PR

Chętnych pomagać uchodźcom z granicy polsko-białoruskiej jest bardzo niewiele. Większość stanowią ci radykalni i ci obojętni. Choć przybyło też tych zawiedzionych.

Jaka to grupa?

– To są ci, którzy przyznają, że najpierw ulegli rządowej propagandzie, a potem zobaczyli, że jako państwo nie byliśmy w stanie pomóc 20-30 tysiącom uchodźcom z polsko-białoruskiej granicy, za to pomogliśmy kilku milionom uchodźców z Ukrainy. Czują się rozczarowani i są wkurzeni, że musieli oglądać ten cały spektakl przemocy i okrucieństwa przed swoimi oknami. Jedna z takich zawiedzionych mieszkanek powiedziała ostatnio, że do dziś jest wstrząśnięta tym, jak stojąca tuż obok niej pograniczniczka opowiadała komuś przez telefon, jak to z kolegami „wytarzali ciapatego twarzą w błocie”. Przeraziła ją ta brutalność i satysfakcja, z jaką strażniczka o tym opowiadała.

Jak myślisz, co będzie dalej z tymi społecznościami, które zostały tak dotknięte przez ten kryzys, a właściwie przez to, jak został rozegrany?

– Myślę, że te konflikty będą się coraz bardziej piętrzyć.

Szansa na odbudowanie wizerunku i naruszonych więzi przez pomoc uchodźcom

z Ukrainy skończyła się kacem, bo w końcu pojawiły się antyukraińskie napięcia na tle socjalnym, a poza tym część Ukraińek wyjechała. Lokalni mieszkańcy mają teraz u siebie uchodźców z dwóch granic: jednych w lesie bądź w szopie, drugich oficjalnie w domu. Do tego doszła nieufność, kto może być „kacapem”, czyli kto jest prorosyjski, a kto nie. I to jest bardzo trudny i bolesny wątek, w szczególności dla lokalnych mniejszości. Każdy temat, czy to są uchodźcy z polsko-białoruskiej granicy, czy ci z granicy polsko-ukraińskiej, czy pogranicznicy, wiąże się z ryzykiem, że spotka się kogoś, kto ma odmienne zdanie i kto zerwie kontakt. A te małe społeczności oparte są na gęstych relacjach, zależą od wzajemnej pomocy. Ludzie dają sobie pracę, są od siebie zależni w urzędach, w szkole, w sklepie. W tej chwili stąpa się tam jak po porcelanie. Pojawiło się dużo wzajemnej nieufności. I to jest największa strata dla ważnych tam dla przetrwania więzi.

Ten brak zaufania?

– Tak. Bo erozja więzi uderza w tradycyjne formy pomocy i troski. Do tego odpłynęli turyści, którzy zasilali lokalny biznes, głównie agroturystykę, ale też sklepy. W jednej ze wsi przez kryzys humanitarny i strefę zwinął się jedyny w okolicy spożywczy. Dla miejscowych, w większości starszych wdów, to cios.

Sytuacja na granicy polsko-białoruskiej się nie zmieni. Powinniśmy się przyzwyczaić do tego, że w tym miejscu powstał nowy szlak uchodźczy. Problem w tym, że coraz mniej osób jest chętnych, żeby pomagać, coraz mniej jest też aktywistów. Co prawda ci, którzy zostali, mają większą wiedzę, są bardziej wyspecjalizowani, organizują się. Powstało stowarzyszenie Egala czy Podlaskie Ochotnicze Pogotowie Humanitarne, ale brakuje pomocy finansowej. Ludzie zmagający się z inflacją, ale też pomagający uchodźcom z Ukrainy jeszcze mniej chętnie wpłacają datki na wsparcie dla uchodźców z granicy polsko-białoruskiej.

Ten temat zawsze był tematem marginalnym, a teraz już praktycznie zniknął z mediów głównego nurtu. Wiele osób jednak przyjęło narrację, że to migranci finansowi, „cwaniacy”. Słychać też głosy: „no całego świata się nie uratuje”.

– Moim zdaniem zarówno rasizm, jak i obojętność będą narastać. Kryzys zbożowy i głód, który już mocno dotknął Afrykę, ale też kryzys klimatyczny powodują jeszcze większe migracje uchodźcze, również na tym nowym szlaku. Pytanie, jak to będzie dalej współlistniało z polityką naszego rządu. Z wojną w Ukrainie? Po tym, co się

wydarzyło na tych terenach, dobrze widać, jak ogromne znaczenie mają działania polityków. Jakie zamieszanie i spustoszenie może siać propaganda.

Co powinno się stać, żeby odwrócić to spustoszenie albo chociaż zatrzymać ten proces?

– Przede wszystkim powinno zostać przywrócone przestrzeganie prawa – wszystkich konwencji uchodźczych, azylowych. Bo tylko to ma szansę odbudować względną normalność. Mówię „względną”, bo te społeczności zostały mimowolnie wciążnięte w traumę, którą nikt się potem nie zajął. Zarówno mieszkańcy, jak i osoby funkcjonujące w służbach, bo one i ich rodziny będą się musiały mierzyć ze stygmatem sprawców przemocy. Do tego mamy przemęczonych, wypalonych, strauumatyzowanych aktywistów, którzy zostali zostawieni przez państwo, ale też przez duże organizacje pomocowe i media. To są często te same osoby, które wcześniej organizowały strajki kobiet, a potem pomagały uchodźcom z Ukrainy, jednocześnie walcząc o utrzymanie siebie, swoich rodzin, dzieci. Aktywiści mają żal, że tak niewiele organizacji starało się o wjazd do strefy, a na pewno nie duże organizacje humanitarne, stacje telewizyjne czy gazety. Można było to zrobić, jednak czegoś zabrakło.

Wygląda na to, że to pogranicze zostało poświęcone.

– Na pewno z czasem zubożniało. Z jednej strony przyczynił się do tego rząd, a z drugiej? Gdzie jest nasze społeczeństwo obywatelskie? – pytają dziś aktywiści. ●



* Sylwia Urbańska

• doktorka, badaczka społeczna na Wydziale Socjologii UW, autorka tekstów o przemianach życia rodzinnego w migracjach i w społecznościach wiejskich, w tym książki „Matka Polka na odległość”. Współautorka cyklu reportaży socjologicznych z polsko-białoruskiej granicy publikowanych w Krytyce Politycznej (wraz z Przemysławem Sadurą). Kolejny odcinek reportażu od dziś na stronie „KP”

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Halo? Czemu nie śpisz?

Janusz Rudnicki

Pochowałam parę dni temu matkę, proszę pana. Ostatnie jej słowa do mnie były: „A ty? A ty czemu nie śpisz?”. Przez cały rok wstawalam do niej co godzinę, co godzinę to jej „Halo!” i „Halo!”, nigdy nie wołała mnie po imieniu, tylko to „Halo!”. Noc w noc, co godzinę albo pić, albo na drugi bok przewrócić, albo pieluchę zmienić. W dzień też, kilka razy myślałam już o poduszce, wziąć i ją udusić. Człowiek coś pomyśli, a potem się tego wstydzi.

Dziecka już mieć nie mogę, ale mam, nigdy nie myślałam, że będę miała córkę, którą będzie moja matka. Naprzód ją byłam jej małą córeczką, teraz ona moją, sprawiedliwość dziejowa rodu ludzkiego. Kobiecego znaczy, bo przecież mężczyźni to co tam, mężczyzn przy chorobach i umieraniu nie ma, to ich nie dotyczy.

No więc te jej ostatnie słowa, znowu „Halo!” i znowu wstaję, z mojego pokoju parę metrów, ale miałam dość, z nogą miałam problem, uderzyłam się, napuchła mi, ciężko mi było chodzić, doszłam do niej i krzyknęłam ze złości: „Mamo! Czemu ty nie śpisz?!”. A ona popatrzyła na mnie i zapytała: „A ty? A ty czemu nie śpisz?”. Powłokłam się do łóżka i posłusznie zasnęłam, ale rano, jak sobie przypomniałam, to śmiałam się przez cały dzień.

Trudno się mi przyzwyczaić, proszę pana, do mieszkania bez „halo”. Cisza w domu jak makiem zasiał. I ten jej wózek pusty w rogu. Czasami przenosiłam ją z łóżka na wózek i wychodziłyśmy, pchałam ją przez całą wieś i okolice. Raz podeszłyśmy aż pod PGR, pod jego zgłiszcz, ucieszyła się, pracowała w nim, krowy doila, wstawiała codziennie o czwartej rano. I pyta mnie, a ty pamiętasz, jak kiedyś do mnie tu przyleciałaś? Z krwią?

I wtedy mi się przypomniało, miałam dwanaście lat, chciałam iść do szkoły, a tu krew, spomiędzy nóg, wie pan. I tak się przestraszyłam, że zamiast na lekcje polecałam do niej i krzyczałam: „Mamo, mamo, krew!”. I te wszystkie kobiety, dojarki, zaczęły się śmiać, ona też, a potem mnie uspokajała. A teraz w tym samym miejscu sama już stara pcham matkę na wózek inwalidzkim i taka sama z nas ruina jak z tej stajni. Aż nie chce się wierzyć, że to wszystko w jednym i tym samym życiu. I wie pan, co mama potem zrobiła? Tym mlekiem prosto od krowy, z wiadra, te nogi mi wymyśla, czerwone mi wymyśla białym. ●

Węzeł gordyjski KUL-u

To prawda: endeckie demony grasują dziś na KUL-u i zawsze były tu obecne.

Ale to nie jest jedyne oblicze tej uczelni

Wierzbicki*

Paweł Smoleński artykułem na temat KUL-u („Katolicki Uniwersytet Lizusostwa”, „Wolna Sobota”, 19 listopada 2022) włożył kij w mrowisko. Chwałebnej legendzie „wyspy wolności”, „od Berlina do Seulu filozofia tylko na KUL-u”, uczelni, która wydała papieża, przeciwstawiona została ciemna legenda prowincjonalnej, ksenofobicznej, antysemickiej, wstecznej i pazernej szkółki.

Chodzi o to, że obydwie narracje odpowiadają rzeczywistości dopiero wtedy, gdy ukazują się je razem. Na KUL-u dawniej i całkiem niedawno były obecne i ścierały się różne nurty katolicyzmu, a forsowanie jego endeckiej i integralistycznej postaci – co ma miejsce obecnie – jest wyraźnym zerwaniem z tradycją tego uniwersytetu. Trafnie zwracają na to uwagę Wojciech Samoliński i Paweł Matyaszewski w komentarzach do artykułu Smoleńskiego.

Podtrzymuję moje krytyczne opinie, przytoczone w tym artykule, zabieram głos nie po to, by je korygować, lecz by pogłębić ich kontekst. Bez niego trudno zrozumieć intelektualną i moralną degradację uniwersytetu, który mnie ukształtował, do którego rozwoju na miarę swych możliwości starałem się wносить otwartość i krytycyzm w ciągu 30 lat pracy. W tekście Smoleńskiego jest kilka nieścisłości, a nawet drobnych błędów, w rzeczy samej nie o szczegóły chodzi, lecz o to, czym naprawdę był KUL, czym się staje, wreszcie, czy jest to proces nieuchronny i nieodwracalny?

Razi mnie sam tytuł „Katolicki Uniwersytet Lizusowski”. Gdyby dokonywać bilansu 100-lecia, to w lubelskiej uczelni było więcej twórczości i oporu aniżeli uległości. Zresztą, czy był w PRL-u instytucje nieuległe? Jakiś stopień kolaboracji z komunistycznym państwem był konieczny, aby KUL mógł przetrwać. Izolacja, ograniczanie działalności, a nawet groźba likwidacji towarzyszyła mu przez cały okres władzy ludowej. Nie o samą uległość chodzi, lecz o jej stopień i granice.

Nie można utożsamiać uległości Mieczysława Krąpca i uległości Mirosława Kalinowskiego. Rektor z lat 70. liczył się z siłą komunistycznego państwa i podejmował z nim „dialog” – chętnie czy niechętnie, to materia dla badań historyków – aby zapewnić warunki do alternatywnej dla komunizmu kultury chrześcijańskiej. Rektor Kalinowski godzi się na uczynienie z KUL-u przez ministra Czarnka poligonu wymiany elit. Jest to działanie bardziej podejrzane i szkodliwe dla przyszłości Polski, a przede wszystkim dla losów Kościoła katolickiego w pluralistycznym, coraz gwałtowniej laicyzującym się społeczeństwie.

Na KUL-u spotkałem się z katolicyzmem otwartym, piszę o tym w opublikowanej niedawno częściowo autobiograficznej książce „Między innymi o radości” (Gaudium, Lublin 2022). Studiowałem teologię i filozofię, wiele zawdzięczam również mistrzom humanistyki. Zapytam po Herbertowsku – kim byłbym, gdybym nie spotkał ks. Mieczysława Brzozowskie-

go, ks. Adama Ludwika Szafrąńskiego, Adama Stanowskiego, Jerzego Kłoczowskiego, Ewy i Czesława Deptułów, Ireny Sławińskiej, Czesława Zgorzelskiego, Stefana Sawickiego, Leszka Mądzika, ks. Zdzisława Chlewińskiego, ks. Janusza Marianańskiego, ks. Tadeusza Stycznia, ks. Andrzeja Szostka, Marii i Jerzego Galkowskich, ks. Andrzeja Bronka, Wojciecha Chudego, Elżbiety Wolickiej-Wolszleger, Romualda Jakuba Wekslera-Waszkina? Uczylem się od nich myśleć szeroko, docieklawie i krytycznie, życzliwie dla każdego poglądu, z bezwzględnym, lecz nie fanatycznym, szacunkiem dla prawdy.

Już w liceum docierała do mnie sława Krąpca, ale zrazilem się do niego po pierwszych wykładach. Większość filozofów to jelopy, a prawda tylko u św. Tomasza z Akwinu, którego najlepiej miał zrozumieć sam Krąpiec. Ale nawet z nim można było czasem dyskutować, choć wołał, aby go słuchano. Było wesoło na jego zajęciach, bo opowiadał rubaszne anegdoty i pikantne dowcipy. Koncepcję filozofii miał spójną i jasno artykułowaną. Szkoda, że w późniejszych latach więcej uwagi poświęcał Feliksowi Konecznemu niż św. Tomaszowi. Wtedy stał się ideologiem Radia Maryja.

Choć wykłady Krąpca były obojętne, nikt nie musiał stawać się krąpcystą czy – jak zwykł mówić Stanisław Majdański – „krąpcoidą”. To prawda, że było ich wielu, ale filozofia na KUL-u to nie tylko Krąpiec i jego uczniowie. Prócz tomistycznej metafizyki można było się zetknąć z innymi nurtami filozofii.

Logicy nawiązywali do szkoły lwowsko-warszawskiej, interesowali się współczesną filozofią analityczną. Etycy od Wojtyły rozwijali etykę personalistyczną, rewidującą założenia etyki arystotelesowsko-tomistycznej. Krąpiec oskarżał Tadeusza Stycznia o kanityzm. Ich spór o podstawy etyki angażował całe środowisko, bodaj kilkunastu autorów opublikowało swe głosy w tej dyskusji. Trwała ona dobre dwie dekady.

Według Smoleńskiego nikt na KUL-u nie słyszał o Ingardenie. Pu-dło! Akurat myśl Ingardena była u nas kultywowana z wyjątkową intensywnością. W latach 50. i 60. przyjeżdżał wielokrotnie z wykładami gościnnymi. W trakcie studiów chodziłem na wykład Antoniego Śtepnia o filozofii Ingardena. Co więcej, wśród obowiązkowych lektur były zawsze książki Ingardena. Było żywe zainteresowanie całym nurtem fenomenologii, odmiennym, lecz bliskim filozofii klasycznej. Powstawały prace magisterskie o Husserlu, Schelerze, von Hildebrandzie i oczywiście o Ingardenie.

W moich latach studenckich uderzała rzetelność i pasja, z jaką profesorowie i studenci zajmowali się filozofią. Czytaliśmy chyba więcej niż w innych ośrodkach. Dziś publikacje zagraniczne są łatwo dostępne, ale w latach 60. czy 70. studenci innych uczelni z trudem mogli po nie sięgać w swych uczelnianych bibliotekach. Inaczej było na KUL-u, istniała tu dobrze wyposażona biblioteka. Może także po to Krąpiec musiał się zadowalać z komuchami, aby dyrektor biblioteki Andrzej Paluchowski skrzę-

nie gromadził zagraniczną literaturę fachową oraz polskie piśmiennictwo emigracyjne...

Te bardziej trefne książki znajdowały się w prohibitch. Tak było oficjalnie, ale można było z nich korzystać. Nie kto inny, ale właśnie Krąpiec w 1983 roku polecił mi jako studentowi przeczytać „Obecność mitu” Leszka Kołakowskiego i dał upoważnienie dla pracowników biblioteki, aby wypożyczyli mi książkę wydaną przez paryską „Kulturę”. Dyskutowaliśmy o niej na seminarium. Owszem sam profesor zachowywał się jak guru, ustawiał Kołakowskiego jak chłopca do bicia, ale kazał nam go czytać. Na takim seminarium nie dało się nudzić.

Według Smoleńskiego Krąpiec miał zatrudnić Stefana Swieżawskiego, było akurat odwrotnie, to Swieżawski w latach 50. ściągnął na KUL Krąpca, a potem Wojtyłę z myślą o tworzeniu szkoły filozoficznej. Byli inni, czerpali z innych źródeł i dlatego mogli się intelektualnie dopełniać. Niestety, potem, gdy Krąpiec rósł już w siłę, najpierw jako dziekan, a potem rektor, marginalizował, a czasami eliminował ludzi, którzy nie chcieli uprawiać filozofii na jego modłę.

Mimo wszystko filozofia broniła się przed imperializmem jednej szkoły i do dzisiaj filozoficzne środowisko kulowskie jest pluralistyczne, współpra-

Abp Józef Życiński o Radiu Maryja miał odwagę powiedzieć, że „katolicki głos w twoim domu ma tyle samo wspólnego z katolicyzmem, co »Trybuna Ludu« z ludem”

cuje z wieloma ośrodkami w kraju i za granicą. To tylko epigoni Krąpca głoszą, że są oni „lubelską szkołą filozoficzną”, faktycznie rozwinęło się kilka „szkół”. Piszę o filozofii, bo przez lata należałem do tego kręgu, ale podobnie jest na innych kierunkach. Jest to normalne na uniwersytecie, że toczą się dyskusje, podejmuje się problemy, które tylko dzięki badaniom i otwartej debacie można próbować rozwiązywać.

Potencjał „katolicyzmu otwartego” próbował rozbudzić na KUL-u abp Józef Życiński, pełniąc funkcję wielkiego kanclerza w latach 1997–2011. Nie przywiózł przecież z Krakowa jakiegoś intelektualnego desantu, lecz zastał na KUL-u ludzi, którzy oddziaływali swą myślą już wcześniej na przemiany posoborowego katolicyzmu w Polsce. Spora grupa kulowców już od lat 40. zasilala ideowo „Tygodnik Powszechny”, „Znak” i „Więź”. Wystarczy przejrzeć dawne numery tych pism, aby zauważyć, jak wielu pracowników KUL-u ogłaszało w nich swe artykuły, rozmawiając w ten sposób ze społeczeństwem.

Niestety, w latach 90. nastąpił akces znacznej części profesorów z KUL-u do mediów o. Rydyzka. Życiński nie miał wątpliwości, że jest to ze szkodą dla katolicyzmu. O Radiu Maryja miał odwagę powiedzieć, że „katolicki głos w twoim domu ma tyle samo wspólnego z katolicyzmem co »Trybuna Ludu« z ludem”. Życińskiego dziś ledwie się

wspomina, jakby był w Lublinie biskupem jakieś 100 lat temu.

Odszedłem z KUL-u, ponieważ zdałem sobie sprawę, że na uniwersytecie kierowanym przez Kalinowskiego i Sitarza nie ma już wolności akademickiej. Wprawdzie uniewinniono mnie w postępowaniu dyscyplinarnym, ale sam fakt, że wszczęto je ze względu na moją krytykę dokumentu Episkopatu w sprawie LGBT bez jakiegokolwiek dyskusji ze mną, pokazuje, że debatę naukową zastępują represje. Chyba nawet nie chodziło o to, żeby mnie ukarać, lecz przestraszyć. Odszedłem, bo chcę mieć swobodę wypowiedzi, a tej KUL mi już nie zapewnia.

W artykule Smoleńskiego nie znajduję krzty nieprawdy na temat endeckich demonów grasujących dziś na KUL-u. Ma także rację, twierdząc, że zawsze były one obecne, natomiast nie można się zgodzić z tezą, że jest to jedyne oblicze KUL-u. Staram się ten tekst czytać życzliwie, nie jest on żadną napaścią na dobre imię lubelskiej uczelni, powinien zainicjować debatę.

Wydaje się ona na razie niemożliwa. Władze uczelni jej nie chcą, zbyt wiele by jej kosztowała. Pracownicy naukowi chyba się boją. Ktoś rozpowiada, że rektor planuje zwolnienia i wykorzysta do tego ewaluację. Atmosfera na KUL-u naprawdę gęstnieje. Rozumiem tych, którzy oburzyli się na artykuł w „Wyborczej”. Mają przecież inne

doświadczenie KUL-u, nie muszą mieć zaufania do mediów, a zwłaszcza liberalnych. Na KUL-u wpajano mi, że należy przyjmować każdą prawdę, niezależnie od tego, kto ją głosi.

Im wcześniej dojdzie do publicznej debaty na temat KUL-u, tym większe szanse na jej efektywność. Nielatwo bowiem rozwiązać węzeł gordyjski trzech kryzysów, które w ostatniej dekadzie trapią KUL. Jest to kryzys uniwersytetu, z którym nie poradziła sobie reforma Gowina, a raczej jeszcze go pogłębiła. Ponadto kryzys polityczny w Polsce promujący autorytaryzm. A do tego kryzys Kościoła zagubionego wobec wyzwań współczesności, co ma istotne znaczenie dla rozumienia zadań uniwersytetu katolickiego. ●



***Ks. prof. Alfred Wierzbicki,** teolog, etyk, przez 30 lat związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, z którego odszedł w październiku. W tej chwili jest wykładowcą na Wydziale Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Adam Michnik poleca „Dziady i dybuki” Jarosława Kurskiego

Wolni od chronicznej nieufności

Najbardziej patriotyczna polska książka, jaką ostatnio czytałem

Mentzel*

1.

Bywają w życiu każdego z nas chwile przełomowe, momenty zwrotne, kiedy w oślepiającej jasności stajemy sam na sam z Losem, Przeznaczeniem. Momenty te, bardzo na ogół dramatyczne, związane są zazwyczaj z naszą najbliższą rodziną – z matką, z ojcem.

Pamiętam, jak podczas długich rozmów, jakie prowadziłem z Leszkiem Kołakowskim, Profesor wracał do sprawy bardzo go poruszającej, sprawy przeżyć dziecka, które nagle dowiaduje się, że rodzice, których kocha, nie są jego rodzicami prawdziwymi, bo tamci – prawdziwi – porzucili je, odeszli. Czy ich kiedykolwiek spotka i dowie się: DLACZEGO? Być może nigdy. Jak ma więc dalej żyć? Jak zrozumieć? Jak wybaczyć?

Bywają w życiu każdego z nas bolesne rodzinne tajemnice, których nie daje się wyjaśnić, których wyjaśniać czasami nawet już nie chcemy i zabieramy je ze sobą do grobu. Ale bywają również takie, które zrozumieć próbujemy, co nam niekiedy się udaje i przynosi OCZYSZCZENIE, nazywane w tragedii greckiej katharsis. Tajemnice te rodzą zwykle konflikty dwóch wartości: dobra i prawdy, prawdy i miłości. Czy można, ukrywając prawdę dla czyjegoś dobra, być może błędnie rozumianego, żyć w godności?

Oto problem – problem moralny, mający, oczywiście, także wymiar polityczny – który skupia uwagę przy lekturze książki Jarosława Kurskiego „Dziady i dybuki. Opowieść dygresyjna”.

2.

Autor opowiada o swojej historii rodzinnej. Historii, której długo opowiedzieć nie mógł. Dlaczego, dowiadujemy się od razu. W lutym 1991 r. Jarosław Kurski kończył pisać książkę „Wódz” o Lechu Wałęsie, którego rzecznikiem prasowym był do lipca roku poprzedniego (podał się wtedy do dymisji, nie akceptując wyborów politycznych szefa). Maszynopis dał do przeczytania matce. W środku nocy obudziło go walenie do drzwi.

Matka „bez słowa wpadła do pokoju z maszynopisem pod pachą. Nie rozpięła nawet zimowego płaszcza. Zamaszyście odwróciła jedyne krzesło zza biurka. Siadła. Była jak skała.

– Ja stąd nie wyjdę! Ja stąd nie wyjdę – powtórzyła – dopóki mi nie przysięgniesz, tak, przy-się-gniesz – wycedziła – że to wykreślisz.

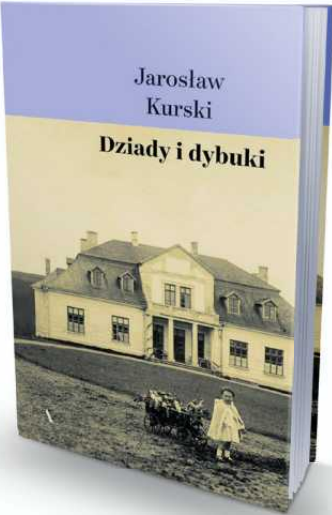
– Co, na Boga, mam wykreślić? – mamrotałem niewybudzony.

– To! – wskazała zdanie: »mojej mamie ludzie mówili, i sam tak zresztą, Lechu, uważałeś, że jest Żydówką...«.

(...)
W 27. roku życia, sam już będąc ojcem, zdałem sobie sprawę, że niewiele wiem o swojej matce. Albo raczej, że to, co wiem, to tylko część wygodnej dla niej prawdy, która miała osłonić prawdę niechcianą, godną tylko wyparcia i zapomnienia. To znaczy, że prawda – jeśli w ogóle istnieje – jest inna niż ta, w której wyrastałem. A zatem żyłem w zapro-

jektowanym przez mamę kostiumowym teatrze, w repozytorium pełnym patriotycznych artefaktów, legend i przemilczeń, jak to w teatrze. W KŁAMSTWIE Z MIŁOŚCI [podkreślenie Z.M.]. Żeby oszczędzić sobie, mnie i moim dzieciom strachu i upokorzeń. By nie spotkało nas to, co spotykało ją, jej siostrę, ich matkę, dziadków, pradiadków”.

Ostatecznie matka wymogła na synu obietnicę, że zdanie, które ją tak



„Ja stąd nie wyjdę, dopóki mi nie przysięgniesz, że to wykreślisz!”. „Co mam wykreślić?”. „To zdanie, że ludzie mówili i sam Wałęsa uważał, że jestem Żydówką”

wzburzyło, z książki o Wałęsie usunie, a jeżeli zechce opowiedzieć prawdziwą historię rodzinną, zrobi to dopiero po jej śmierci. Syn obietnicy dotrzymał. Matka Jarosława Kurskiego umarła sześć lat temu.

3.

Czytając „Dziady i dybuki”, myślałem nieraz o „Umarłej klasie”, arcydziele Tadeusza Kantora. Podczas „teatralnych seansów” artysta ten wywoływał duchy naszych rodaków, naszych dalekich i bliższych przodków, którzy jako staruszkowie idą znowu do szkoły, próbując powrócić do świata młodości, świata żydowskich miasteczek, dworów, CK Galicji, aptek, sklepów, cukierni – świata zamkniętego wiekiem trumny. Pisał:

„Uczniowie, staruszkowie nad grobem i ci nieobecni podnoszą palce w powszechnie wiadomym geście i tak trwają... jakby o coś prosili, o coś ostatecznego...”.

Podobnie jak Kantor swojej teatralnej publiczności, także Jarosław Kurski czytelnikom swojej książki w imieniu OBECNYCH otwiera szeroką duchową przestrzeń, gdzie możemy spotkać naszych zmarłych i z nimi rozmawiać.

Widma przodków autor „Dziadów i dybuków” wywołuje gromadnie: to nie tylko jego rodzice, dziadkowie, pradiadkowie, to także wujowie, ciotki, kuzyni – to kilka pokoleń, w których, jak podkreśla, „rozdzierające po-

działy w łonie rodzeństwa mają długą tradycję”.

Trafnie zauważył Marian Turski, że koligacje rodzinne Jarosława Kurskiego są „niesamowite, zda się nieprawdopodobne!”, że na kartach jego książki spotykają się postacie skomplikowane, „wzorcowo wydobyte z wizerunku Polski jagiellońskiej”.

Książka dowodzi, jak bogata, bujna, różnorodna jest nasza społeczna wspólnota. Świadectwem tego bogactwa są nie tylko opisy peregrinacji autora śladami przodków, opisy ruin ich odnajdowanych domów i grobowców, opisy ekshumacji i powtórnych pochówków. Wymownym świadectwem naszej społecznej różnorodności są również ilustracje, głównie reprodukcje świetnie zachowanych fotografii z rodzinnych albumów. Po tej frapującej galerii nie zamierzam, oczywiście, nikogo tutaj oprowadzać. Niech każdy podąży za autorem.

4.

Ja wracam natomiast do sprawy rodzinnych sekretów i moralnego dylematu, jaki rodzą. Powracam do konfliktu dobra i prawdy, prawdy i miłości. Znakomity socjolog Aleksander Hertz, który za swoje opus magnum

jako „słuszność” i „sprawiedliwość”) żadnych wątpliwości nie mają, książka Jarosława Kurskiego będzie, zapewne, kłamliwa. Wbrew obiektywnej wymowie, wbrew czytelnym intencjom autora (to najbardziej patriotyczna polska książka, jaką ostatnio czytałem) już sam jej początek, który wskazuje na to, że matka Kurskich ukrywa z miłości do nich prawdę, aby chronić synów przed panującym w Polsce antysemityzmem, uznany zostanie za „dezawuowanie polskości przez pedagogikę wstydu”.

Czołowy publicysta prawicy Bronisław Wildstein napisał niedawno, że właściwą odpowiedzią na pedagogikę wstydu „nie jest przedstawienie naszego narodu jako wspólnoty aniołów i bajeczki o milionach rodaków, którzy za cenę życia ratowali Żydów”. Skoro jednak – ciągnął wywód – „chyba najbardziej bezstronny znawca tego zagadnienia, prof. Grzegorz Berendt, wylicza ich na kilkadziesiąt tysięcy, biorąc pod uwagę warunki, nie ma się czego wstydzić”. Odpowiedzią na pedagogikę wstydu – konkludował – „nie jest apologetyka, ale prawda. To ona nas wyzwoli”.

Czy Wildstein zdaje sobie sprawę, że „prawda” w jego tekście jest prawdą buchalteryjną, z którą musi się liczyć zawodowy historyk, polityk natomiast może ją wykorzystywać w interesie swojej „sprawiedliwej” (jakżeby inaczej) partii i części narodu utożsamianej z narodem całym? Czy nie warto pomyśleć o „prawdzie” autorów książek opisujących PRZYPADKI POSZCZEGÓLNE, np. losy konkretnych Polaków żydowskiego pochodzenia i ich rodzin, wszystkie ich krzywdy, lęki, upokorzenia, konwersje – nie w tym celu, aby je fałszywie uogólniać i „dezawuować polskości”, ale po to, by wpłynąć na świadomość Polaków obojętnych, niezdolnych do współczucia OBCYM?

5.

Czesław Miłosz, wspominając Aleksandra Hertz, zauważył, że był on z usposobienia optymistą, człowiekiem pełnym pogody ducha, potrzebującym entuzjazmu. Takie właściwości jego charakteru graniczyły dla Miłosza z naiwnością, dlatego pytał, czy gdyby Hertz na początku wojny nie wyjechał do Nowego Jorku, „daleko od miejsc, na których otworzyła się otchłań, abyssos”, gdyby był jednym z nielicznych ocalonych w Polsce, gdyby osobiście doświadczył tam powojennego antysemityzmu – czy i wtedy o trudnych relacjach polsko-żydowskich umiałby pisać tak obiektywnie i spokojnie, jak pisał.

W „Dziadach i dybukach” Jarosław Kurski dotyka tego, co w owych relacjach było ciemne, najciemniejsze, a przecież książka mimo wszystko ma ton jasny, optymistyczny.

Powracając do rozmowy z matką, dramatycznej rozmowy, od której książkę zaczyna, przypominając słowa, jakie wtedy usłyszał: „Ty nie wiesz, o czym mówisz. Ty nie wiesz, co robisz. Nie przeżyłeś. Nie widziałeś. Ty nie wiesz, jaki w Polsce jest antysemityzm”, autor przyznaje matce rację: „Nie wiedziałem, o czym mówię.

Tusk umie pokroić tort

Gdy lewica wchodzi na temat Kościoła, zamiast rozmowy pojawia się wrzask i płucie.

Magdalena Czyż

Przeglądając konserwatywną prasę konfesyjną w poszukiwaniu reakcji na głośną deklarację apostazji Dawida Podsiadły, trafiłam na zaskakująco autokrytyczny tekst Aleksandra Bańki z „Gościa Niedzielnego”:

„każdej potencjalnej rozmowie z apostatą (...) z pewnością pomogłoby zrozumienie, dlaczego wszyscy znajdujemy się w takim momencie Kościoła i dlaczego właśnie dziś decyzję o apostazji podejmują ci, którzy przez lata jakoś w nim trwali – nawet jeśli w sposób wyłącznie formalny. Im bardziej próbuję ten moment zrozumieć, tym bardziej staje się dla mnie jasne, że to nie pojedyncze »wybryki« celebrytów, ale pewna konieczność wpisana w proces przeobrażeń zachodzących w tkance polskiego Kościoła. Innymi słowy, w najbliższych latach ludzie (zwłaszcza młodzi) z Kościoła nad Wisłą będą odchodzić (...). I nieistotne, czy to moda, czy emocjonalny impuls chwili, czy przemyślana decyzja. Ważne, że niestety sami ich do tego w Kościele w pewnym sensie przygotowaliśmy. Żeśmy ich do apostazji »wychowali«”.

Tak ostre konstatacje nie trafiają się często na łamach tego pisma. Dalej Bańka analizuje stosunek dzisiejszych katolików do sakramentów i dochodzi do wniosku:

„Czy to zwiastun końca katolicyzmu w Polsce? Żadną miarą, choć z pewnością zwiastun końca pewnej jego epoki. (...) Proces odchodzenia z Kościoła części wiernych (...), krystalizacja w nim pewnych postaw, otwarte krytyczne nazywanie błędów i nadużyć, kurczenie się parafialnych wspólnot, osłabienie autorytetu hierarchii to tylko jedna strona procesu transformacji Kościoła. Druga to większa świadomość religijna i dojrzała wiara tych, którzy w Kościele pozostają, ich głębsza integracja i ściślejsze relacje międzyosobowe, wzrost poczucia podmiotowości i sprawczości u świeckich, rosną-

ca rola małych wspólnot nastawionych na ewangelizację, a także bardziej zindywidualizowane duszpasterstwo. (...) Wierzę w to, bo zgadzam się z papieżem Franciszkiem, który zauważył niedawno, że Kościół w Polsce jest na dobrej drodze oczyszczenia”.

Dlaczego tak obficie „Gościa Niedzielnego” przytaczam? Otóż dlatego, że od jakiegoś czasu po stronie konserwatywnej (nie mylić z pisowską, bo pisowską uważam za quasi-konserwatywną) obserwuję autentyczną próbę zrozumienia zachodzących w Polsce procesów społeczno-obyczajowych. Bardzo żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o stronie progresywnej. Gdy lewica wchodzi na temat Kościoła, zamiast rozmowy pojawia się wrzask i płucie.

Temat apostazji wywołany przez Dawida Podsiadłę jest już trzecim w ostatnim czasie tematem, którym lewica zupełnie zaprzepaszcza swoją szansę nie tyle na przejęcie narracji o Kościele, ile na zbudowanie jej na nowo. Pierwszy to Franciszek i jego błędy polityczne, drugi to zupełnie położony temat oceny pontyfikatu JPII w świetle nowych o nim faktów.

Co niedziela do kościołów w Polsce przychodzi około 40 proc. społeczeństwa. To oznacza, że dla około 10 milionów Polaków Kościół jest ważnym albo bardzo ważnym elementem ich życia.

To jest 10 milionów kart wyborczych!

Z przyjemnością patrzę na Donalda Tuska, na finezję, z jaką na każdym spotkaniu wyborczym ten dziesięciomilionowy polityczny tort sobie kroi i z jaką gracją odkłada kawałek po kawałku na swój talerzyk.

A co w tym czasie robi lewica? Wrzeszczy i pluje! I dziwi się, że ledwo przechodzi (albo i nie) nad progiem wyborczym. Polska lewica od ponad ćwierćwiecza odnotowuje najgorsze wyniki ze wszystkich europejskich partii lewicowych. I nie wyciąga żadnych wniosków.

A nie, przepraszam, jeden wyciąga: jak ktoś im powie, że głupio robią, to szybko dedukują, że ich protekcyjnie traktuje. I tak w kółko. ●

Nie wiedziałem, co robię. Nie przeżyłem. Nie widziałem. Nie miałem pojęcia”.

W roku 1968, roku zarazy antysemickiej, wielu Polaków pochodzenia żydowskiego dowiedziało się, że na taką jak Polska ojczyznę nie zasługuje, że na polskiej ziemi są obcy, niepotrzebni, zbędni.

Wolno postawić pytanie, czy gdyby Jarosław Kurski w roku 1968 miał nie 5, tylko 25 lat, gdyby świadomie przekonał się wtedy, co o takich jak on myślą nie tylko rządzący wtedy Polską komuniści, ale też część rządzonych, część polskiego społeczeństwa (jak duża, trudno oszacować, zgoda), czy i wtedy potrafiłby napisać książkę całkowicie pozbawioną nieuleczalnego pesymizmu.

Na pytanie to, rzecz jasna, nie znam odpowiedzi, nie mam prawa jej udzielić. Mogę jedynie wyrazić swoje przypuszczenie, że, owszem, potrafiłby, jak najbardziej.

Dlaczego tak przypuszczam? Już wyjaśniam: na każdej stronie „Dziadów i dybuków”, w sposobie obrazowania ludzi i rzeczy wyczuwalna jest radość, jaką przeżywanie świata dawać może człowiekowi wolnemu od chronicznej nieufności, podejrzliwości, od trudnej do zaspokojenia potrzeby ciągłego wyszukiwania, stwarzania i potęgowania społecznych antagonizmów.

Zaprawdę, „Dziady i dybuki. Opowieść dygresyjna” to książka, która swoim czytelnikom przynosi OCZYSZCZENIE. ●



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Zbigniew Mentzel

● ur. w 1951 r., absolwent filologii polskiej UW, autor dziewięciu książek, m.in. powieści „Wszystkie języki świata” (finalistki Nike). Jako edytor opracował wiele tomów pism Leszka Kołakowskiego. Jego biografia „Kołakowski. Czytanie świata” otrzymała Nagrodę im. Jana Długosza za najlepszą książkę z zakresu humanistyki w 2021 r. Przez ostatnie ćwierć wieku mieszka na warszawskim Żoliborzu.

Jarosław Kurski, **„Dziady i dybuki. Opowieść dygresyjna”**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Leopold Staff*

Most

Nie wierzyłem

Stojąc nad brzegiem rzeki,

Która była szeroka i rwista,

Że przejdę ten most,

Spleciony z cienkiej, kruchej trzciny

Powiązanej tykiem.

Szedłem lekko jak motyl

I ciężko jak słoń,

Szedłem pewnie jak tancerz

I chwiejnie jak ślepiec.

Nie wierzyłem, że przejdę ten most,

I gdy stoję już na drugim brzegu,

Nie wierzę, że go przeszedłem.



FOT. ADM

***Leopold Staff** – 1878-1957, poeta, dramaturg, tłumacz. Jeden z najbardziej znanych poetów polskich XX wieku. Wiersz z jego zbioru „Wiklina” (1954), tutaj za: „Być poetą. Antologia poezji dla maturzystów” w wyborze Jerzego B. Wójcika. Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione, wyd. Silva Rerum, Gorzów Wlkp. 1992.

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



CHCEMY LECZYĆ

1 UKRAIŃSCY LEKARZE.

Co robi ministerstwo, by włączyć ich do polskiej służby zdrowia

2 WEJDĄ? NIE WEJDĄ?

Jak się prowadzi lokale w czasach galopującej drożyzny

3 CZY SZWEDZI ZWRÓCĄ ANASTAZJI DZIECI?

Uciekła przed wojną, a opieka społeczna odebrała jej sześcioro dzieci

FOT. GETTY IMAGES

DOBRY CZŁOWIEK MERDA OGONEM

Najbardziej skuteczne w przetrwaniu gatunki
są przyjazne

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Z KOGNITYWISTĄ, ANTHROPOLOGIEM **BRIANEM HARE'EM*** I KOGNITYWISTKĄ, POPULARYZATORKĄ NAUKI **VANESSĄ WOODS**** ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

W książce „Przetrwają najzyczliwsi. Jak ewolucja wyjaśnia istotę człowieczeństwa?” zauważacie, że niewiele idei w historii nauki zostało tak źle zrozumianych i nie wyrządziło tyle szkody co darwinowskie „przetrwanie najsilniejszych”.

BRIAN HARE: Kiedy Darwin w 1869 r. napisał słynne „O powstawaniu gatunków”, szybko wychwycono chwytliwą frazę „przetrwanie najsilniejszych”, a kultura popularna nadała mu znaczenie, którego Darwin nigdy nie miał na myśli. Zaczęto twierdzić, że wpływowe i potężne jednostki lub całe grupy mają większą władzę nad innymi w społeczeństwie lub są do niej przeznaczone, i „przetrwanie najsilniejszych” stało się podstawą rozmaitych ruchów społecznych, zmian wprowadzanych w korporacjach czy skrajnych, wolnorynkowych poglądów. A Darwinowi chodziło o dostosowanie, „fitness” i miał na myśli sukces reprodukcyjny, przetrwanie osobnika oraz jego potomstwa, nie rywalizację między jednostkami.

Ewolucja nie jest więc pochodem przemocy?

– Stąd tytuł książki. Gdy spojrzymy na życie na Ziemi, dostrzeżemy, że najbardziej skuteczne w przetrwaniu gatunki łączy wspólna cecha. Kluczowy okazuje się jakiś rodzaj przyjaznego nastawienia, który pozwala na lepszą współpracę i bardziej wydajne rozwiązywanie problemów. Jak kwiaty, względnie nowy rodzaj roślin, stały się wszechobecne? Ich ewolucyjna przewaga polega na tym, że dają prezent: „To mój kwiat. Jeśli przeniesiesz mój materiał genetyczny i rozprzestrzenisz go na inne rośliny, otrzymasz dar w postaci jedzenia”.

Albo jedyny gatunek kręgowców lądowych, który może żyć przez cały rok na Antarktydzie – pingwiny cesarskie. Jak dokonują tego, czego żaden inny gatunek nie jest w stanie? Rozwinęły nowy rodzaj przyjaznego nastawienia – całą zimę się przytulają, dzięki czemu utrzymują ciepło. A do tego zmieniają konfigurację i pozycję, aby upewnić się, że wszyscy w grupie pozostają w cieple.

Wybór Trumpa na prezydenta sprawił, że postanowiliście napisać książkę od nowa. Dlaczego?

VANESSA WOODS: Kiedy zaczęliśmy pisać, Obama był prezydentem od dwóch kadencji, a ko-

lejnym miała zostać Hillary Clinton. Po wyborach w 2016 roku wszyscy, których znaliśmy, zmagali się z pytaniem, jak coś takiego mogło się wydarzyć w Ameryce. Wybór kogoś, kto wydaje się aspirować do roli autokratycznego dyktatora z silnym wątkiem prawicowego populizmu.

B.H.: Pisaliśmy przecież książkę o paradoksie – jednoczesnych ludzkich życzliwości i okrucieństwie. Jednym z mechanizmów, które je tłumaczą, jest zdolność do postrzegania innych jako ludzi. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z takim poziomem dehumanizacji jak w kampanii Trumpa i było jasne, że dehumanizacja zdominuje tę prezydenturę. Stwierdziłbym, że nie wystarczy opisać, jak ewoluowaliśmy do bycia dobrymi i okrutnymi. Musimy, opierając się na nauce, zaproponować, jak temu okrucieństwu przeciwdziałać.

Przyjazne nastawienie odróżnia nas nie tylko od innych zwierząt, ale także od znakomitej większości innych hominidów? Jak możemy to badać?

B.H.: Ludzie są najbardziej przyjaznym gatunkiem, jaki wyewoluował. Całkiem niedawno istniało wiele gatunków ludzi. Powstaje pytanie: dlaczego nasz gatunek przetrwał, a inne wyginę-

ły? Wszystkie miały duże mózgi i prawdopodobnie jakieś zdolności językowe. Naszym zdaniem to właśnie przyjazne nastawienie umożliwiło nową formę współpracy u *Homo sapiens*. Nowy rodzaj życzliwości, który wyewoluował, to zainteresowanie obcymi, których nigdy wcześniej nie spotkaliśmy, a którzy dzielą naszą tożsamość grupową. Jesteśmy naprawdę dobrzy w zawieraniu szybkich przyjaźni i dbaniu o takich ludzi, jakby byli rodziną. Żaden inny gatunek tego nie potrafi. Obcy wewnątrzgrupowy to unikalna dla *Homo sapiens* kategoria społeczna.

V.W.: To ktoś, kto jest dla ciebie obcy, ale natychmiast rozpoznajesz go jako członka własnej grupy. Z takimi obcymi możemy współpracować, zostają naszymi partnerami i pomagamy im. Ten rodzaj więzi społecznych umożliwił rozwój technologii i rozkwit populacji.

Podkreślacie, że u ludzi w toku ewolucji miała miejsce selekcja przeciw agresji.

V.W.: W naszym gatunku selekcja przeciwko agresji miała miejsce u ludzi przyjaznych, którzy byli najmniej agresywni, najbardziej prospołeczni i skłonni do współpracy. Zyskiwali przewagę nad ludźmi, którzy tacy nie byli.

Wiele miejsca poświęćcie eksperymentowi Nikołaja Bielajewa na lisach syberyjskich.

B.H.: To jeden z najważniejszych eksperymentów behawioralnych poprzedniego stulecia. Wskazuje, czym jest proces udomowienia. W praktyce to proces selekcji przeciwko agresji.

Bielajew zgromadził lisy nastawione przyjaźnie do człowieka i zaczął je rozmnażać. Każde kolejne pokolenie nie tylko stało się coraz bardziej przyjazne, ciekawe i ufnie, ale też przechodziło zmiany fizyczne. Lisy zaczęły szczekać niczym szczeniaki, na widok ludzi merdały ogonem, miały oklapnięte uszy, krótsze pyski, zakręcone ogony, sierść pokrytą plamami i mniejsze zęby. Cechował je niższy próg stresu i wyższy poziom jednego z hormonów – serotoniny.

Widziałeś hodowlę tych lisów.

B.H.: Były piękne i dziwne. Wyglądem przypominały psy, a zachowaniem koty. Szukały towarzystwa ludzi, były podekscytowane na ich widok, skomlały i merdały ogonami, a jednocześnie były dużo bardziej niezależne niż psy.

Ale człowiek nie został przez nikogo udomowiony. Jak ten eksperyment ma się do *Homo sapiens*?

B.H.: Bielajew wykazał, że przyjazne nastawienie może podlegać selekcji, a następnie tworzyć sygnatury w naszym ciele. Samoudomowienie to podobny proces, ale w warunkach naturalnych. Często niedocenianym czynnikiem w naturalnym udomowieniu jest to, że bycie agresywnym czy próba zdominowania innych jest bardzo kosztowne dla osobnika, który to robi. Obniża funkcjonowanie układu odpornościowego, a to jest kosztowne energetycznie i ryzykowne, bo możesz przecież zostać zraniony. A będąc przyjaznym, nie tylko nie ponosisz tych wszystkich kosztów, ale jeszcze masz szansę zyskać nowych przyjaciół, którzy być może połączą się w sieć, z korzyścią dla ciebie. Im więcej obcych przyciągniesz do grupy, tym większa szansa, że znajdą się osobniki, z którymi można współpracować i od których można się uczyć. A wtedy innowacje i postęp technologiczny zaczną się pojawiać w szybszym tempie. Sieć dziesięciu kopalni u neandertalczyków, którzy najpewniej nie mieli kategorii obcego wewnątrzgrupowego, działa wolniej niż dziesięć kopalni *Homo sapiens*. Wystarczą dwie lub trzy sieci społeczne pomiędzy trzema lub czterema sąsiadującymi grupami, żeby człowiek spotykał setki i tysiące jednostek z ich pomysłami, które się kumulują. Tak technologia nabrała tempa, za którym nie nadążały inne gatunki ludzi. **V.W.:** Pierwotne psy, które nie bały się ludzi, a nawet Ignęły do nich, zyskiwały ewolucyjną przewagę nad tymi, które były agresywne lub się ich bały. Czyli najpierw nastąpiła selekcja naturalna, a potem, gdy te cechy były już obecne u rodziców, ludzie dokonywali jeszcze większej selekcji pod kątem tych cech. Sądzimy, że u ludzi naturalna selekcja przeciwko agresji zachodziła podobnie jak u pierwszych psów. Mówimy o samoudomowieniu, ponieważ naturalna selekcja przeciwko agresji jest pierwszym krokiem w udomowieniu.

Wydłużony okres dojrzewania czy lepsza komunikacja jak u przyjaznych lisów to lista typowo ludzkich cech. Co jeszcze wskazuje na możliwość samoudomowienia u ludzi? **V.W.:** Jeśli prześledzimy zapis kopalny, natrafimy na wiele zmian fizycznych w szkieletach: zmiany w kształcie czaszki, zębów, zanik grzebienia brwiowego. Są spowodowane zmianami w neurohormonach, na przykład spadkiem testosteronu i wzrostem serotoniny, które są odpowiedzialne za zachowania prospołeczne.

Najbardziej udaną próbą udomowienia innego gatunku są psy. I bardzo prawdopodobne, że bez Oreo wasza książka byłaby zupełnie inna. **B.H.:** Oreo to cichy współautor mojej kariery i mój najlepszy przyjaciel. Gdy szedłem do college’u, wciąż żył. Mój promotor, a był nim ceniony psycholog Mike Tomasello, twierdził, że tylko ludzie podążają za gestami, szimpansy zwyczajne i bonobo przecieź tego nie robią. Nie zgodziłem się, Oreo podążał za piłką, gdy się bawiliśmy. Mike był podekscytowany, że może się mylić. Zachęcił mnie, żebym udowodnił mu, że się my-

li. To zasługa Oreo i początek sektek badań.

Odkryłeś, że w niektórych umiejętnościach psy przewyższają nawet szimpansy. Komunikują się z ludźmi najlepiej ze wszystkich gatunków? **B.H.:** Bonobo można wytrenować do niezwykłych rzeczy, ale to wymaga lat treningu. Psy są wyjątkowe, ponieważ rodzą się z umiejętnością komunikowania się z ludźmi i robią to spontanicznie. To unikatowa konsekwencja udomowienia. **V.W.:** Mają szczególną zdolność do odczytywania naszych kooperatywnych intencji komunikacyjnych. To niezwykle, ponieważ nawet małpy człowiekowate nie odczytują gestów tak dobrze jak psy. Fakt, że zupełnie inny gatunek może zrozumieć nas lepiej niż nasz najbliższy żyjący krewny, świadczy o więzi, która nas łączy.

Skoro mowa o krewnych, może bliżej nam do bonobo niż do szimpansów zwyczajnych. Bonobo dzielą się jedzeniem z obcymi, współpracują na dużą skalę i nie zabijają się nawzajem. **B.H.:** Szimpansy karłowate bonobo i szimpansy zwyczajne są tak samo spokrewnione z nami, ale różnią się od siebie w naprawdę ciekawy sposób. Nigdy nie zaobserwowano, aby bonobo, w przeciwieństwie do szimpansów zwyczajnych, zabił innego bonobo. Bonobo są jedynym członkiem naszej małpiej rodziny, który nie morduje. Dlaczego? Co takiego w ich psychice pozwoliło uciec od tej najgorszej części bycia członkiem małpiej rodziny? Uważamy, że właśnie bardzo silna presja selekcyjna na przyjazne nastawienie samców – u bonobo samice wybierają tych mniej agresywnych, więc przyjazne samce mają więcej potomstwa.

Inną zaskakującą cechą Homo sapiens są oczy. Tylko ludzie mają białe twardówki. **B.H.:** Kiedy widzimy białą twardówkę, dostrzegamy człowieka. To nieświadomy, neurobiologiczny proces w naszych mózgach. To cecha w naszym gatunku, która ma najmniejszą zmienność, jej zróżnicowanie wynosi w zasadzie zero. Naszym zdaniem białe twardówki wyewoluowały późno, też jako wynik samoudomowienia. Możemy się oczywiście mylić – nie mamy skamieniałych oczu neandertalczyków i innych gatunków. Może uda się to udowodnić, analizując prehistoryczne DNA.

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci

na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienia się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy

zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

Tę cechę wykorzystują twórcy horrorów. Aby kogoś odczłowieczyć, wystarczy pomalować mu oczy na czarno. **B.H.:** Im ciemniejsza twardówka, tym bardziej nasz umysł nie jest w stanie postrzegać w tym kimś człowieka. Ludzie wykorzystują to na różne sposoby. Jeśli widzimy powiększoną białą twardówkę, mamy tendencję do zachowywania się bardziej uprzejmie. Jeśli zakrytą, mamy tendencję do traktowania ludzi tak, jakby nie byli w pełni ludźmi.

Więc jak to się dzieje, że najbardziej tolerancyjny gatunek tak łatwo dopuszcza się ludobójstwa i dehumanizuje innych? **B.H.:** To ten sam mechanizm, który pozwala nam być tak życzliwymi, czyli zdolność do wyobrażenia sobie, jak to jest być kimś innym – empatia. Gdy jesteś empatyczny wobec tych, na których ci zależy, i masz własną grupę, to grupy, która może zagrażać tym, którzy dzielą twoją tożsamość, nie postrzegasz jako w pełni ludzkiej. Nie przypisujesz jej przekonań i intencji, które widziałbyś u kogoś, kto jest w pełni człowiekiem. A wtedy potencjał moralnego wy-

■

Ciemna strona empatii: Kiedy czujemy, że członkowie naszej grupy są zagrożeni przez grupę zewnętrzną, jesteśmy w stanie wyłączyć sieci neuronowe, które postrzegają tę grupę jako ludzi

kluczenia jest dostępny. Czy cierpią tak jak my? Doświadczają bólu podobnie? Nie, oni nie są tacy jak my. Więc mogą ich krzywdzić, ponieważ tak naprawdę nie są ludźmi. **V.W.:** Kiedy czujemy, że członkowie naszej grupy są zagrożeni przez grupę zewnętrzną, jesteśmy w stanie wyłączyć sieci neuronowe, które postrzegają tę grupę jako ludzi.

Dlatego tak trudno czuć wtedy współczucie. **B.H.:** Współczucie, podobnie jak empatia, to obosieczny miecz. Kie-

dy mogę czuć to co ty, gdy cierpisz, również cierpię. Ale kierujemy to odczucie bardziej ku tym, z którymi jesteśmy związani, lub tym, z którymi dzielimy tożsamość.

Podobno podczas wykładów zawsze jesteś pytany o eugenikę. Eksperymentu Bielajewa na lisach nie można jednak powtórzyć na ludziach. **B.H.:** Eugenika czy instytucjonalna kontrola wyborów reprodukcyjnych ludzi są nie tylko niemoralne, ale po prostu nie zadziałają, bo cechy behawioralne są niezwykle skomplikowane pod względem genetycznym. Nie wiemy nawet, ile genów odpowiada za przyjazne nastawienie i które to geny. I nie byłibyśmy w stanie zidentyfikować ludzi, którzy w jakiś sposób różnią się pod tym względem genetycznie. To po pierwsze, a po drugie, na świecie żyje niemal 8 mld ludzi. Nawet gdybyśmy potrafili – jak mielibyśmy zidentyfikować tych o najbardziej przyjaznym nastawieniu?

Jednak jakieś rozwiązania są. W książce wspominasz, że „szczepionka na dehumanizację istnieje”. **B.H.:** Każdy, kto wychowywał psa, nie będzie zaskoczony, że rozwiązanie jest proste. Pies, który jako szczeniak nie był socjalizowany, nie spotykał wielu ludzi i nie był w wielu miejscach, jako dorosły się boi, może się stać agresywny. Czy powinniśmy się dziwić, że dziecko, które nigdy nie spotkało ludzi z innej kultury lub nie miało kontaktu z ludźmi nawet z własnego kraju czy miasta, którzy są nieco inni, jako dorosły obawia się „innych”? To naprawdę proste. Socjalizując szczeniaka, pozwalamy mu eksplorować, wystawiamy na różnych ludzi i miejsca, żeby jako dorosły był pewny siebie i mało lękliwy. Tak chowane psy mogą wchodzić w przyjazne interakcje, współpracować z każdym, kogo spotkają. Jeśli chcesz zmniejszyć dehumanizację, spraw, żeby ludzie byli ze sobą zaznajomieni. Im bardziej będą zaznajomieni, tym więcej będzie przyjaźni międzygrupowych – a kiedy członkowie grupy widzą, że ktoś z ich grupy ma przyjaciela w innej grupie, są o wiele mniej skłonni do uprzedzeń. Najgorsze cechy ludzkiej natury są wtedy mniej skłonne do ujawniania. No i demokracja. To jedyna forma rządu dostępna złożonym, hierarchicznym społeczeństwom, która pozwala grupom ludzi pozbawionym władzy nadal zachować wpływ. I daje im szansę na ponowne zdobycie władzy – poprzez argumenty i dyskusje, które prowadzą do tego, że ludzie na nich głosują. Wszystkie alternatywy, nawet jeśli są uwodzący, mają długą historię przemocy, prześladowań i podsycania tego, co najgorsze w ludzkiej naturze. **V.W.:** Jedynym rozwiązaniem, które zmniejsza poziom dehumanizacji i uprzedzeń, jest kontakt. Kiedy dwie osoby z obcych grup – czy to religijnych, sportowych czy etnicznych – wchodzą w interakcje w niezagrażającym środowisku, prawie zawsze jest to pozytywne doświadczenie.

A jak do tego ma się współczesne miasto? Pełne różnorod-

nych ludzi, grup społecznych, możliwości – a jednak im ich więcej, tym bardziej izolujemy się, spotykając obcych. Często nie znamy własnych sąsiadów. **B.H.:** Wiele miast zbudowano tak, by trzymać ludzi, a zwłaszcza różne grupy, osobno. Miasta muszą być projektowane tak, abyśmy mogli tworzyć międzygrupowe przyjaźnie, aby ludzie się widywali i znali nawzajem. Bez tego nie da się mówić o naprawdę dobrze funkcjonującej demokracji. **V.W.:** Miasto, które łączy, ma dużo zielonych otwartych przestrzeni, gdzie dzieci mogą się bawić, ludzie ocierać o siebie i poznać, a przyjaciele razem przebywać. Ma chodniki, na których możesz mijać innych w drodze do lokalnych sklepów, kawiarnie, gdzie można usiąść i porozmawiać, gdzie nieznajomi stają się przyjaciółmi. A miasta zaprojektowane, by trzymać ludzi z dala od siebie, to te, gdzie np. zraszacze umieszczają się w pobliżu ławek, na których śpią bezdomni, gdzie instaluje się kolce na parapetach i pod mostami. Oczywiście projektantom chodzi o trzymanie niektórych ludzi z dala od pewnych przestrzeni dla dobra innych ludzi, ale trudno sprawić, by miasto było nieprzyjazne dla wybranych, nie stając się nieprzyjazne dla wszystkich. ●

***Brian Hare** – kognitywista, profesor antropologii ewolucyjnej, psychologii i neuronauki na Uniwersytecie Duke’a. Autor ponad stu artykułów naukowych, w tym na łamach „Science”, „Nature” i „PNAS”. W National Geographic Wild prowadził program „Czy twój pies jest geniuszem”, był bohaterem serialu dokumentalnego Stevena Spielberga „Dlaczego nienawidzimy”.

****Vanessa Woods** – antropolożka ewolucyjna, pisarka, dziennikarka naukowa, autorka wielu książek, w tym bestsellera „Uścisk dłoni bonobo. Wspomnienia o miłości i przygodzie w Kongu” i nagrodzonej przez Royal Society książki dla dzieci „To prawda, kosmos zamienia się w spaghetti”. Publikuje w „The Wall Street Journal”, „National Geographic” i „The New York Times”, pracuje na Uniwersytecie Duke’a.

Pierwsza wspólna książka Hare’a i Woods (są małżeństwem), wydany również w Polsce „Psi geniusz. Dlaczego psy są mądrzejsze, niż nam się wydaje?”, została bestsellerem „New York Timesa”.

„Przetrwają najzycliwsi. Jak ewolucja wyjaśnia istotę człowieczeństwa?”, Brian Hare, Vanessa Woods, przeł. Kasper Kalinowski, Copernicus Center Press. Książka w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



UCIECZKA DO ZIMNA

FOT. ADAM WAJRAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Dobrze, że jest GPS,
ale całe życie chodzę
z kompasem i mapą,
bo nigdy nie zawiodą.**

Z **ADAMEM WAJRAKIEM**,
DZIENNIKARZEM, NAUKOWCEM,
PODRÓŻNIKIEM, ROZMAWIA **BARTOSZ T.
WIELIŃSKI**

Jak to się stało, że się przenieśliście z Teremisek na Żoliborz?

– Po prostu wpadłem w tryb autorskich spotkań z czytelnikami, które są przecudowne, czyli praca poza lasem. Chociaż dobrze jest odwiedzić stare śmieci – to podwórko na Żoliborzu, gdzie się wychowałem, popatrzeć na to, co robią wrony w mieście, sprawdzić, czy wróbił przybyło. Dla mnie, człowieka z lasu, to kompletna egzotyka.

Czyli Warszawa jest dżunglą, jeśli nie puszczą. Prawie jesteś u siebie.

– Wiesz, gdzie jest dla mnie najciekawsze przyrodniczo miejsce w Warszawie? Oczywiście jedno to dolina Wisły, ale drugie, które mnie totalnie fascynuje, to „patelnia”, czyli stacja metra Centrum. Te krzaczory wokół, gdzie można zobaczyć niezwykle gatunki ptaków, zupełnie nieoczywiste, nietypowe dla miasta.

Jedźmy jednak na Północ, bo o niej wydałeś właśnie książkę w Agorze. Nosi podtytuł „Jak pokochałem Arktykę”. Piszesz na wstępie o inspiracji prozą Jacka Londona, Centkiewiczów, naszymi młodzieżowymi lekturami. Co w tej Północy fascynuje: zimno, lód, samotność?

– Naczytałem się i byłem owładnięty wizją Północy jako miejsca, gdzie się ma cudowne i wspaniałe przygody. Nie wiem, dlaczego Tomek Wilimowski w Australii czy w Afryce mnie nie pociągał, natomiast wszystkie polarne historie, te pustki bardzo przemawiały mi do wyobraźni. Może dlatego, że jako wspinały czas pamiętam zimę stulecia w Polsce i to, że na nartach po zaspach chodziłem na Żoliborzu i wydawało mi się, że zdobywam biegun.

Północ jest niesamowitym ekosystemem, bo wszystko widać jak na dłoni. Na Wyspie Niedźwiedziej masz dwa miliony gniazd nurzyków, jednego gatunku, i to jest coś niebywałego. Albo mieszkasz w chatce, gdzie obok na półce skalnej są dziesiąt-



czas bez internetu, a wiedzę musiałeś zdobywać nie z sieci, tylko z książek. Jak się przygotowywałeś?

– Bardzo dużo czytałem i miałem koleżankę w „Gazecie Wyborczej” Anię Białą, która studiowała oceanologię i miała kumpli naukowców, którzy Arktykę znali i dzielili się wiedzą. Nie miałem żadnych satelitarnych przyrządów, tylko trzeszczące radio, którym się łączyłem z trzeszczącym radiem stacji polarnej Polskiej Akademii Nauk. Jak chciałem coś powiedzieć „Gazecie Wyborczej”, to się łączyliśmy przez wielkie radio Mewa, które zajmowało pół pokoju i bzyczało, miało masę pokręteł i jak rozmawiałem z redaktorami, to musieliśmy się trzymać procedury: odbiór, bez odbioru itd. I niesamowite, jak to się w ciągu zaledwie pięciu, sześciu lat zmieniło. Bo jak wyruszyłem na wyprawę z Kanady na Grenlandię, to już mieliśmy telefon satelitarny i GPS.

To co pomyśleć o pionierach w XIX wieku?

– No i dlatego to były wyprawy. Musieli mieć kompas, mapy, zresztą ja całe życie chodzę z kompasem i mapą i jak ludzie pytają, dlaczego chodzę z kompasem, to mówię, że to mnie nigdy nie zawiedzie.

ka z takiego miejsca w latach 90. trochę zapomnianego, gdzie jeździli tylko zapaleni, naukowcy, trochę turystów, zamienia się w miejsce starcia politycznych olbrzymich interesów. Widać teraz, co Rosja wyrabiała w tamtych okolicach, i ja tę rosyjską obecność zaczynam bardziej zauważać, chociaż jeżdżę głównie na Spitsbergen, ale też widzę odpowiedź Zachodu, na przykład Norwegii. Nigdy w życiu nie widziałem tak dużego statku, który wpływał do fiordów.

Arktyka się zatem zmienia, a cały jej ekosystem jest zależny od wieloletniego lodu, który jest tak samo ważny jak duże drzewa w Puszczy Białowieskiej – jest podstawą produkcji tego ekosystemu. Ubywa lodu, i to bardzo szybko, a zaczyna działać sprzężenie zwrotne – skoro ubywa lodu, to nie odbija światła słonecznego, a światło nagrzewa ciemną wodę oceaniczną i ona robi się cieplejsza, więc ubywa lodu. A państwa, tzw. arktyczne, myślą prawie wyłącznie o robieniu interesów i na konferencjach wszyscy mówią: och, kiedy ten lód się stopi, będziemy mogli wozić towary do Chin.

Dlatego z nadzieją myślę, że odejście od paliw kopalnych to jakaś szansa dla Arktyki. Boję się tam tych szybów wiertniczych...

To byłby koszmar, zacząłem sobie wyobrażać krajobraz arktyczny z wieżami...
– Ale to nie pojedynczy problem, bo jest wielki rezerwat na Alasce i Trump, jego Republikańskie całe czas próbują się do niego dobrać, a Demokraci go bronić. Tam są olbrzymie zasoby ropy i oni bardzo by chcieli tam powiercić.

Myślisz, że będziemy w przyszłości jeździć do Arktyki, żeby się po prostu ochłodzić?

– Opowiem anegdotę. W 2004 roku byłem w Arktyce z Nurią, to było tuż przed jej doktoratem, i musieliśmy wrócić, a załoga zamówionego statku, który miał nas zabrać, powiedziała nam, że przykro jej, ale przyplyną za dwa miesiące, bo mają jakiś pilny towar. Zaczęliśmy przez radio łapać stopa i szukać innego statku. W pewnym momencie odezwał się „Polar Star”, zresztą z bardzo przemiłą panią pierwszą oficer, i nas zabrali, uratowali doktorat Nuri. Była na tym statku masa różnych gości i była para z Hiszpanii, która nie mówiła w żadnym języku, dlatego się bardzo ucieszyli, jak zobaczyli Nurię. Ta para, jak się okazało, na każde wakacje jeździła z Hisz-

panii do zimnych krajów – na Grenlandię, do Kanady, a wtedy trafili na Spitsbergen. Więc jakby to się już dzieje, ten kierunek arktyczny wyjazdów jest coraz mocniejszy, i to widać, bo miasteczka górnicze już zmieniają się w miasteczka turystyczne. To akurat dobrze, bo wolę, żeby tam przyjeżdżali turyści, oglądali renifery, lisy polarne, niedźwiedzie niż górników, którzy fedrują węgiel. Zresztą to w ogóle bardzo ciekawe, bo ta transformacja od węgla do turystów, albo do uniwersytetów, bo takie też tam powstają, to inny towar do sprzedania, którym jest po prostu wiedza. Może kiedyś polskie władze zrobią coś takiego w Hajnówce, która ma tartaczną przeszłość i zamiast tartacznej przeszłości zrobią najfajniejszy, najlepszy uniwersytet leśny w Europie, kooperatywę różnych uniwersytetów europejskich. Są wzorce z Arktyki, z których można czerpać. ●

Podróż w czasie do miejsc i istot, których już nie ma, chłopackie przygody i kawał wiedzy przyrodniczej – **„Na północ. Jak pokochałem Arktykę”**, czyli pierwsza część arktycznej trylogii Adama Wajraka, już dostępne w księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



W Klubie „Wyborczej” redakcja gościła m.in.: Swiatłanę Cichanouską, Anne Applebaum, Timothy'ego Snydera, Donalda Tuska, Adama Michnika, Wacława Radziwiłowicza, Katarzynę Kłosińską i Michała Rusinka, Adama Bodnara, Jacka Dukaja, ekipę dziennikarzy śledczych i reporterów sejmowych „Wyborczej”, himalaistę Nimsdaia Purję, a także opozycjonistów rosyjskich. Podsumowanie spotkań w Klubie dostępne jest na **Wyborcza.pl/klub**.

Technologia podróży 20 lat temu? Łączyłem się z redakcją przez wielkie radio, które zajmowało pół pokoju i bzyczało

ki tysięcy gniazd różnych ptaków, obok chodzą lisy, renifery, niedźwiedzie polarne, a w dżungli, w Afryce, czuję się zagubiony. Puszcę Białowieską najbardziej lubię między listopadem a kwietniem, kiedy mnie nie atakują tymi wszystkimi swoimi gatunkami i bodźcami.

Tvoja książka kończy się w 1995 roku, gdy byłem w drugiej klasie liceum; to był

Arktykę lubię też za to, że nie zależę tam od nikogo. Mogę pójść gdzieś sam, obozować, a turyści, którzy przylatują na chwilę, podlegają takim zasadom jak turyści, którzy odwiedzają Serengeti, czyli z przewodnikiem, w grupach, często na skuterach.

Teraz na sile przybiera w Arktyce pewna gorączka polityczna, bo to najkrótsza droga, gdy lody się topią, z Europy do Chin, z Ameryki do Chin. To powoduje, że Arkty-



W 1983 roku George Michael i Andrew Ridgeley przyjechali w odwiedziny do rodziców tego pierwszego do Hertfordshire. Po obiedzie siedzieli sobie w salonie na dole i oglądali mecz w telewizji, gdy nagle George... zniknął.

„Na jakąś godzinę, może dwie” – wspominał Ridgeley. George Michael zaszył się tymczasem w swoim dawnym, dziecięcym pokoju. „W którym godzinami nagrywaliśmy jako dzieciaki parodie programów radiowych i przebojów” – opowiadał w rozmowie z „Daily Mail”.

Miał tam instrumenty klawiszowe. Pisał, pisał, pisał, potem nagrywał.

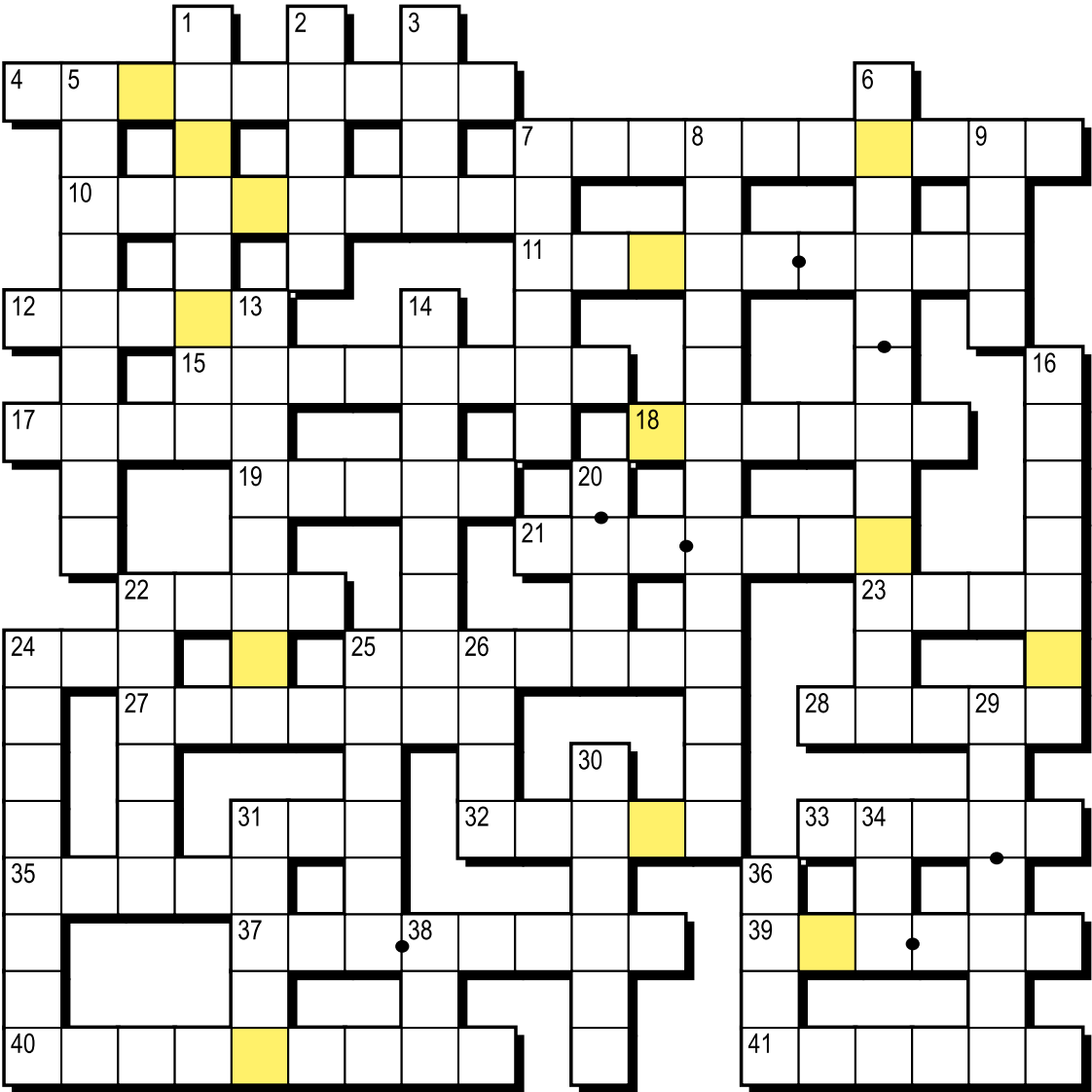
„Kiedy wrócił, był tak podniecony, jakby odkrył złoto. Co, mówiąc szczerze, było prawdą” – mówił Andrew, który nazwał ten moment „cudem”. Bo George Michael właśnie popelniał „Last Christmas” – megaprzebój, bez którego trudno dziś wyobrazić sobie święta Bożego Narodzenia. Choć traktuje wcale nie o Gwiazdce, ale o złamanym sercu. Mało tego, ponoć na początku nie miała nic wspólnego z Gwiazdką, a nazywała się „Last Easter” – czyli nawiązywała do Świąt Wielkanocnych. George Michael miał dokonać stosownych korekt na prośbę wytwórni płytowej, która chciała wypuścić piosenkę właśnie pod choinkę.

Utwór został nagrany w sierpniu 1984 roku, a singiel wypuszczono 3 grudnia 1984 roku. Momentalnie stał się hitem, choć bardzo długo musiał czekać, by znaleźć się na czele brytyjskiej listy przebojów. Bagatela – przeszło 36 lat! Udało się to ostatecznie 1 stycznia 2021 roku.

Oczywiście sława przeboju przekroczyła granice Wysp Brytyjskich i podbiła serca fanów na całym świecie. Nieodmiennie jej puszczenie w radiu jest oznaką, że idą święta, a gdy kiedyś RMF FM zagrało ją w sierpniu, wywołało to zamieszanie równe słuchowisku „Wojna światów” autorstwa Orsona Wellesa.

Dzisiejsza „Weekendówka” będzie więc poświęcona wielkim przebojom, evergreenom, które zanucimy wyrwani w środku nocy z głębokiego snu, i ich wykonawcom. A do pomocy przy stworzeniu krzyżówki zaprosiliśmy niezawodnego Michała Nogasia, który poradził sobie śpiewająco – czego i Państwu życzę rzecz jasna! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 28 z 26.11:

Poziomo:

- 5) Pasternak 8) Orhan 9) Bank
10) dynamit 12) literatura
13) Bob 14) odebranie 17) Munro
18) Selma 19) uczona 20) Lłosa
22) pisarz 24) Lech 28) teoria gier
31) Izrael 32) Grass 33) Robert
34) Shaw 35) narrator 36) autor

Pionowo:

- 1) Lekarze 2) Annie Ernaux
3) Tokarczuk 4) Hamsun
6) Szymborska 7) Sartre
11) Mandela 13) badania
15) Ig Noble 16) król 21) Szwecja
23) Winston 25) Ernest
26) historyk 27) Brodski
28) Tagore 29) Obama 30) Gore

HASŁO: KOMITET NOBLOWSKI

EVERGREENY

Hasła Michała Nogasia oznaczono inicjałami (M.N.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) zespół, z którym występował Fish („Kayleigh”)
7) The ..., nagrali piosenki „Always the Sun”, „Golden Brown”
10) grupa, którą opuścił Artur Rojek („Długość dźwięku samotności”)
11) Francuzka śpiewająca o miłordzie
12) Żądło z Wallsend (M.N.)
15) Krzysztof, wykonawca piosenki „Za tobą pójde jak na bal”

- 17) David, jednym z jego artystycznych wcieleni był Ziggy Stardust
18) wiośło Santany, Claptona, Page’a
19) nowa interpretacja istniejącej piosenki
21) bracia z „Gorączki sobotniej nocy” (M.N.)
22) ... Simon i Art Garfunkel
23) „... do M”, w repertuarze grupy Dżem
24) polskie tłumaczenie tytułu największej płyty Floydów
25) znani m.in. ze „Smells Like Teen Spirit”
27) najśłynniejsza ballada Johna Lennona
28) pieśniarz wśród noblistów (M.N.)
31) „... wschodzącego słońca”

- 32) największy przebój Paula Anki
33) nagrodzona Oscarem za piosenkę „Skyfall”
35) podbili świat przebojem „Gyöngyhajú lány” (M.N.)
37) zespół Eddiego, zachęcał do skakania (M.N.)
39) standard rockowy w repertuarze Jimiego Hendrixa
40) zespół Stevena Tylera („Cryin’”, „Crazy”, „Amazing”)
41) Bob, guru reggae („No Woman, No Cry”)

Pionowo:

- 1) nieliczne zostają evergreenami
2) ... John („Sacrifice”)
3) Jon Bon ...
5) Louis, śpiewa „What a Wonderful World”

- 6) król rock and rolla
7) zastrzelony w piosence Boba Marleya
8) klasyk Perfectu („Było nas trzech...”)
9) krótka, rytmiczna gitarowa fraza
13) prosił, by nie dokazywała (M.N.)
14) Bobby, nagrał przebój „Don’t Worry, Be Happy”
16) Whitney, śpiewała: „I Will Always Love You”
20) hit Chłopców z Placu Broni
22) najśłynniejszy książę Minnesoty (M.N.)
24) zamiast płakać miała kpić (M.N.)
25) maestro ze Starych Wasilizek (M.N.)
26) Lou, wykonawca utworu „Walk on the Wild Side”

- 29) wokalista grupy Guns N’ Roses
30) Tadeusz, ojciec polskiego bluesa („Modlitwa”)
31) Miles, wirtuoz trąbki („Blue in Green”)
34) Doris, amerykańska piosenkarka („Dream a Little Dream of Me”)
36) Jurek i Andrzej, który nagrali jeden z najśłynniejszych przebojów bożonarodzeniowych (M.N.)
38) szlagier, przebój

Leszek Rydz

WE WTOREK W „WYBORCZEJ”

Kalendarz astronomiczny na 2023 rok

- zorze polarne
- roje Perseidów
- zaćmienia Księżyca



STANISŁAW WYSPIAŃSKI
„Dziewczynka oparta o stół,
portret Wandy Nowakównej”, 1902

Estymacja: 3 500 000 - 5 000 000 zł

DESA
UNICUM

SZTUKA DAWNA. XIX WIEK, MODERNIZM, MIĘDZYWOJNIE. SESJA I

AUKCJA 8 GRUDNIA 2022, 19:00

DESA UNICUM, UL. PIĘKNA 1A

Wystawa prac:
28 listopada – 8 grudnia

pn. – pt. 11:00–19:00 sob. 11:00–16:00
WSTĘP WOLNY

Zapraszamy do licytacji online i telefonicznych 514 446 892.
Pobierz aplikację DESA Unicum i oglądaj transmisję na żywo.

DESA UNICUM. SZTUKA DOSTRZEGANIA WARTOŚCI



Zeskanuj kod QR
i dowiedz się
więcej o aukcji

DESA.PL